

MIESIĘCZNIK
SPOŁECZNO-
KULTURALNY

SLASK

CENA 7 ZŁ (w tym 5% VAT) ISSN: 1425-3917 NR INDEKSU 33328X

Nr 6 (247) • ROK XXI • CZERWIEC 2016

www.slaskgtl.pl

INDUSTRIADA 2016:

Legandy przemysłu

Symfonia hutnicza

Rasa. Pieśń antracytu

NAWET ŚWIYNTY JON
NIE POMÓG...





NAJWAŻNIEJSZA NAGRODA MUZEALNA DLA MUZEUM ŚLĄSKIEGO! Muzeum Śląskie zdobyło najważniejszą dla polskiego środowiska muzealnego nagrodę – Grand Prix w konkursie na Wydarzenie Muzealne Roku „Sybilla 2015”. Dla polskich placówek muzealnych Sybilla jest tym, czym są Oscary w świecie filmowym. Dyrektor Narodowego Instytutu Muzealnictwa i Ochrony Zbiorów prof. UKSW dr hab. Piotr Majewski określił Sybillę jako „najbardziej znaczącą nagrodę w sektorze muzeów”. W tym roku Muzeum Śląskie otrzymało aż dwie statuetki – oprócz Grand Prix uhonorowane zostało również nagrodą „Sybilla 2015” w kategorii „Inwestycje” za budowę nowej siedziby muzeum. 11-osobowe jury wybrało laureatów spośród rekordowej w tym roku liczby 246 zgłoszeń nadesłanych z najważniejszych placówek muzealnych w kraju. Uroczysta gala rozdania statuetek odbyła się 23 maja w Teatrze Wielkim – Operze Narodowej w Warszawie.

Na zdjęciu: Nagrodę odbiera Alicja Knast dyrektor Muzeum Śląskiego

KRAKÓW



Stowarzyszenie Pisarzy Polskich
Śródmiejski Ośrodek Kultury
zapraszają na

WIECZÓR POETYCKI
Tadeusza Kijonki
poety, dziennikarza

Prezentacja wybranych utworów oraz
najnowsze tomu poetyckiego *Słowo w słowo*.

Prowadzenie:
prof. Marta Wyka, prof. Wojciech Lięża
Muzyka: **Jan Oberbek** – wirtuoz gitary

18 maja, godz. 18.00, wstęp wolny
Śródmiejski Ośrodek Kultury, ul. Mikołajska 2



TADEUSZ KIJONKA W KRAKOWIE. Ten wieczór poetycki katowickiego poety był kolejnym spotkaniem wpisanym w cykl imprez związanych z promocją jego najnowszego tomu poetyckiego „Słowo w słowo”, wydanego przez Instytut Mikołowski w Bibliotece Arkadii jako 125 pozycja z rzędu. Organizatorem imprezy przygotowanej przez Śródmiejski Ośrodek Kultury 18 maja br. było Stowarzyszenie Pisarzy Polskich. O randze tego poetyckiego spotkania świadczy fakt, że prowadzili je tak znakomici znawcy poezji jak prof. Marta Wyka, która zarysowała sylwetkę śląskiego poety oraz prof. Wojciech Lięża, autor wnikliwego komentarza krytycznego utrzymanego w tonacji wysokich ocen. Oprawę muzyczną zapewnił wirtuoz gitary Jan Oberbek. Na spotkanie przybyli przedstawiciele życia literackiego Krakowa, m.in. poeta i krytyk prof. Stanisław Stabro i dr Jan Pieszczechowicz, redaktor naczelny miesięcznika „KraKów”, który przypomniał związki Tadeusza Kijonki z Krakowem od czasu studiów polonistycznych. Była okazja do wspomnień i literackich dygresji. Wiele miejsca zajęła prezentacja wierszy przez autora, których wybór znacznie wykraczał poza ramy prezentowanej książki. Kijonka chętnie odpowiadał na pytania odnośnie krakowskiego okresu biografii i nawiązanych wówczas kontaktów.

Nasz partner



Rybnik. Miasto z ikrą.

WYDAWCA:
GÓRNOŚLĄSKIE TOWARZYSTWO
LITERACKIE W KATOWICACH
TADEUSZ SIERNY
prezes
40-012 Katowice, ul. Dworcowa 13
tel. 32 253-62-21
e-mail: zarzad@slaskwn.com.pl

WSPÓŁWYDAWCA:
BIBLIOTEKA ŚLĄSKA
40-021 Katowice, plac Rady Europy 1
tel. centr. 32 20 83 700
informacja: info@bs.katowice.pl
sekretariat: bsl@bs.katowice.pl

Redaguje zespół:

WIESŁAWA KONOPELSKA
Redaktor naczelna

KATARZYNA KUROCZKA
Dział krytyki literackiej
portal www.slaskgtl.pl

MARIA KORUSIEWICZ
Dział poezji i prozy (współpraca)

MARIA SZTUKA
Sekretarz redakcji
Dział kultury

BOGDAN WIDERA
Dział społeczno-historyczny

WOJCIECH ŁUKA
Dział graficzny

IRENA FALKIN-SIBIGA
Korekta

ADRES REDAKCJI:

40-012 Katowice, ul. Dworcowa 13
e-mail: redakcja.slask@onet.pl

DTP: STP „KorGraf”

40-081 Katowice, ul. Dąbrowski 15/12
tel. 32 354-09-88, 32 781-06-48
e-mail: korgraf@korgraf.com.pl

Druk: Zakład Poligraficzny Moś i Łuczak Sp.j.
ul. Piwna 1, 61-065 Poznań
tel. 61 633 71 65

Materiałów nie zamówionych nie zwracamy.
Redakcja zastrzega sobie prawo skrótów, poprawek
i zmian tytułów w tekstach przyjętych do druku
oraz skracanie korespondencji.

Warunki prenumeraty: poprzez Oddziały i Delegatury „RUCHU” – na terenie całego kraju. Bezpośrednio – w Wydawnictwie Naukowym „Śląsk” 40-036 Katowice, ul. Ligonia 7, p. 120. Wpłaty należy dokonywać na konto:

GTL – redakcja miesięcznika „Śląsk”
BGZ BNP Paribas o/Katowice
08 2030 0045 1110 0000 0407 9490

Prenumerata roczna – 84 zł, półroczna – 42 zł, kwartalna – 21 zł. Pismo w prenumeracie jest dostarczane pod wskazany adres bez dodatkowych opłat.

Prenumerata zagraniczna: poprzez Dział RUCH S.A. Infolinia 0800 120 029. Tel. +48 022 532-87-31 www.ruch.com.pl

Cena egzemplarza – 7 zł (w tym 5% VAT)
ISSN: 1425-3917 Nr indeksu: 33328X

Czasopismo

„Śląsk. Miesięcznik społeczno-kulturalny”
jest dostępne w wersji elektronicznej
w ŚLĄSKIEJ BIBLIOTECE CYFROWEJ

W NUMERZE:

4. INDUSTRIADA 2016
8. *Jerzy Machura* DRUŻYNA MARZEŃ
12. *Jakub Loginow* KONIEC POLITYKI W STYLU VÁCLAVA HAVLA: CZESKA SCENA POLITYCZNA ZMIENIA OBlicZE
15. *Grzegorz Sztolcer* NAWET ŚWIYNTY JON NIE POMÓG. PAWŁA ZEŻARŁ HITLER, A PIECHÓWKA ZAŁOŁA WIELKO WODA.
22. *Tadeusz Kijonka* MUZYKA I PRZYJAŹŃ
30. *Rozmowa ze Zbigniewem Mýgg, opiekunem Domu Poezji – Muzeum Haliny Poświatowskiej, bratem Poetki* POSIADAŁA NATURALNE, ŚWIATŁO WEWNĘTRZNE
33. *Jacek Kurek* BLUES GRUBA
34. *Anna Piontek* CZARNA PLYTA – CZARNY WĘGIEL, CZYLI ŚLĄSK NA WINYLU
36. *Krystyna Heska-Kwaśniewicz* Z KORNELEM FILIPOWICZEM WĘDRÓWKA PO CIESZYŃSKIM CMENARZU
41. *Rozmowa z Henrykiem Konwińskim choreografem i reżyserem* CUDNE DZIECKO DRZEWIECKIEGO
52. *Wiesława Konopelska* CZTERY DAMY ZAWŁADNĘŁY SERCAMI FESTIWALOWEJ PUBLICZNOŚCI
54. *Katarzyna Taluć* UKAZAŁY SIĘ LISTY Z DACHAU GUSTAWA MORCINKA
60. *Maria Szuka* ŚLAWA NIE UMIERA
62. *Marek Lyszczyzna* ORGANOWA MAPA ŚWIATA. O festiwalu Dni Muzyki organowej w Gliwicach.
70. *Miroslawa Pindór* O SCENIE POLSKIEJ TĚŠÍŃSKÉHO DIVADLA (TEATRU CIESZYŃSKIEGO) W ČESKÉM TĚŠINĚ (CZESKIM CIESZYŃNIE)

FELIETONY

11. NOTATNIK SPÓŹNIONEGO PRZYBYSZA
Marek S. Szczepański MEDIA SPOŁECZNOŚCIOWE – CIEMNA STRONA MOCY
56. PORADNIA JĘZYKOWA
Katarzyna Wýrwias W POLANICY-ZDROJU
57. KAMIEŃ DROGOCENNY
Jacek Kurek TOŻSAMOŚĆ I POLIFONIA
59. ŚLĄSKA OJCZYZNA POLSzcZYNA
Jan Miodek ALE HICA!
63. MIĘDZY NUTAMI
Magdalena Dziadek MUZYCY ŚLĄSCY W WIEDNIU
84. Z ZAPISKÓW EMERYTA
Jarosław Starzyk HERKULES POIROT BY TO WYKRYŁ

PLASTYKA

48. *Wiesława Konopelska* 25. PRACA ROKU – REFLEKSJE W CZAS JUBILEUSZU
49. PRACA ROKU 2015
50. JERZY MOSKAL (1930-2016)
51. TEATR SWÓJ WIDZIAŁ OGROMNY (oprac. wk)
84. KOLEKCJA „ŚLĄSKA”: EWA ZAWADZKA

KSIĄŻKI

69. *Bogdan Widera* WOJEWÓDZTWO FOTOGENICZNE
74. *Katarzyna Niesporek* PRZEZWCZYCIĘZAJĄC MILCZENIE
74. *Bogdan Widera* SIOSTRA
75. *Bogdan Widera* KRÓTKO O KSIĄŻKACH

POEZJA I PROZA

3. WIERSZ NA OTWARCIE
Małgorzata Skalbania „CÓŻ JEST PRAWDA?” PIŁAT
20. *Małgorzata Skalbania* WIERSZE
28. *Marian Lech Bednarek* ZAPISKI O CZERNICY. OKNO
46. *Kinga Kościak* WIERSZE

EKOLOGIA

64. *Jolanta Karmańska* LAS POWRACA DO... NATURY

STAŁE RUBRYKI

66. Z ŻYCIA BIBLIOTEK
Dawid Staniek ROBOTY, MIKROSKOP I KLUSKI ŚLĄSKIE
67. ZNAKI I TWARZE MIASTA KATOWICE
EUROPEJSKI KONGRES GOSPODARCZY W KATOWICACH
68. OPOLE. KUSTOSZ MADONN KRESOWYCH TADEUSZ KUKIZ – IN MEMORIAM
76. NOTATNIKI KULTURALNE. Redagują: *Wiesława Konopelska, Jan Picheta, Joanna Kotkowska, Janusz Wójcik, Maria Szuka, Jacek Sikora.*
83. ŚLĄSKI MIESIĄC

NA OKŁADCE:

„Rasa. Pieśń antracytu” – widowisko przygotowane na finał INDUSTRIADY 2016 w Muzeum Śląskim.
Fot. Tomasz Żak/BP



Rys. Matgorzata Skalbania



„Cóż jest prawda?” Piłat

prawda z ogrodu saskiego nie zna już swojego autora
i może mylnie nosi imię
jest chłopcem w peruce
figurą zrekonstruowaną po uszkodzeniach wojennych
i pokojowych
część górna postaci głowa zupełnie nowa
nie wiemy jak wyglądała poprzednia
nagi tors zlepiony z kawałków i uzupełniony
odtworzona prawa ręka i lewa dłoń z tabliczką uciętą od góry
oryginalny kartusz z napisem
inspicecautuseris
tresura w określonym celu

Małgorzata Skałbania – ur. w 1965 w Tychach. Absolwentka ASP w Krakowie, dyplom u prof. Jerzego Nowosielskiego, staż w Chrześcijańskiej Akademii Sztuk Pięknych w Kampen, w Niderlandach. Wydała dwie książki poetyckie: „naleciałości”, „szmuctytuł”. Jej wiersze publikowane były w polskich i amerykańskich almanachach, w magazynach literackich i filozoficznych: „Twórczości”, „Fundacji Karpowicza”, „Latarni Morskiej”, „Akcencie”, „Aspektach Filozoficzno-Prozatorskich”, „Helikopterze”, „Indiana Voice” w Anderson, „Deltona High School BookReviews” w Deltonie, „RALPH The Review of Arts, Literature, Philosophy and the Humanities” San Diego, „Lotus-Eater” w Rzymie. Pracuje jako tapicer w Pracowni stolarsko-tapicerskiej w Teatrze im. Osterwy w Lublinie.

INDUSTRIADA

11 CZERWCA 2016



„RASA. PIEŚŃ ANTRACYTU”. MUZEUM ŚLĄSKIE

„Rozruch maszyn” rozpędzony wieczorem, w piątek 10 czerwca „Symfonią hutniczą” w wykonaniu grupy teatralnej Titanick na terenie Galerii Sztuki Współczesnej „Elektrownia” w Czeladzi, a zakończone widowiskiem „Rasa. Pieśń antracytu” na specjalnie wybudowanej, niebywale atrakcyjnej scenie Muzeum Śląskiego podczas Industriady w dniu następnym, stworzyły dynamiczne i energetyczne ramy tegorocznego Święta Szlaku Zabytków Techniki Województwa Śląskiego.

Ponad 90 tysięcy osób odwiedziło 44 obiekty szlaku zabytków znajdujących się w 27 miastach regionu i wzięło udział w ponad 400 przygotowanych zdarzeniach artystycznych, wystawach i spektaklach. Wystarczy powiedzieć, że na widowisko w Czeladzi przygotowano 2 i pół tysiąca bezpłatnych wejściówek, to i tak chętnych do obejrzenia tego pełnego ognia, przemysłowych dźwięków i fajerwerków było znacznie więcej.

Motywelem tegorocznej Industriady były legendy przemysłowe. Wokół niezwykłych postaci, które w przeszłości budowały potęgę przemysłową Śląska, stworzono wiele niezwykłych opowieści przekazanych w różnorodnej formie.

Imprezy „rozruchowe” odbywały się w tym roku w Chorzowie, Czeladzi, Katowicach, Rybniku, Siemianowicach Ślą-



MUZEUM ŚLĄSKIE. KATOWICE

skich i Zabrzę. Tłumy odwiedziły Park Tradycji w Siemianowicach Śląskich, Sztolnię Królowa Luiza w Zabrzę, osiedla w Nikiszowcu i Giszowcu, katowicką Fabrykę Porcelany, a także mniejsze obiekty, jak Browar Obywatelski w Tychach czy Muzeum Prasy Śląskiej w Pszczynie.

Święto Szlaku Zabytków Techniki to okazja do zajrzenia do wnętrza niezwykłych poprzemysłowych obiektów, ale także do odwiedzenia... swoich dawnych miejsc pracy. Napotkane w czeladzkiej „Elektrowni” dwie zaciekawione mazurek panie zapytane, czy obejrzały już wystawę, odpowiedziały: my przede wszystkim przyszły zobaczyć miejsce, gdzie przepracowałyśmy kilkadziesiąt lat! Ale jest wspaniale i piękne. Warto tu było przyjść! I o to także chodzi w tym wielkim święcie.



HUTA KRÓLEWSKA. CHORZÓW



HUTA KRÓLEWSKA. CHORZÓW



Zdjęcia: Tomasz Żak/BP Urzędu Marszałkowskiego

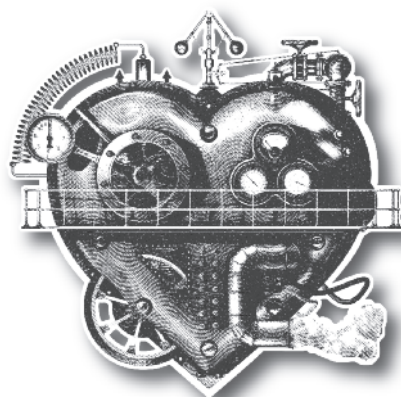
„LEGENDY CZELADZKIEGO PRZEMYSŁU”.
GALERIA SZTUKI WSPÓŁCZESNEJ „ELEKTROWNIA” CZELADŹ



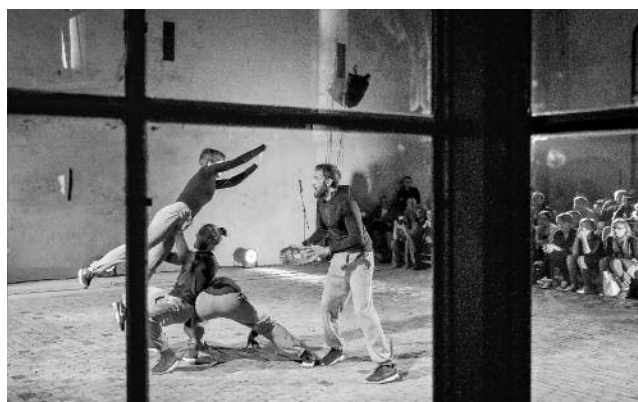
„SYMFONIA HUTNICZA”. GALERIA SZTUKI WSPÓŁCZESNEJ
„ELEKTROWNIA” CZELADŹ



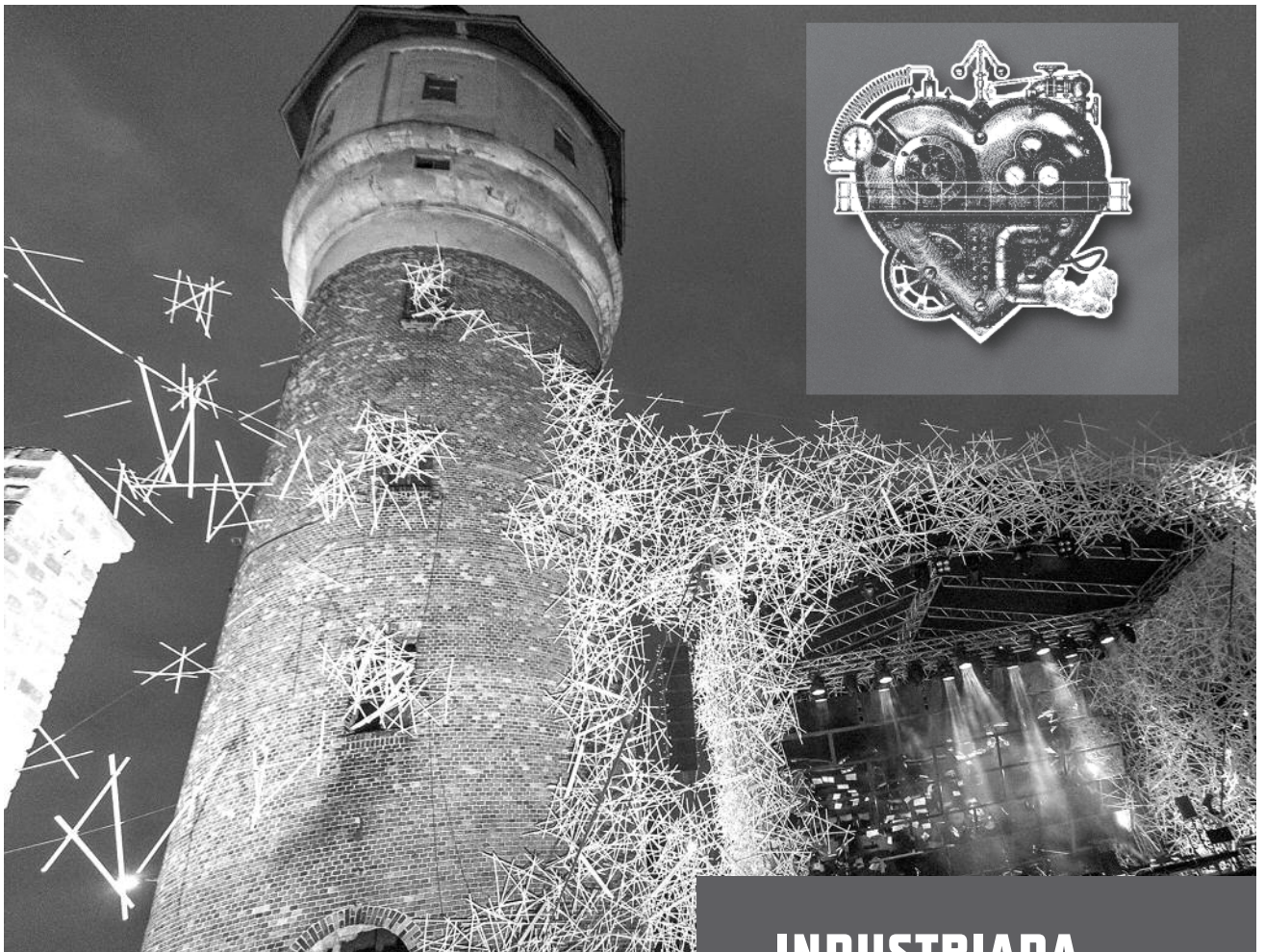
HUTA KRÓLEWSKA. CHORZÓW



GALERIA SZTUKI WSPÓŁCZESNEJ „ELEKTROWNIA” CZELADŹ



„JARAM SIĘ” – SPEKTAKL TEATRU ŚLĄSKIEGO.
HUTA KRÓLEWSKA. CHORZÓW



MUZEUW ŚLĄSKIE. KATOWICE

INDUSTRIADA

11 CZERWCA 2016



MUZEUW ŚLĄSKIE. KATOWICE



HUTA KRÓLEWSKA. CHORZÓW



GALERIA SZTUKI WSPÓŁCZESNEJ „ELEKTROWNIA”. CZELADŹ



GALERIA SZTUKI WSPÓŁCZESNEJ „ELEKTROWNIA”. CZELADŹ



MUZEUM ŚLĄSKIE. KATOWICE



GALERIA SZTUKI WSPÓŁCZESNEJ „ELEKTROWNIA”. CZELADŹ

Gdy ten numer naszego miesięcznika dotrze do rąk czytelników, piłkarski turniej EURO 2016 na stadionach Francji będzie się już toczył w najlepsze, a polska reprezentacja będzie już miała za sobą pierwsze grupowe mecze (oby z dobrymi wynikami, rokującymi awans do kolejnej fazy mistrzostw!).



Hubert Kostka

Drużyna marzeń

JERZY MACHURA

Wybieramy reprezentację Śląska i... „Śląska”

Niestety, w dzisiejszej naszej drużynie narodowej, notującej – po okresie chudych lat – czas niewątpliwej hossy, śląski futbol reprezentowany jest nader skromnie. Co prawda, jednym z podstawowych zawodników drużyny trenera Adama Nawałki jest bramkostrzelny Arkadiusz Milik, wywodzący się z Rozwoju Katowice, a potem kontynuujący karierę w Górniku Zabrze, ale obecnie to gracz Ajaksu Amsterdam. Gdy pisałem te słowa, nie była jeszcze znana kadra Polski na Euro, a w 28-osobowej ekipie kandydatów był tylko jeden piłkarz występujący obecnie w barwach śląskiego klubu – również napast-

nik Mariusz Stępiński z Ruchu Chorzów. Zatem mało nas, bardzo mało... Niejako więc dla pokrzepienia regionalnych – śląskich serc, proponuję zabawę we wspomnienia, a zarazem w... selekcjonera. Spróbujmy, drodzy Czytelnicy – miłośnicy sportu, zestawić drużynę marzeń – najlepszą „jedenastkę” piłkarzy naszego regionu lat 1945 - 2016, czyli można rzec: powojennego 70-lecia. Powspominajmy tych piłkarzy, którzy kiedyś stanowili trzon naszej kadry narodowej. A takich piłkarzy na Śląsku było sporo, zatem wybór może być trudny, nie tylko ze względu na sentyment do tego czy innego gracza czy klubu, ale i z przyczyn czysto obiektywnych, bo przecież niełatwo porównać klasę piłkarza z lat 50. z tym, z tym z dzisiejszej dekady – inne takty-

ki, inne strategie na boiskach, nieco inne ustawienia, słowem: inny futbol. W tej sytuacji najlepszym kryterium wydają się być osiągnięte z drużyną klubową czy w reprezentacji sukcesy, ale także wymogi współczesnej piłki nożnej. I choć na pewno nie obejdziesz się bez sentymentów, to jednak rzecz w tym, by wybrać nie jedenastu piłkarzy – indywidualnie, ale „jedenastkę” – drużynę stanowiącą dobrze rozumiejącą i uzupełniającą się team.

Szymkowiak czy Kostka?

A zatem kto w bramce? W latach 60. poprzedniego stulecia kibice zachwycali się kunsztem Edwarda Szymkowiaka, etatowego, rzec można, strażnika repre-

zentacyjnej bramki. Największe sukcesy zaliczył on jednak w klubowej „11” Polonii Bytom, z którą w 1965 r. sięgnął po Puchar Lata (Intertoto), a przede wszystkim po Puchar Ameryki, po którym to sukcesie witano w Bytomiu polonistów niczym bohaterów narodowych. Potem mieliśmy innego super goalkeepera – Huberta Kostkę z Górnika Zabrze, jednego z bohaterów występów zabrańskiej drużyny w Pucharze Europy Zdobywców Pucharów. Do dziś kibice pamiętają heroiczne boje Górnika z Romą w półfinale i z Manchesterem City – w finale tych rozgrywek. Kostka strzegł także bramki podczas Igrzysk Olimpijskich w Monachium (1972), walnie przyczyniając się do zdobycia złotego medalu przez naszą reprezentację. Obiektywnie więc oceniając bardziej wartościowe sukcesy stały się udziałem Kostki, zatem jego wybieram do naszej jedenastki. Przy okazji, nieco starsi kibice, zapewne przypomną sobie i takie nazwiska bramkarzy jak: Jan Gomola (Górnik), Witold Szyguła (Zagłębie Sosnowiec) czy Piotr Czaja (GKS Katowice i Ruch Chorzów). A ponieważ wspomniamy piłkarzy nie tylko z terenu dzisiejszego województwa śląskiego, ale ze Śląska, czyli całego regionu jaki „obejmuje” miesięcznik „Śląsk”, zatem nie wypada przeoczyć takich nazwisk jak Konrad Komek czy Józef Młynarczyk (obaj z Odry Opole). Młynarczyk odniósł nawet większe sukcesy niż Kostka, ale było to w okresie gdy był zawodnikiem Widzewa Łódź a potem portugalskiego FC Porto. Z podobnych względów nie biorę też pod uwagę Jerzego Dudka, który do wielkich piłkarskich zdobyczy doszedł nie w Knurowie czy Tychach, ale na zachodnioeuropejskich stadionach.

Trzech pewniaków i...?

Jak ustawić linię defensywną? Obecnie trenerzy różnie eksperymentują, ale my przyjmijmy tradycyjny system czyli 4 obrońców. W środku, w charakterze pary stoperów, wybór wydaje się dość łatwy – stawiam na „dwójkę” z Górnika Zabrze: Stanisława Oślizłę i Jerzego Gorgonia. Za tym pierwszym przemawiają przede wszystkim klubowe osiągnięcia w europejskich rozgrywkach pucharowych, za tym drugim sukcesy z reprezentacją podczas Mundialu 1974, gdy Gorgoń stanowił filar nie do przebycia w słynnej drużynie trenera Kazimierza Górskiego. Myślę, że z tym wyborem wszyscy się zgodzą, ale wypada wspomnieć i o innych reprezentantach Polski, którzy występowali w tej roli, np. Marian Ostafiński (Ruch) czy Roman Bazan (Zagłębie), który z równym powodzeniem grał i na flankach. No właśnie: kto na bocznych stronach defensywy? Na lewej stronie odpowiedź wydaje się bardzo prosta: to Zygmunt Anczok. Za piłkarzem rodem z Lublińca przemawiają sukcesy w Polonii Bytom, Górniku Zabrze, no

i spektakularne powołanie do Reprezentacji Świata na pożegnalny mecz słynnego Lwa Jaszyna. Jedyнным właściwie kontrkandydatem dla Anczoka może być wspomniany już Bazan, który występował w kadrze narodowej właśnie przed Anczokiem, ale takich sukcesów nie zapisano w jego życiorysie. A zatem Anczok bezdyskusyjnie! O ile na lewej stronie linii defensywnej temat był łatwy do rozwinięcia, to na prawej już znacznie trudniej wybrać najlepszego. W barwach narodowych z klubów szeroko rozumianego Śląska (a więc i Zagłębia i Opolszczyzny) grali m.in. Zbigniew Gut (Odra) – podczas „złoty” Igrzysk Olimpijskich w Monachium, Roman Strzałkowski (Zagłębie), a wcześniej Stefan Floreński (Górnik) i Henryk Szczepański (Odra). Zatem kto? Floreński czy Szczepański? Ten drugi aż 45 razy grał w reprezentacji kraju (także jako zawodnik ŁKS Łódź), był jej prawie „etatowym” kapitanem, ale nie odniósł takich sukcesów jak Floreński (dziewięć razy mistrzostwo kraju, pięć razy Puchar Polski), a poza tym był graczem bardziej uniwersalnym, bardziej byłby przydatnym do dzisiejszych wymogów futbolu. No i, dodajmy, był na polskich boiskach prekursorem wślizgów.

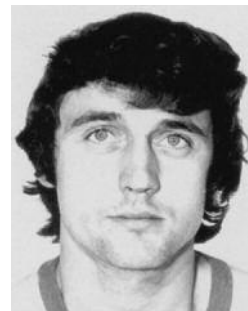
Dla kogo środek pola?

Czas na środek pola, czyli linię pomocy. Kiedyś nominalnie było to tylko dwu zawodników, dziś, w bardziej dynamicznej, rzec można: totalnej wersji futbolu, skrzydłowych uważa się nie za napastników, ale właśnie pomocników. Wybierzmy zatem „czwórkę”, zgodnie ze współczesnymi tendencjami.

Kto w „centrum dyspozycyjnym” boiska, czyli na samym środku? Kto w roli tzw. playmakerów, czyli tworzących grę? Na myśl cisną się przede wszystkim takie nazwiska jak: Stefan Grzegorzczak (Polonia), Witold Majewski (Zagłębie), Zygfryd Szoltysik, Waldemar Matysik (obaj z Górnika), Czesław Suszczyk, Bronisław Bula, Henryk Nie-roba czy Zygmunt Maszczyk (wszyscy czterej z Ruchu). Można jeszcze wspomnieć o Andrzeju Buncolu, ale ten okres prosperity miał w czasie, gdy grał w warszawskiej Legii. Sukcesy przemawiają za Maszczykiem (Mundial 74) i Szoltysikiem (w Górniku i w reprezentacji olimpijskiej), ale i wymogi współczesnej piłki także, toteż obstaraj przy tym, duecie. A kto z boku? Kto w roli skrzydłowych? Na prawej stronie wybór chyba dość prosty – to Jan Banaś (Polonia, a potem Górnik), gracz o nienaganej technice, porównywany (z różnych względów) do słynnego Irlandczyka z Manche4steru United George’a Besta – osiągał sukcesy zarówno w klubowym, jak i reprezentacyjnym wymiarze. Godzi się wspomnieć tu jeszcze o prawoskrzydłowym Zagłębia – Józefie Gałeczce. Dwóch kandydatów do wyboru dostrzegam na lewej



Jerzy Gorgoń



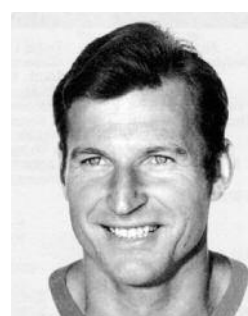
Jan Banaś



Ernest Pol



Zygfryd Szoltysik



Stanisław Oślizło



Zygmunt Maszczyk



Andrzej Szarmach

flance, bo w tej roli dali się zapamiętać przede wszystkim: Roman Lentner (Górnik) i Eugeniusz Faber (Ruch). Z wyborem chwilę się wstrzymam, najpierw spróbuję bowiem dokonać selekcji dwu klasycznych napastników, czyli graczy na środku ataku, jak do niedawna zwykło się mówić. A tu wybór ogromny. Pozycja jednego wydaje się być nie podważalna – to Włodzimierz Lubański i... tyle. Ta nominacja wydaje się, że wszystkich przekona. To gracz uznawany za jednego z najwybitniejszych w Polsce i gdyby nie pechowa kontuzja, to byłby porównywalny sukcesami z Kazimierzem Deyną i Zbigniewem Bońkiem.

Kto z Lubańskim?

A kto partnerem Lubańskiego „na szpicy”? Gerard Cieślik (Ruch), Ernest Pohl (Górnik), a także Jan Liberda (Polonia), Jerzy Wilim (Szombierki Bytom), Joachim Marx (Ruch), Andrzej Jarosik (Zagłębie), Jan Urban (Zagłębie i Górnik), Andrzej Szarmach (Górnik), Jan Furtok (GKS) czy Krzysztof Warzycha (Ruch)... Kłopoty bogactwa. Statystyki i legendy przemawiają za kimś z grona: Cieślik – Pohl. Choć o Cieśliku wszyscy słyszeli z racji pamiętnego meczu z ZSRR na Stadionie Śląskim, to jednak myślę, że para Lubański – Pohl dawałaby większą gwarancję skuteczności, bardziej by się rozumiała w tej „drużynie marzeń”. No dobrze, a Szarmach? Zatem kolejny dylemat: Pohl czy Szarmach? Sukcesy reprezentacji przemawiają za tym drugim, a poza tym bardziej pasowałby on chyba do linii ofensywy z Banasiem i Lubańskim. Trudny wybór. A przecież nie można zapominać o Liberdzie, którego techniką zachwycał się nawet Brazylijczyk, a chwalił go słynny Pele, gdy podczas tournée polskiej reprezentacji po Ameryce Płd. w 1966 r., bytomianin ogrywał

obrońców „Kraju kawy”. I właśnie, tu pewnie wielu zaskoczę, do ataku jako partnera Lubańskiego powołałbym Liberdę, a Szarmacha desygnowałbym na lewe skrzydło, na którym dał się dobrze poznać choćby w meczu z Francją o brąz podczas Mundialu ‘82 To wydaje mi się wybór odpowiedni na dzisiejsze czasy, adekwatny do współczesnych wymogów względem techniki graczy i taktyki na boisku. Choć to może dla starszych kibiców brzmieć obraźliwie, ale Cieślika i Pohla zostawiam na ławce rezerwowych.

Nasza „11”

Oto i w ten sposób wyłoniona reprezentacja Śląska, a raczej miesięcznika „Śląsk”:
KOSTKA – FLOREŃSKI, OŚLIŹŁO, GORGON, ANCZOK-BANAŚ, SZOŁTYSIK, MASZCZYK, SZARMACH-LUBAŃSKI, LIBERDA

Rezerwowi:

Szymkowiak, Szczepański, Bazan, Grzegorzczak, Cieślik, Pohl, Faber, Jarosik.

A kto trenerem?

Tu też wybór wydaje się oczywisty – to ANTONI PIECHNICZEK, który dwukrotnie doprowadził reprezentację Polski do finałowych turniejów mistrzostw świata. I chyba nie trzeba niczego więcej dodawać.

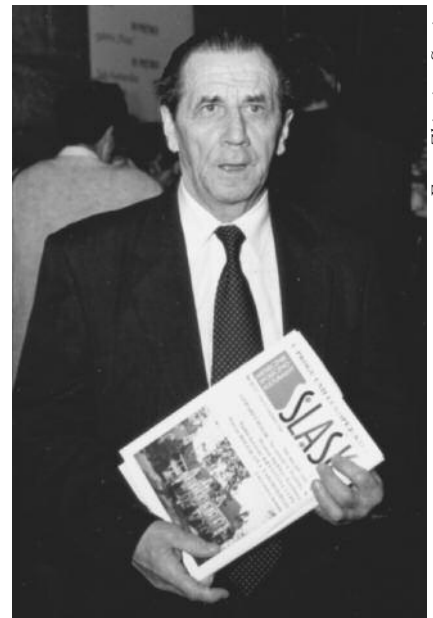
Uff... choć to tylko zabawa, to jednak łatwo nie było. Tym bardziej że zdaje sobie sprawę, że wielu czytelników będzie miała nieco inne zdanie. Cóż, taka rola selekcjonera...



Włodzimierz Lubański

Czy tak zestawiona reprezentacja Śląska miałaby jakiegokolwiek szanse z dzisiejszą reprezentacją kraju z Robertem Lewandowskim, Grzegorzem Krychowiakiem, Jakubem Błaszczykowskim, Arkadiuszem Milikiem i Kamilem Glikiem w składzie? Myślę, że tak. Tyle tylko, że taka „jedenastka” nigdy nie wybiegnie na boisko, że do takiego meczu nigdy nie dojdzie. Ale, to właśnie jest urok takich wspomnieniowych zabaw...

I na koniec nieco smutna dygresja: w gronie „11” wybranych tu piłkarzy jest aż dziewięciu, którzy w różnych okresach swojej kariery występowali w Górniku Zabrze i w nim odnosili największe sukcesy. W tym samym Górniku, który w tym roku, niestety dostąpił degradacji z ekstraklasy. Tym samym, ale jak widać nie takim samym...



Gerard Cieślik – od dawna należał do drużyny „Śląska”

Foto: Zbigniew Sawicz



Notatnik spóźnionego przybysza

MAREK S. SZCZEPAŃSKI

Media społecznościowe – ciemna strona mocy

Twittuj albo giń

Portale typu Twitter i Facebook na stałe zagościły w życiu wielu ludzi. Niektórzy mówią wprost, że jeśli nie *twittujesz* i nie ma Cię na *fejsie* to nie istniejesz wcale. Portale zastąpiły lekturę prasy, miejsce spotkań, zmieniły sposób komunikacji i stały się ważnym źródłem informacji. Odegrały niebagatelną rolę w wydarzeniach politycznych i społecznych. Obecnie w prawie każdej analizie tzw. Arabskiej Wiosny podkreśla się ogromną rolę mediów społecznościowych. One nie tylko załamały monopol na informacje tunezyjskich czy egipskich mediów, ale także były doskonałym kanałem do przekazywania informacji. Serwisy takie jak Facebook, czy Twitter umożliwiły sprawną wymianę informacji, przekazywanie komunikatów, ostrzegały o niebezpieczeństwie i gwarantowały relacje z miejsc, w których nie było dziennikarzy. Szybkie łącza internetowe i zaangażowanie tysięcy internautów pozwoliły na śledzenie na żywo wydarzeń, które wkrótce stały się ważnym elementem historii, a także pokazanie zachodnim mediom tego, czego oficjalne władze absolutnie pokazywać nie chciały – brutalności służb mundurowych, pacyfikowania demonstrantów i desperackich prób ratowania upadających reżimów.

Mistrzowie krótkiej formy

Krótkie filmy, kilkudzaniowe informacje były kontrapunktem dla oficjalnej propagandy i pokazywały Tunezjczykom i Egipcjanom co naprawdę dzieje się w centrum stolic. Komunikaty rozprzestrzeniały się niezwykle szybko, wkrótce zupełnie niezwiązani z tunezyjskimi czy egipskimi wydarzeniami młodzi Europejczycy „lubili” profile w rodzaju *We all are Khaled Said*, kibicowali demonstrantom i zagrzewali do walki. Profil upamiętniający bestialsko zabitego Egipcjanina szybko zdobył ogromną popularność liczoną wirtualnymi polubieniami. Wkrótce Khaled stał się symbolem tamtych wydarzeń, jego zdjęcia stały się rozpoznawalne, a jego śmierć przestała być kolejnym nadużyciem służb, a stała się symbolem niezgody na terror władzy i bezsilność obywateli. Media społecznościowe prawie natychmiast okrzyknięto orężem do walki z totalitaryzmem i dyktaturą.

Wrogie przejęcie

Nie minęło jednak wiele czasu, a wychwalane jeszcze kilka lat temu media społecznościowe stały się doskonałym narzędziem dla grup terrorystycznych. Nie sposób więc nie zgodzić się z Patrikiem Cockburnem, który w analizie funkcjonowania tzw. Państwa Islamskiego podkreśla, iż: „Ideologia, działalność, cele fundamentalistycznych sunnickich dżihadystów są codziennie nadawane za pośrednictwem telewizji satelitarnej, serwisów YouTube, Twitter i FB. Tak długo jak te potężne narzędzia propagandowe istnieją, grupom podobnym do Al Kaidy nie zabraknie pieniędzy czy rekrutów”.

Okrutnicy i media społecznościowe

Od ponad pięciu lat obserwujemy z niepokojem wydarzenia rozgrywane się w Syrii, od dwóch lat terror i barbarzyństwo uosabia nieuznawana przez Zachód nazwa Państwo Islamskie (Kalifat). To organizacja, która przeraża poziomem okrucieństwa i bezkompromisowości. Pod czarnym sztandarem i z koranicznymi wersetami na ustach zabija, torturuje, ale przede wszystkim zajmuje kolejne miasta na terenie Syrii i Iraku, gdzie sieje terror, wprowadza własne prawa i od nowa organizuje instytucje społeczne. To ugrupowanie terrorystyczne jest poważnym zagrożeniem nie tylko w skali regionu, ponieważ jego działania wykraczają poza Bliski Wschód, a ambicje sięgają Europy. Propagandowe filmy ISIS pokazują, że w ciągu kilku lat nowy Kalifat obejmie

nie tylko Lewant, Maghreb, ale także Półwysep Arabski i Europę. Ugrupowanie prowadzi bezkompromisowy dżihad nie tylko przeciwko wrogom z pola bitwy, ale także przeciwko wszystkim państwom Zachodu określanym mianem Krzyżowców.

Podręczniki zabijania

Organizacja Państwo Islamskie doskonale opanowała wykorzystanie mediów, przede wszystkim Internetu, do rozprzestrzeniania swojej propagandy oraz materiałów informacyjnych i instruktażowych, jest też aktywna w tzw. mediach społecznościowych. Publikacje ISIS są łatwo dostępne w Internecie, do ich znalezienia nie jest potrzebna znajomość języka arabskiego, teksty publikowane są w językach europejskich, a w arabskojęzycznych filmach czy teledyskach umieszczone są napisy. Media społecznościowe stały się dla organizacji niewyczerpanym rezerwuarem sympatyków, radykalnych sojuszników i wreszcie coraz to nowych rekrutów. Niekontrolowana przestrzeń Internetu stała się miejscem, gdzie można udostępnić materiały rekrutacyjne, poradniki, podręczniki zabijania oraz szereg materiałów propagandowych.

Należy podkreślić, że porażający jest radykalizm tej organizacji i system rządów przez nią stworzony. Nieuchronnie ewoluuje on w kierunku stworzenia na kontrolowanych obszarach niewystępującej dotąd struktury społeczno – terrorystyczno-religijnej. Tymczasem świat z przerażeniem obserwuje kolejne zbrodnie – dokumentowane i upubliczniane prawie natychmiast. Egzekucje, „wymierzanie sprawiedliwości”, krwawe egzekucje jeńców, niszczenie meczetów szyickich czy zabytków – czyny zdawałyby się mogło – tak okropne, że wstydlliwe, tak wstydlliwe, że winne być popelniane w ukryciu. Totalitarne reżimy zwykły dotąd swoje zbrodnie tuszować, ewentualnie urywać, czy po prostu przemilczać. Nic bardziej mylnego! Organizacja swoim okrucieństwem się chwali, dba o to, by bezwzględność, brutalność i brak poszanowania dla jakichkolwiek reguł (z wyjątkiem własnej ideologii) zobaczyli wszyscy. Ze szczegółami. W kwietniu 2016 roku Państwo Islamskie, dla przykładu, skazało na śmierć 45 dezerterów z własnych szeregów. Zamknięto ich na dobę w chłodni. Nie przeżył nikt.

*Felieton napisany we współpracy
z dr Karoliną Wojtasik
z Instytutu Socjologii
Uniwersytetu Śląskiego*

Rozszerzanie sfery demokracji, wolności i praw człowieka nawet kosztem własnego interesu ekonomicznego – z takimi ideami do niedawna kojarzona była w świecie czeska polityka zagraniczna. W dużym uproszczeniu można powiedzieć, że takie oblicze „polityki z ludzką twarzą” (nie tylko tej zagranicznej) nadał krajowi legendarny działacz opozycyjny i pierwszy prezydent Václav Havel, wraz z całą rzeszą ludzi odwołujących się do jego wartości. Ale wolnościowe idee Czech sięgają znacznie głębiej. Czesi z dumą wspominają swojego pierwszego przedwojennego prezydenta Tomasza G. Masaryka i podkreślają, że w XX-leciu międzywojennym ówczesna Czechosłowacja była jednym z nielicznych prawdziwie demokratycznych państw w naszej części Europy. Ileż to razy Polacy, Słowacy czy Węgrzy z zazdrością wskazywali na Pragę i Brno jako na wzór do naśladowania: tam to jest kultura polityczna, wyższy rozwój cywilizacyjny, nie to co u nas...

Koniec polityki w stylu Václava Havla:

czeska scena polityczna zmienia oblicze

JAKUB ŁOGINOW

Spoglądając na to, co stało się z czeską sceną polityczną w pięć lat po śmierci Václava Havla, musimy jednak ze smutkiem konstatować, że lepiej już było. Autorytety odchodzą, czeska polityka staje się coraz bardziej cyniczna i skorumpowana. Miejsce idealistów zajmują natomiast cyniczni oligarchowie pokroju Andreja Babiša, czy prezydent Miloš Zeman, który coraz bardziej upodabnia się do schorowanego Borysa Jelcyna w ostatnich latach swej prezydentury.

Ciche odchodzenie Schwarzenberga

Gdy w listopadzie zeszłego roku Karel Schwarzenberg ogłaszał odejście z funkcji przewodniczącego swojej inteligentnej partii TOP-09, wydarzenie to przeszło w polskich mediach całkowicie niezauważone. Niesłusznie. „W listopadzie 2015 roku skończyła się era

Havla i jego następców” – możemy dziś powiedzieć, parafrazując słynne zdanie o końcu komunizmu autorstwa Joanny Szczepkowskiej.

Powiedzieć o Schwarzenbergu, że był jednym z najbliższych współpracowników Václava Havla i kontynuatorem jego polityki – to nie powiedzieć niczego. Karel Schwarzenberg to z pewnością jedna z najjaśniejszych postaci czeskiej polityki, osoba pokroju Tadeusza Mazowieckiego czy Bronisława Geremka. Aristokrata, człowiek z nienaganną dykcją i manierą, znający języki, posiadający kontakty w świecie. W czasach komunistycznych żył na emigracji, gdzie aktywnie wspierał czechosłowacki ruch dysydencki i domagał się uwolnienia więźniów politycznych w krajach byłego bloku wschodniego. I był w tym skuteczny – również dzięki posiadanemu majątkowi rodowemu i kontaktom wśród wpływowych de-

cydentów na Zachodzie. Po transformacji 1989 roku był szefem kancelarii prezydenta Václava Havla, z którym znał się jeszcze z czasów dysydenckich. Większość osób interesujących się Cze-



Václav Havel

Foto: Ondřej Sláma. Źródło: commons.wikimedia.org

chami kojarzy jednak Schwarzenberga z bliższych nam lat, kiedy był on charyzmatycznym szefem MSZ w rządach Mirka Topolánka i Petra Nečasa. To właśnie on uosabiał i forsował to, co w czeskiej polityce zagranicznej najlepsze: przywiązanie do europejskich wartości, walkę o prawa człowieka, wspieranie demokracji Białorusi i dążeń eurointegracyjnych Ukrainy.

Politycznym dzieckiem Karla Schwarzenberga była założona przez niego partia TOP-09. Przekładając to na polskie warunki, to coś jak skrzyżowanie Unii Wolności z „Nowoczesną”. Akronim TOP rozszyfrowuje się jako: „Tradycja – Odpowiedzialność – Prosperita, a liczba 09 wskazuje na rok powstania partii. W założeniu miała to być (i była) partia ideowa, celująca w lekko konserwatywnych i liberalnych ekonomicznie wyborców z dużych miast, odwołująca się do dysydenckich i havlovskich tradycji, a w polityce zagranicznej stawiająca na proeuropejski kurs i krytykująca putinowski imperializm. Czyli zupełne przeciwieństwo tego, co reprezentował sobą eurosceptyczny i prorosyjski prezydent Václav Klaus, wywodzący się z prawicowej partii ODS, z którą zresztą TOP-2009 weszło w koalicję tworzącą rząd Nečasa.

W listopadzie 2015 roku Schwarzenberg zrezygnował (ze względu na wiek) z przywództwa w partii. Przewodniczącym „topki” został Miroslav Kalousek – były minister finansów, którego można określić mianem „czeskiego Balcerowicza”. Oznacza to wzmocnienie ekonomicznego filaru partii, która oprócz praw człowieka i demokracji mocno stawiała na odpowiedzialność budżetową i zdrową gospodarkę.

Schwarzenberg zarzeka się, że jego odejście niczego nie zmienia, priorytety TOP-2009 pozostają te same, wszak Kalousek był jednym z jego najbliższych współpracowników i razem tworzą zgrany duet. Czescy politolodzy są jednak sceptyczni, czy TOP-09 pod nowym przywództwem będzie w stanie porwać dusze wyborców. Kalousek jest niewątpliwie profesjonalistą, ale brak mu tej charyzmy, którą ma popularny książe. Po jego odejściu TOP-09 stanie się po prostu kolejną prawicową partią, niewiele różniącą się od znacznie starszej ODS, która także szuka pomysłu na dalsze funkcjonowanie i traci poparcie wyborców.

Miloš Zeman: dzień bez skandalu to dzień stracony

W 2013 roku w Republice Czeskiej odbyły się pierwsze bezpośrednie wybory prezydenckie – wcześniej głowę



Karl von Schwarzenberg

państwa wybierał parlament. Mało brakowało, a prezydentem zostałby Karel Schwarzenberg, który w pierwszej turze uzyskał 23,4% głosów, niewiele mniej od swego kontrkandydata. Ostatecznie jednak zwyciężył socjaldemokratyczny polityk Miloš Zeman, uzyskując w drugiej turze 54,8% głosów.

„Zaczynał jako charyzmatyczny trybun ludowy, kończy jak schorowany Borys Jelcyn” – pisał o czeskim prezydencie opiniotwórca dziennik „Lidove Noviny”. Miloš Zeman swoje najlepsze lata ma już raczej za sobą, a przecież w przeszłości Czesi mieli powody, by być z niego dumni. Na przykład w 1989 roku, gdy przyszedł prezydent postawił na szali ciepłą posadę i ostro wystąpił przeciwko komunizmowi, co przypłacił utratą pracy. Choć spoglądając na dzisiejszego prezydenta trudno w to uwierzyć, w przeszłości Zeman ostro krytykował wszelki radykalizm, dystansował się od poglądów rasistowskich i ksenofobicznych. Czyli dokładnie tych, z którymi dziś jest utożsamiany.

Przykładem tej ewolucji czeskiego prezydenta było jego zeszlóroczne antyimigranckie wystąpienie na praskim Albertowie podczas obchodów rocznicy Listopada 1989. Prezydent wystąpił wówczas u boku Martina Konvičky, lidera faszystującego Bloku Przeciw Islamowi, czym go de facto legitymizował. „Czechy nie są dla wszystkich” – grzmiał miesiąc później podczas orędzia bożonarodzeniowego.

Podgrzewanie antyimigranckich nastrojów to zresztą nie tylko specjalność Zemana, podobną populistyczną taktykę obrał w poprzedniej kadencji słowacki premier Robert Fico. Czym się to skończyło, już pisaliśmy w kwietniowym numerze „Słaska”. Fico rozpętał histerię, legitymizował radykalnie ksenofobiczne poglądy, czego efektem było wejście do parlamentu z wynikiem aż 8% neofaszystowskiej ESNS Mariana Kotleby – partii, która wcześniej była traktowana jako polityczny folklor. W przypadku Czech może być podobnie: wygłaszając ksenofobiczne hasła i de facto popierając faszystujące ruchy,

Zeman już doprowadził do tego, że Blok Przeciw Islamowi rośnie w siłę i przygotowuje się do wyborczego sukcesu na jesiennych wyborach regionalnych.

Miloš Zeman znany jest także z rubasznego języka i nadużywania alkoholu, do czego zresztą sam się przyznaje. Problem w tym, że przysłowiowy „kieszonkowy winiarz, może dwa” zbyt często zamienia się w coś więcej, a Zeman popelnia ostatnim czasem gafę za gafą. Kilka razy kończyło się to ostrym konfliktem dyplomatycznym, na przykład po słowach prezydenta, że Czechy powinny przyjąć euro dopiero po tym, jak z eurostrefy zostanie wyrzucona Grecja. W efekcie Ateny czasowo odwołały z Pragi swojego ambasadora, doszło do naruszenia dobrych relacji dyplomatycznych – a wszystko przez jedną niezręczną wypowiedź.

Na tym właśnie polega problem Zemana – o sprawach, z którymi często większość Czechów się zgadza i które jako takie nie są głupie, nie potrafi mówić w dyplomatyczny sposób. To właśnie odróżnia go od socjaldemokratycznego premiera Bohuslava Sobotki, przewodniczącego ČSSD, czyli partii, której Zeman był współzałożycielem i wieloletnim liderem. Rząd Sobotki również jest sceptyczny wobec przyjmowania uchodźców, ale premier używa innego języka, jest umiarkowany i powściągliwy w swoich wypowiedziach, przez co zyskał szacunek wśród unijnych i amerykańskich partnerów.

Jeszcze niedawno Sobotka popierał prezydencką kandydaturę Zemana, dziś jednak ich drogi się rozeszły i nie można nawet mówić o „szorstkiej przyjaźni”. Zemana i Sobotkę różni coraz więcej, a najwyraźniej widać to w polityce zagranicznej. Bohuslav Sobotka jest politykiem zdecydowanie proeuropejskim, potępia rosyjską agresję wobec Ukrainy i wspiera tę ostatnią w sposób nawet bardziej intensywny, niż Polska. Przykładem tego była chociażby przyjazna wobec Ukraińców polityka wizowa – w odróżnieniu od Polski, Czechy chętniej wydawały naszym wschodnim sąsiadom wize pięcioletnie (podczas gdy polskie konsulaty dawały głównie krótkoterminowe), rząd Sobotki aktywnie udzielał Ukrainie pomocy humanitarnej, przyjmował rannych z Majdanu. Do światowej opinii publicznej przebił się jednak odmienny przekaz – Czech jako państwa sceptycznego wobec UE, prorosyjskiego. Wszystko to właśnie za sprawą Zemana, który podobnie jak jego poprzednik Václav Klaus otwarcie wspiera politykę Putina i dystansuje się od Europy.

Tę dwoistość widać było wyraźnie podczas niedawnej wizyty w Pradze

chińskiego prezydenta, który witany był przez Zemana z wielką pompą i ukłonami. Krytycy porównują to wydarzenie do wizyt Breżniewa w czasach komunistycznych – zamknięte ulice, szykany wobec uczestników antychińskiej demonstracji przypominającej o łamaniu w Chinach praw człowieka, witający Si Ĥin-pchinga „chińscy turyści”, którzy pojawili się w Pradze niewiadomo skąd i nagle znikli (ich zadaniem było zasłonięcie protestujących prazan). Ale najdobitniejsza była wypowiedź Zemana o tym, że „dopiero teraz Czechy są państwem suwerennym”. Dlaczego? Bo mogą współpracować z Chinami i Rosją i nie klękać przed Unią Europejską i USA, które zdaniem Zemana tę suwerenność ograniczają.

Andrej Babiš: państwo to ja

O tym, w jakim kierunku idzie czeska polityka, świadczą także rosnące wpływy wicepremiera – oligarchy Andreja Babiša. Ten pochodzący ze Słowacji polityk zbudował wielką fortunę na początku lat 90. w dość niejasnych okolicznościach. Krytycy zarzucają mu powiązania z komunistycznymi służbami, co jednak nie znalazło potwierdzenia w dowodach. Babiš jest obecnie drugim najbogatszym Czechem i zarazem najbogatszym Słowakiem, a podstawą jego biznesowego imperium jest grupa Agrofert, potentat na czeskim i słowackim rynku spożywczym.

Dla Babiša polityka jest przede wszystkim przedłużeniem biznesu i środkiem pozwalającym na zabezpieczenie jego interesów. Z tą właśnie intencją Babiš przebojem wszedł do polityki, zakładając partię ANO-2011, o profilu centrowo-populistycznym. Morze pieniędzy wpompowanych w kampanię zrobiło swoje i na wyborach w 2013 roku ten nowy projekt polityczny uzyskał aż 18,65 procent głosów, niewiele mniej od zwycięskich socjalistów (20,45 proc.). ANO weszło wraz z ČSSD i ludowcami do rządu Bohuslava Sobotki, a Babiš został wicepremierem i ministrem finansów, co zapewniło mu możliwość forsowania korzystnych dla swojego biznesu rozwiązań (a także nasyłania kontroli skarbowych na konkurencję).

Na tym nie koniec – w 2013 roku Agrofert kupił większościowy pakiet udziałów w wydawnictwie MAFRA, przejmując tym samym najważniejsze czeskie media. Do finansowego imperium Babiša należą m.in. opiniotwórcze dzienniki Mladá fronta DNES i Lidové noviny, tygodnik TĚMA oraz najważniejsze portale newsowe: idnes oraz lidovky. Wspomniane media nadal zachowały wysoki poziom dziennikarski, ale tylko w tych tematach, które nie do-

tyczą bezpośrednio Babiša i jego spółek. Pisać można o wszystkim, ale krytykować wicepremiera nie wolno – tak można streścić panującą tam politykę redakcyjną, która stała się przyczyną odejścia z tych mediów kilku znanych dziennikarzy.

Zeman – prezydent, Babiš – premier?

Jesienią 2016 roku w Czechach odbędą się wybory regionalne połączone z wymianą jednej trzeciej miejsc w senacie, które będą testem dla znacznie ważniejszych wyborów parlamentarnych, zaplanowanych na 2017 rok. Biorąc pod uwagę finansowe i medialne możliwości Babiša oraz jego skuteczność w kupowaniu poparcia wpływowych osób (celebrytów, dziennikarzy), zwycięzca jest niemal pewny – jest nim ANO. Tym bardziej że jedyna partia, która jest w stanie z ANO konkurować, czyli socjaldemokraci, znalazła się w poważnych kłopotach finansowych. Wszystko za sprawą niedawnego wyroku sądu, który nakazał socjalistom wypłacić gigantyczne honorarium wraz z odsetkami kontrowersyjnemu adwokatowi Zdenkowi Altnerowi, który przed laty pomógł partii wywalczyć jej obecną siedzibę w centrum Pragi. Niekorzystną dla partii umowę podpisał jej ówczesny lider Miloš Zeman, a z kłopotem radzić sobie muszą już jego następcy, w tym Bohuslav Sobotka.

Aby wypłacić zasądzoną kwotę, partia musi zaciągnąć olbrzymi kredyt i znacznie ograniczyć wydatki na kampanię. W partii ANO zacierają ręce – odpada największy konkurent (choćby zarazem koalicjant), jedyny, który mógł dotychczas wyasygnować na wybory środki porównywalne z tymi, które ma do dyspozycji Andrej Babiš.

Zagrożeniem dla ANO nie jest też obecna centroprawicowa opozycja. Obie partie, czyli TOP-09 i ODS notują sondażowe spadki i ich poparcie oscyluje wokół 8-10 procent. Rośnie za to Babišowi, a także wspomnianym już ekstremistom skupionym wokół Martina Konvički, coraz wyraźniej wspieranym przez prezydenta Zemana. O Bloku Przeciw Islamowi mówi się nawet jako o przyszłym politycznym zapleczu prezydenta, po tym jak rozszedł się on politycznie z Bohuslavem Sobotką i jego ČSSD.

Kontrowersyjny Zeman jako głowa państwa, autorytarnie rządzący Andrej Babiš jako przyszły premier, a w parlamencie silna reprezentacja ekstremistów Martina Konvički – tak może już za rok wyglądać czeska scena polityczna. Havel przewraca się w grobie, a na Kremlu zacierają ręce.



Ludwik Śmieja wskazuje na wody goczalkowickiej zapory – tu niedaleko była Piechówka, ojcowizna wiskich Lazarów

Nawet świynty Jon nie pomóg

Pawła zeżar Hitler,
a Piechówka załoła wielko woda

GRZEGORZ SZTOLER

Ciotka Gynia Rzepka z pszczyńskiej Starej Wsi pamięta wielki kancjonał w kierym ciotka Paula Lazarowa miała ponotowane wszystkie daty. Były tam też na pewno te związane z jej ojcem, Pawłem Lazarem z Wisły Wielkiej. Bo żodne papióry sie po nim nie ostały.

Ciotka pamięta ino, że zaraz po wojnie przyszedł list od ewangelickiego pastora z Berlina z informacją, że tam właśnie, w stolicy Rzeszy, zginął ich ojciec. Dokładnie 10 maja 1945 roku, a więc już po kapitulacji Niemiec i oficjalnym zakończeniu wojny, Paweł zostaje ciężko ranny. Choć długo się zdołało, że hitlerowskiego wojska uniknie, trafił tam w grudniu 1944 roku. Wziął go kiedy było wiadomo, że już wojna dło Rzeszy je przegrano.

Paweł poszedł na nieswoja wojna. Na wojna Adolfa. Tak jak tysiącom Ślązaków, kozali mu włożyć mundur

Wehrmachtu i walczyć za fuehrera i całą tą Rzeszę niemieckich narwańców. Paweł na pewno nie chciał zostawić młodej żony z gryfnom cerom i maluśkim synkiem. Na pewno niy. Idzie pedzieć, że cało ta polityka, Hitlera i Wielki Niemcy, miał w rzici. Tak jak jego młodszy brat Jan (rocznik 1916) – kierego mimo, że czuł sie Polokiem – wysłali pod koniec 1940 roku do Francji, azaros potem ciepli na ruski Ostfront. Paweł wiedziol, co sie świyni...

– Moja mama, Łucja z domu Nowok, była młodziutka jak sie wydowała – spomino ciotka Gynia. – Łojciec, jak sie ży-



Cudem odnalezione, nieznanie nawet rodzinie, zdjęcie ślubne Pawła Lazara i Łucji z domu Nowok z Wisły Wielkiej z czerwca 1940 roku. Ujkowi Bronkowi, synowi Pawła przyniósł je kolega. Nawet nie spodziewał się, jak wielką sprawił niespodziankę. Obok pana młodego siedzi jego ojciec, również Paweł zmarły tuż po wojnie. Nad Pawłem stoi jego brat Jan Lazar, mój dziadek, który wkrótce trafił w mundurze Wehrmachtu do Francji a potem na Ostfront, do Ruslandu. Wrócił dopiero w 1946 roku i nigdy się z Pawłem nie zobaczył...

nił miał genał 33 lata i był o jednoście lot starszy łod mamy. Weseli mieli 30 czerwca 1940 roku. Tyle wiem. I niewiele pamiyntom z całej tej wojny, bo miałach ledwo co trzy i pół roku, jak łojca wziyni do Wehrmachtu.

Ślubne zdjęcie Pawła i Łucji Lazarów pochodzi już z wojny, z czerwca 1940 roku, kiedy jeszcze jest spokojnie, choć wojna już trwa. Niemcy utrwalały władzę, ale jeszcze nie ma „branki”, jeszcze nie ma „wojny z Rusami”, jeszcze nie leje się rzeka krwi, jeszcze stalinowski potwór nie pożera śląskich chłopców. Potęga Rzeszy trwa w najlepsze. Aż do ataku Hitlera

I nic po nim praje nie ostało – żadnych zdjęć, pamiątek. Ciotka Genia pamiynto, że ciotka Paula zbierała wszystkie te rzeczy, zdjęcia do skrzynki. Dawniej nie było tylu fotografii, każda była cenna, każda była relikwią. Więc siostry Pawła, Paula z Marysią, dbały o pamięć o bracie, najlepiej jak mogły i często go spominały. O, jakże cenny byłby ten kancjonał ciotek, ileż tam musiało być dat – pewników, faktów. Od których można by rozpocząć poszukiwania – głębiej i głębiej. A tak nie ma nic. Prawie nic. Poza pamięcią, pamięcią emocjonalną. Bo ojciec był

iże proszę o potwierdzenie i pomoc. Tyle. Czekam. Do teraz. Obiecali pomóc – więc czekam.

Lazary z zalonej Piechówki

Pieronie, cheba mi sie zdo. Zdo mi się, że godo do mie mój dziadek Jan Lazar. Ale łon już downo łumar. Nima go. Ale tak jakbych go słyszol...

A godo do mie ujek Broniek Lazar z Wisły (rocznik 1943), syn jego brata Pawła. Nic dziwnego. Historia jest jedna i ta sama. Dom rodzinny Lazarów, na kiery godali „Ju Piecha”, stał na pograniczu dwóch światów, dwóch Śląsków – pruskiego i austriackiego. Tuż nad Wisłą, która od połowy XVIII wieku stała się granicą między Austrią a Prusami, po ich wzajemnych wojnach o Śląsk. Granica między Wisłą Wielką, dawniej Polską, a magicznym Zarzeczem, cieszyńską wioską, którą pochłonięły w latach 50. dwudziestego wieku wody zbiornika goczalkowickiego. O paradoksie – sąsiedzi z tego zakątka pod pszczyńskiej Wisły też podzielili ten los, też rozpiechrzli się po okolicy i po świecie. Dom Lazarów z Wisły zniknął tak samo jak zarzeckie domostwa. Pochłonięła je zaporą.

Więc słucham opowieści ujka Bronka Lazara, który chodził z drugiego krańca rodzinnej Wisły na to pogranicze jako młody synek. Odwiedzał mieszkające tu ciotki Paulę i Marysię, pomagał w gospo-

Paweł poszedł na nieswoja wojna. Na wojna Adolfa. Tak jak tysiącom Ślązaków, kozali mu włożyć mundur Wehrmachtu i walczyć za fuehrera i całą tą Rzeszę niemieckich narwańców.

na Rosję w czerwcu 1941 roku. Wtedy wszystko zaczyna się sypać...

Jan, brat Pawła, zaginał, niepokoją się o niego siostry – Paula i Maria. Ale wróci do domu w 1946 roku z ruski niewole. A Pawła na sam koniec pożera dogorywająca bestia wojny. Kiedy wojna jest już niemal skończona, a Niemcy przegrane i upokorzone...

Paweł po dwóch tygodniach cierpień umiera 25 maja 1945 roku w jakimś berlińskim szpitalu. Pochowano go, jak napisał pastor, na ewangelickim cmentarzu kaś w Berlinie.

i się go czuło – jego obecność. I częścią ojca się jest – bo to biologia. Część ojca się dziedziczy – czy się tego chce, czy nie...

* * *

Błądzą po necie, szukając stron o Ślązakach poległych w Wehrmachcie. W końcu trafiam tam www.volksbund.de i zostawiam w zapytaniu krótką historię – że to Paweł/Paul brat mojego dziadka Jana/Johanna poległ wtedy a wtedy, że niewiele więcej wiadomo,

darce. I hodował ojcowe gołębie. I tak jak mój dziadek Jan, jego ojciec Paweł, on też wędrował przez most, między stowami, po wałach i przez rzekę na to cy-sarski Zarzecze – na szumne odpusty, do radosnych gospód skąd zawsze dobiegał śpiew i muzyka...

– Miyszkali my z mamom, Łucją Lazar z domu Nowok, tujkij, kaj stoi staro chałpa, u dziadków – u Jana Nowoka – spomino ujek Bronek. – Chodziłech do ciotek, Paule i Marysi, tam na Piechówka gołymbie futrować, w polu pomagac... Krowy zech na Olszyny ganiol... Pamiyntom to tam wszystko, jak było...

Mama ujka Bronka, zmarła dwie dekady temu Łucja Lazar, chodziła z dziećmi na spacerki do ciotek na Piechówce. Jest jedno takie zdjęcie – dowód takich niedzielnych, czy świątecznych spacerów. Widać na nim Marysię i Łucję z dziećmi – małą Genią i jeszcze mniejszym Bronkiem. Czy właśnie wtedy przyszła informacja o śmierci Pawła? Czy już wtedy Jonek wróci z Ruslandu, z niewole?

Piechówka była ino jedna

Bronek: – Jo ta chałpa, kajmiyszkały-moji ciotki, i kajgodali „do Piecha”, jak dzisiyj widza, boch ta chodził... Wiym jak wyglondała... No, tako normalno, mało, ceglano, ze spadnistym dachem, dachówkom kryto... Mój łojciec gołymbie chowoł we forbale, jo tam do tych gołybników wlaził... Zaroz ci to namaluja, czekej... Tu jest droga, jak do zapory sie jechało... Tu sie skryncalo... Tujkijteroski mieszkajom Szoltysy... Piechówka była ostatniom chałpom, tak przed zakryntem.

Bronek [szkicuje rozkład zabudowań]: – Tu było wejści... Tu była jedna szopka. Tako szopezka... A tu stoła stodołka. A tam był most. Przed nim była tako rozwalono mlyczarnia łod Niymculi. Na dół tam miyszkał ci – zarozse-spomna... Zellnery. Za mostem była droga w prawo. A figura świyntego Jona Nepomucyna, łod wielki wody, stoła za mostem...

A tu był kanar. My w nim ryby chytali... A tu była Kobylarnia... Tu miyszkały Ziebury... Waliczki... Potem tyn ksiądz, co tam był – jak łon sie nazywoł? Pochodził z tej chałpy... Jerona jasnego...

Gospodarki na Piechowym to ta nie było wielki. Krowy tam chowali, świni ta mieli. Jo tam nie pamiyntom bardzo konia... Niy... No bo tam chopa nie było też po wojnie... Ciotki gospodarzyły same. Pole orne było wyży, kaj Ziebury mieszkaly. A krowy zechposoł, tam kaj zapory jeszcze nie było, na tych łakach na Olszynach... Ciotki miały tam z dwie morgi. My tam siano chodzili suszyć z mojom mamom... Dwa razy za dziyń siano przewracać. Ja, tam je moja ojcowizna... Tam była moja ojcowizna...

Ta chałpa ciotkom rozebrała zapora. Pote się ciotki na Starej Wsi wybudowały. Kazik tam teraz miyszko, mój kuzyn, syn łodJonka, twójigo dziadka. Musza go ta nawiedzić...

Łojciec

Ujek Bronek: – Łojciec poszeł na wojna w 1944, jak siejusz wojna miała ku końcu... A czymu tak późno poszeł? Bo łon miał postrzał w ryncie (rejmatyka mu chyciła), nie łumiołniom ruszać... Cało była spuchniynto... A wiysz czym to lyczyli? Nie wiysz – ludzkim gównem... Namiyszali na szmaty i poowijali... I to sie wygoiło...

No toż mój łojciec na wojna nie poszełzaroz, tak jak sie należało... Jak mu ta rynka wyliczyli, to go potem wzyjni... W 1944 poszeł na front... Poszeł późni niż Jonek, jego brat... Jonek poszeł pryndzy.

A jak pojechał, tak już nie przyjechał – na zoden urlop... Były listy, ale to ich chebał ojciec nie wysłał... Bo te listy były w chałpie potem... Jak te papiory wszytki z Niymiec przyszyły... Przyszyły – kaj był pochowany...

Pamiyntom, że my te papiory z kuzynem z Giszowca wszytki łogłondali... Mama miała je na górze schowane, w starej chałpie. Ta tam tesz ksionżeczka wojskowo... Mama łumarła i nie łostało po ni nic... Wszytko sie potraciło...

Tyla wiym, że je pochowany na wanielickim cmyntorzu w zachodnim Berlinie, bo były ciyszko ranny i umar tam we szpitalu.

Łostały gołymbie we forbale

Bronek: – Gołymbie były forbale... Jo tam chodził ku tym gołym biom. Chodziłech do ciotków na Piechówce je futrować. Tyla mi po łojcu łostało... Łon



Brat Pawła, Jan stoi przed rodzinnym domem w Wiśle Wielkiej. Godali na nich we wsi „lu Piecha”, toż tymu Piechówka. Wkróće pochłonie go zapora goczałkowicka. Ale wcześniej skończy się wojna, z której Jan wróci cały, a jego brat Paweł zginie tragicznie w Berlinie.



Ujeź Broniek Lazarz razem ze swym kolegą Ludwikiem Śmieją przypominają sobie, kto koło kogo mieszkał na zalanym przez zalew goczalkowicki w latach 50. części Wisły Wielkiej.

miół tak gołymbie wyszkolone, to były te garłocze, to mi te ciotki godały, że jak był jeszcze kawalerym, łon łokno łotwar to tyn gołab przyszeł, bez łokno ifrr... A łon miół w szolce kawa, nny... Przyszeł, napił sie i zaś poszeł... Taki miół oswojone ty gołymbie, tyn mój łojciec...

Za Szoltysem już zalone

Jak wyglądała ta dawnio Wisła Wielka w tym zalonym koncie miyndzy szosą na Strumień, a drogą na Zarzecze? Siedzimy z ujkim Bronkiem Lazarem u jego starszego kolegi, Ludwika Śmieji. Za posiadłością Śmiejów, gdzie kiedyś było gospodarstwo wolnego sołty-

mieszkańców tego zakątka, wie co robili, czym się zajmowali, kim byli sąsiedzi Lazarów/Piechów (- Śmieje się tu datują od 1817 roku – słyszę. Był tu niejaki Bartecki, który przepisoł się na „Śmieja”, potwierdzają to zresztą badania Józefa Speka, miłośnika dziejów tego pogranicza, który zajął się spokrewnionym ze Śmiejami rodem Żmijów).

To już nie jest ta Wisła zapamiętana przez ujka Bronka, sprzed zalania – rolnicza, tradycyjna, swojska. Zapora, a i ostatnie czasy, nadały tej części wsi wybitnie rekreacyjny charakter. Syn pana Ludwika prowadzi gospodarstwo, widzimy jak krząta się przy chlewie, z którego dobiegają pochchrząkiwania głodnych, oczekujących karmienia świniaków. Kawalek dalej,

ne. Choć po prawdzie, to robota na gospodarstwie zawsze była i nigdy czasu nie było na takie „odpoczywanie”, jak teraz mają turyści.

Dawniej, słyszę, żyło się ciężko, więcej roboty w polu – gospodarz od rana, już nieraz od szóstej, do wieczora orał i siał, a nie tak jak teraz, maszynami, czy zlecając pracę. I liczymy, jak wydajnie pracowało się końmi, czy traktorem. Już traktor przyspieszał znacznie pracę. A tej było sporo. U Śmiejów, gdzie dawniej było wolne sołectwo, to aż niemal 25 hektarów do obrobienia. Było co robić. Teraz sporą część zabrała zapora – przy budowie, w latach 50. i później, bo woda nieraz podmywała skarpe brzegu i dopiero jego kamieniowanie zatrzymało ten proces.

Pytam, czy z placu pana Ludwika, przy niskim stanie wód, można by dojrzeć Piechówkę, jej fundamenty? Okazuje się, że jest to możliwe. I tak już się zdarzało, choćby w pamiętnych latach 90., kiedy woda odsłoniła ludzkie szczątki cmentarza cholerycznego w Zarzeczu.

Pan Ludwik pokazuje mi ręką kierunek, w którym się znajdowała Piechówka, most nad kanałem ze św. Jonem. Później spacerując brzegiem zbiornika dokładnie mi umiejscawia drogi, kolejne zabudowania, nazwy terenowe – to co z ujkim Bronkiem umieścili na mapie. Piechówka była bliżej niż sądził ujeź Kazik ze Starej Wsi, kuzyn Bronka (nie dwieście, ale kilkadziesiąt metrów od brzegu). I nie na wprost, jak wpada ulica Zalewowa, ale nieco w lewo, bo droga tu wiała się, w kształcie „S”-ki, a Lazarówka na Piechowym stała na zakręcie. Idąc prosto Zalewową w wody goczalkowickiego

Dom rodzinny Lazarów, na kiery godali „tu Piecha”, stał na pograniczu dwóch światów, dwóch Śląsk – pruskiego i austriackiego. Tuż nad Wisłą, która od połowy XVIII wieku stała się granicą między Austrią a Prusami, po ich wzajemnych wojnach o Śląsk. Granica między Wisłą Wielką, dawniej Polską, a magicznym Zarzeczem, cieszyńską wioską, którą pochłonięły w latach 50. dwudziestego wieku wody zbiornika goczalkowickiego.

sa, jest już tylko skarpa i wody goczalkowickiego zalewu, który pochłoniął część Wisły i Zarzecze. Rozkładam plan narysowany przez ujka Bronka. Obaj dyskutują, kaj co szło, spiyrajom się. Wreszcie, postanawiają narysować go na nowo, nie na jednej a trzech kartkach. Rysuje Broniek, Ludwik uzupełnia, koryguje. Pytam i filmuję tę ciekawą relację. Pan Ludwik pamięć ma niesamowitą, wymienia wszystkich

drogą polną wzdłuż brzegów zbiornika, przez dawny, rozległy ogród Śmiejów, zaczyna się inny krajobraz, równie sielski, choć bardziej turystyczny. Dwa rzędy domków i kampingów, wszędzie wypoczywający ludzie z rodzinami, przeważnie wędkarze, choć nie tylko. Widok, przestrzeń, woda i ten widok na Beskid robią swoje. – Po co momjechać nad morze – słyszę od pana Ludwika. – Morze jest tu, gdzie ja tak wypocz-

zbiornika trafiłoby się w zabudowania Brudków, gdzie kiedyś stała kuźnia kowala Żupy. Przy okazji dowiadujemy się (bo przypomnieliśmy się ujtkowi), że u Piechów był koń, na pewno (poza świniami, krowami i inną drobnicą). I pewno sprzęgali go z sąsiadowym przy robocie. Zresztą pola nie mieli wiele, nie byli tak bogaci jak Śmieje, zresztą nikt tyle nie miał. Śmieja był najbogatszym

drogi skracającej w prawo, odbijała dróżka „Do Przygonu”, prowadząca w stronę stawów i rzeki Wisły. A główna droga szła dalej w kierunku Starej Kobyłarni.

A za Zelnerem nie było nic, ino Olszyny, łąki kaj chłopcy wypasali krowy.

Zapora pochłonęła w sumie dziesięć chałpów – tak szacuje pan Ludwik Śmieja. – Brudki to miały cztery albo

jak downi, rozłożył go, przykrył się tom szmatom i na placu fotografował ludzi, jak do dowodów zdyńcia potrzebowali, dziecka... Czy robił coś jak zalywali – nie umia pedzieć. Pawlas miał Marta Żupowa. Łoni wyprowadzili się do Mysłowic i tam pomarli.

– Na Piechowym był świąnty Jon – potwierdza Śmieja. – Ino jak tyn most szpryngli, to łona, ta figura, była przewrócono i połomano. Stoła przed kanarem po prawej stronie, przed mostem (ujek Bronek to raz jeszcze potwierdza). Ktoś jom wzion... Łona tu leżała chyba kole Kubice. Ale kto to wzion to nie wiyim. Była tak telo – pokazuje na siedząco, co daje gdzieś z półtora metra. I twierdzi, że przy niej leżała drugo część figury. Czy była to głowa św. Jona, jak twierdził mój dziadek, czy też krzyż – nie wiadomo do końca.

Nawet świąnty Jon nie uchronił Piechówki od zalania przez wody zapory. Ani od tej wojny, na której Paweł, jak wielu śląskich chłopców, musiał zginąć...

To już nie jest ta Wisła zapamiętana przez ujka Bronka, sprzed zalania – rolnicza, tradycyjna, swojska. Zapora, a i ostatnie czasy, nadały tej części wsi wybitnie rekreacyjny charakter.

gospodrzem we wsi. Krowy pasły się za chałpom, do kanaru było z kilkadziesiąt metrów, w polu robili Lazarowi chłopcy, z ojcem. Po drugim sianie, krowy pędziło się na Olszynki, szły tam do kupy, wszystkie naroz z sąsiadowymi. Łazły czasem na cesarskie, więc z cesarokami pruskie Wiślany się przeczucali kamieniami, patykami. Ot, takie chłopięce zabawy.

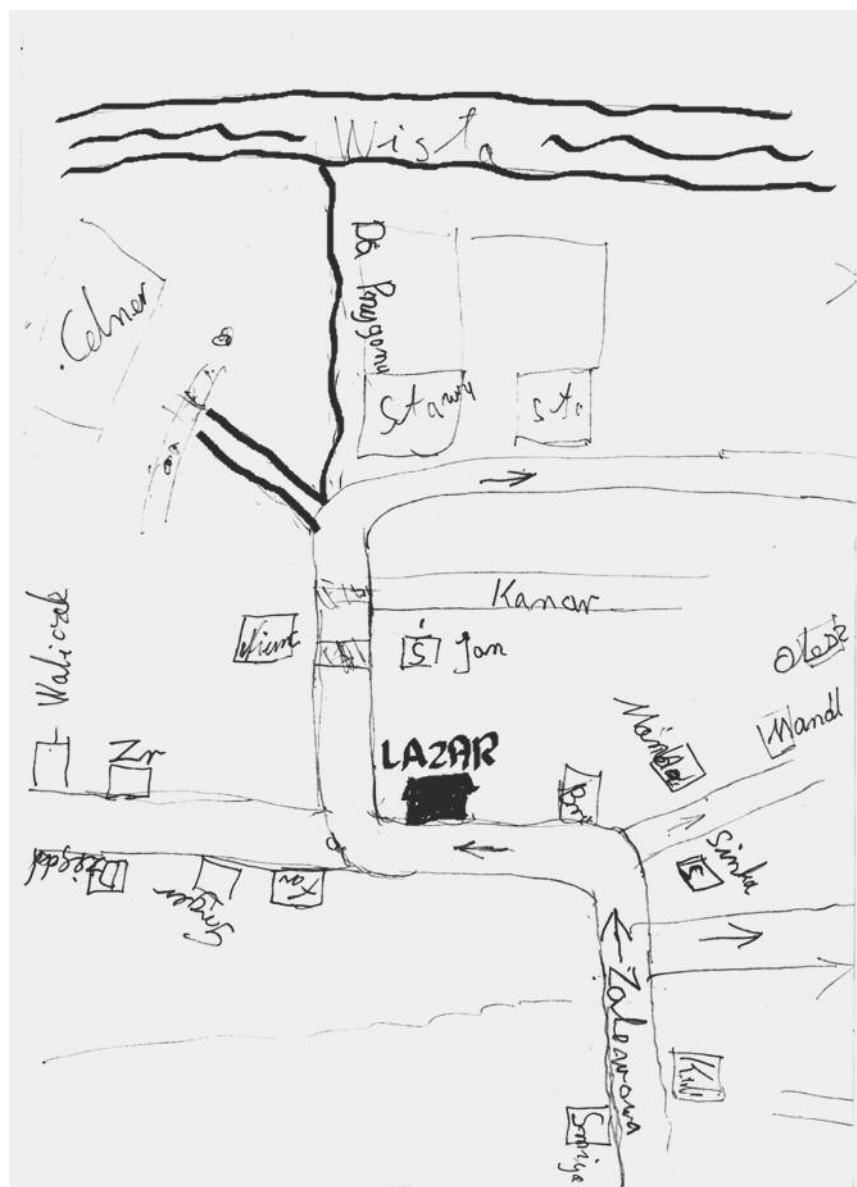
Ciekawy ten spacer, interesujący. Powstanie chyba urocza etiuda filmowa z tego spaceru śladami przeszłości tego uroczonego zakątka Wisły Wielkiej.

Jak więc wyglądała dawniej ta Wisła, przed zalaniem przez wody zapory? Tak jak powiedzieliśmy, obecnie lustro wody sięga do zabudowań Śmiejów i Kubiców (to sąsiad z naprzeciwka). Ale dawniej droga, szutrowa szła dalej, zakręcała w lewo, na „łokręcie” miyszkoł Brudek, przed nim nieco Simka, obok którego szły dwie polne drogi. Przed nim i zabudowaniami Kubicy prowadziła w prawo droga do Nowej Kobyłarni, tam gdzie hodowano książęce konie. Za Simką, i jeszcze przed Brudkiem wychodziła kolejna dróżka przy której miyszkał Maindok, Mandla i Oleszka. Za Brudkiem, kiery miyszkoł na wspomnianym już „łokręcie”, w pewnej odległości miyszkały na Piechówce Lazary. Za nimi droga zaś skrynciała w prawo i szła prosto w strona kanaru, mostu na nim i figury św. Jona, kiery pilnował, by wody z kanaru za bardzo nie wyływały. Do kanaru od zabudowań Lazarów było w linii prostej nie więcej niż 80-100 metrów. Od łuku głównej drogi odbijała w lewo, w kierunku Łąki, droga prowadząca do gospodarstwa Waliczka. Mieszkał przy niej Faruga (zaroz skraja za zakryntem), Grygiel i Dziendzielka. Zaraz przed Waliczkiem było źródelko, które zapatrywało w wodę pobliskie stawy [„– Było jakby w ogrodzie, tam były soddzowki, stow”). A droga szła dali aż na Pasieki.

Przy kanale, przy głównej drodze miyszkała Niemcula, do ni należała zrujnowana mlyczarnia. Za mostem od głównej drogi odbijała dróżka do Celnerów (albo Zellnerów), prowadziła przez krzoki i „mały kanarek” (Bronek: – Jo tu w tym miyjsku ryby chytoł, łokonie tam były), a na kolejnym łuku

piyné hektarów, Oleszka miała 15-20 morgów, Grygry też tela, Waliczek miał 40 morgów. Na te czasy to było doś.

– Do Brudka my nazywali „do Żupy” – słyszę dalej opowieść naszego gospodarza – bo łoni do kupy chałpie miyszkałi. Pawlas, kiery też tam przyzynył, to zdyńcia robił. Łon miał aparat,



Rekonstrukcja zalanej części Wisły Wielkiej. Plan położenia poszczególnych zabudowań, jaki narysowali Bronisław Lazar i Ludwik Śmieja, tutejsi mieszkańcy i dobrzy znajomi.

NIE GRYZIE

poprawiło mi się sumienie
karmione wiedzą o równości pomiędzy sztucznym
a naturalnie zdeformowanym oceanem możliwości (wziętym z fali zaoceanicznej szkoły)
odbicia jasnej powierzchni table off face
widzę przenikającą przezeń konstrukcję
mogę wybrać obrazy
brakować myszkować upchnąć zaseregować zakwalifikować
wyselekcjonować typizować ułożyć etykietować przebrać dobrać dzielić oddzielić
być albo nie być ich fragmentacją
odpowiedzią na poszukiwane miejsce wolnej woli

* * *

odebrałam wieczne pióro
było ciepłe niesione w wewnętrznej kieszonce kurtki
rozpoznałam z daleka zapach oliwkowej reżyserki kultowej douglasówki
wojskowej prawdziwie kontraktowej amerykańskiej m-65 nie zestarzała się
przed murem oliwkowego teatru

RYBNA POD ŚWIATŁO

tu mieszkała pisarka o wielkim sercu czytam kamienną tablicę
pamiętam moje
zbyt małe na błonie kliszowej

ALMA

ujmująca szlachetność kadzidło z żywicy drzewa dracenowego
flaszka perfum za sto dolarów amerykańskich starczy do końca i krem
przeciwzmarszczkowy na noc
małeńki pojemnik skończy się za wcześnie
na prośbę o listę książek dostępnych w jego sklepie obywatel świata
nie odpowiada nie jest bibliotekarzem
ani dramaturgiem którego stać na własny porządek świata wypowiedź własnej
starszejpani
who is owns his her
nie jest już poetą przejmującym betonową mównicę w parku rzeźb
teraz mów



Rys. Małgorzata Skarbania

Był czas, gdy z Józefem Świdrem spotykaliśmy się niemal codziennie, bądź dzwoniliśmy do siebie, gdy pojawiały się pytania i wątpliwości twórcze wymagające pilnego wyjaśnienia. To lata szczytowego nasilenia naszych kontaktów w okresach napięcia współpracy, kiedy rodziły się nasze kolejne utwory sceniczne, oratoria i kantaty oraz pracowaliśmy nad przekładami librett Belliniego, Donizettiego i Ravela, zleconymi przez Operę Śląską.

Zdjęcia: z archiwum Opery Śląskiej w Bytomiu



Józef Świder „Wit Stwosz”, prapremiera – 1974. Scena finałowa – odsłonięcie „śpiewającego ołtarza”

Muzyka i przyjaźń

TADEUSZ KIJONKA

Warszawska 17

Te nasze spotkania przerodziły się z czasem w skromne biesiady (głównie z mojej inicjatywy), gdy było nam po drodze do legendarnej już Piwniczki w ówczesnym Domu Pracy Twórczej przy Warszawskiej 37, gdzie do późnych godzin przesiadywała katowicka cyganeria tamtych barwnych lat. Świetna kuchnia, w miarę tani alkohol, no i okazja by zawsze kogoś spotkać. Kto tam wówczas nie był, a raczej był, czasem z nawyku, by bratać się w aurze artystycznych fascynacji i gruntować przyjacielskie więzi w seriach bruderszaftów. Był to okres, gdy pod tym adresem funkcjonował wcale ruchliwy Klub Młodych Twórców integrujący środo-

wiska młodych twórców i artystów w klimacie popaździernikowych swobód, który wnet nie przetrwa w dawnym nasileniu fatalnych doświadczeń marca 1968 roku, choć akurat na Śląsku napięcia te nie osiągną tych dotkliwych politycznych konsekwencji co w innych środowiskach, z Warszawą na czele. Toteż przytulna Piwniczka z barem, gdzie brać artystyczna rozsiadała się na wysokich krzesłach, zachowała spontaniczny klimat *eviva l'arte*, choć w wersji lokalnej, gdy była ku temu okazja.

Ten adres stał się na długo miejscem popremierowych spotkań i dysput, bo i z Teatru Śląskiego było tu blisko, ledwo też dwa przystanki po koncercie z Filharmonii Śląskiej, no a z PWSM, czyli z konserwatorium, też ledwo parę setek metrów. A właśnie plastycy

i muzycy liczebnie dominowali, więc też nie tylko pojawiali się często, ale i mieli wpływ na klimat biesiadnych spotkań. Mnie tu zdarzało się być często, jako iż wkrótce stałem się głównym organizatorem spotkań pod szyldem Klubu Młodych Twórców, który z czasem sam się rozwiązał i spłynął w niepamięć. Dodam jeszcze, że w tym budynku na parterze miała swój pierwszy adres Redakcja „Poglądów”, dwutygodnika społeczno-kulturalnego utworzonego w połowie 1962 roku, gdzie niżej podpisany, 25-letni wówczas autor tego tekstu, był zatrudniony od pierwszych dni powołania piśma, zaś do Piwniczki miał w sumie nie więcej niż dwadzieścia stopni schodów. Wspominam o tym dlatego, jako że dokładnie nie pamiętam kiedy i gdzie doszło do pierwszego spotka-

nia z Józefem Świdrem, wkrótce jednym z najbliższych moich przyjaciół i to na długie lata. W każdym razie jeśli Józek w „Poglądach” bywał, to już gdy znalazły się w Domu Prasy przy rynku. Sądzę, że raz i drugi pojawiał się pewnie w Klubie przy Warszawskiej, na imprezie muzycznej sfinansowanej przez prestiżowe środowisko konserwatorium, gdy prezentowano na autorskim wieczorze katowickich kompozytorów, a pośród młodych już wybiła się czołowa wówczas czwórka – Górecki, Kilar, Świder i Szalomek – a każdy inny o własnym rozpoznawalnym już wizerunku twórczym. Słowem – pierwszego naszego spotkania nie pamiętam, aż do momentu podjęcia współpracy, choć daleko jeszcze było nam do opery.

Nie był to przypadek

A przecież na pewno musiałbym zapamiętać ten moment, chociażby dlatego, bo Józef Świder jeśli zwracał na siebie uwagę, to nie tym, że w jakikolwiek sposób się wyróżniał czy siebie narzucał. Wręcz przeciwnie – a jeśli już – to wyjątkową w każdym sensie skromnością a nawet, rzekłbym, swoistą nieobecnością, że by nawet w najmniejszym stopniu nie zwracał na siebie uwagi. Tak było i pozostawało, bo ten styl obecności stał się swoistą formą bycia Józefa Świdra, jakby zawsze czymś skrępowanego i unikającego zauważenia. A chodzi o wybitnego twórcę, świetnie wykształconego, poliglotę i profesora konserwatorium, a także dziekana i prorektora, człowieka powszechnie szanowanego, którego autorytet wynikał z dokonań i zasług, a nie sztucznych pozorów. Można rzec, że cechowała go zawsze wręcz programowa prostota i niewspółczesność, słowem – żadnych gestów na pokaz, pozorów i póz. Był, rzec można, demonstracyjnie zwyczajny, dyskretny i przyciszony, co uwydatniał również sposób w jaki się nosił i ubierał, akcentując szarość i stopienie z tłem. Uwydatniały także przyćmione okulary, które nosił by zatrzeć niewielką skazę wzroku. No i to jak się poruszał, a właściwie pospiesznie przemykał, zawsze skupiony i jakby zajęty. Wynikało to również z jego cech człowieka bezwzględnie terminowego, sumiennego, który nie tolerował zwłoki i spóźnień a przede wszystkim protekcji, bo nawet rodzony brat nie mógł liczyć na względy.

Do dziś nie mogę mimo wszystko zrozumieć jak to się stało, że nie za-



Józef Świder (z lewej) i Tadeusz Kijonka podczas pracy nad operą „Wit Stwosż”

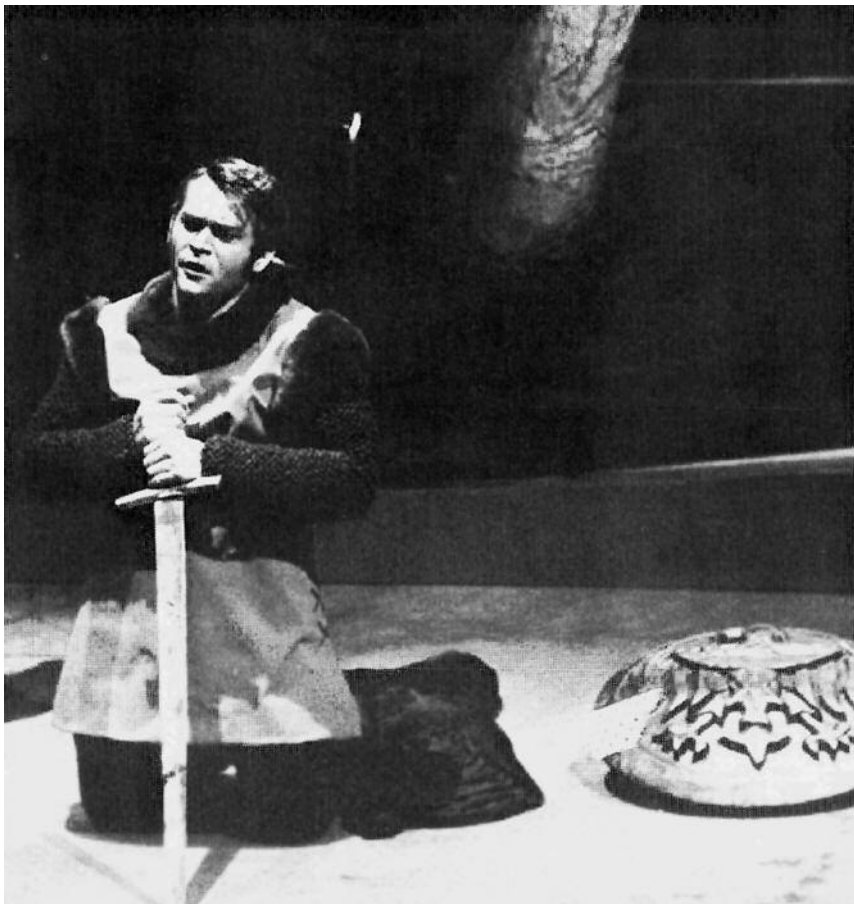
pamiętałem początków naszej znajomości ani okoliczności jej zawarcia. A przecież nie był to przypadek. Józef Świder w tym czasie działał aktywnie w Związku Śląskich Kół Śpiewaczych, gdyż przed pracą społeczną na niwie sztuki i kultury nigdy się nie wzbraniał. Ten nurt był mu zresztą bliski z racji wrażliwości melodycznej i znaczącego już dorobku jako autora wielu pieśni (wówczas m.in. do wierszy Herberta, Gałczyńskiego, Staffa i Tuwima) oraz kompozycji chóralnych, od lat nagradzanych i wykonywanych przez liczne chóry nie tylko macierzystego regionu. Sam zresztą od wczesnej młodości, a wyrastał w klimacie muzycznego domu, współpracował z amatorskimi zespołami chóralnymi. Te doświadczenia miały też znaczenie dla jego działalności twórczej jako kompozytora.

W tym okresie dla ruchu śpiewaczego na Śląsku sprawą nader ważką stało się odnowienie repertuaru o utwory współczesne, w większym stopniu respektujące nowe techniki i środki muzyczne, a napisane specjalnie dla tych zespołów wykonawczych w oparciu o teksty powstałe dla tych potrzeb. Józef Świder, który miał w tym zakresie rozległe doświadczenie twórcze, ale i wykonawcze jako praktyk, zaangażował się wówczas w to zadanie z dużą energią i stanowczością, by zapewnić nowe utwory z tego zakresu dla potrzeb repertuarowych przede wszystkim śląskich zespołów śpiewaczych. Jako dyrektor artystyczny Związku podjął skuteczne działania by stworzyć odpowiednie ku temu wa-

runki. Należało najpierw pozyskać teksty o tematyce współczesnej, szczególnie śląskiej, angażując do współpracy miejscowych autorów, przede wszystkim z grona poetów „z nazwiskiem”. Krąg kompozytorów był na miejscu wcale spory, głównie z młodszych roczników, trzeba było im jednak dostarczyć odpowiednie teksty. I w tych okolicznościach doszło zapewne do naszego spotkania zapoznawczego, rozmów i napisania pierwszych tekstów, co stało się chyba w miarę szybko. Łącznie powstało kilkanaście wspólnych pozycji wpisanych w temat śląski, do których Józef Świder stworzył muzykę. Były wśród nich utwory różne, w tym o klimacie nostalgicznym, że przypomnę „Stary szyb”, czy „Płyną barki Odrą”. Od tamtego czasu minęło już ponad pół wieku i kompozycje te popadły z czasem, jak sądzę, w zapomnienie, bo też i wyczerpała się na tym nasza współpraca w tym zakresie. I pewnie nie doszłoby do jej odnowienia, skoro dalsze lata współpracy zdominowała przede wszystkim opera i te dokonania autorskie mają odłąd znaczenie.

„Magnus” na 25-lecie Opery Śląskiej

Jak to się często zdarza – na początku był przypadek, który wpłynął na nowe możliwości w naszej autorskiej współpracy. Z początkiem roku 1967 objąłem funkcję kierownika literackiego Opery Śląskiej, o dość



Henryk Grychnik jako Zbigniew w „Magnusie”

szerokim zakresie obowiązków, które sobie sam stale poszerzałem. Gdy we wrześniu z nowym sezonem dyrektorem Opery został Bolesław Janowski (po kilku sezonach na scenach zachodnich), jego kadencję od początku wyróżniała ogromna dynamika organizacyjna i repertuarowa. Duże nadzieje wiązałem z inicjatywą ogłoszenia ogólnopolskiego konkursu na libretto operowe o tematyce śląskiej, powierzając mojej osobie nadzór nad jego organizacją i rozstrzygnięciem. Choć zasięg tego specjalistycznego konkursu nie okazał się szeroki, ale pojawiła się pewna ilość prac godnych uwagi, które zostały przekazane śląskim kompozytorom do swobodnego wyboru. Józef Świder zainteresował się jednym z nagrodzonych tekstów pt. „Magnus” Tadeusza Kasz-



Eugeniusz Kuszyk jako Wit Stwosz

czuka z Kłodzka, którego akcja rozgrywa się w XI wieku w średniowiecznym Wrocławiu, a jego głównym bohaterem jest wojewoda wrocławski, tytułowy Magnus, do którego przybył syn Władysława Hermana Zbigniew. Lecz historyczny Magnus to pseudonim realnego bohatera, pogrążonego w rozpamiętywaniu okupacyjnej przeszłości i żyjącego w poczuciu winy za śmierć córki, która nie załamała się podczas przesłuchań. Rozbudowane relacje pomiędzy postaciami planu historycznego i współczesnego tworzą paralelną akcję opery aż do tragicznego finału. I właśnie to libretto zainteresowało Józefa Świdra, któremu odpowiadało ujęcie „tematyki śląskiej w sposób ogólny, nie regionalny; (...) inspirującym pomysłem wydawało mi się powierzenie wszystkim postaciom podwójnej roli, stworzenie w pewnym sensie «oper w operze»”. Lecz libretto T. Kaszczuka wymagało gruntownego przepracowania pod względem dramaturgicznym i literackim, w tym przypadku poprzez dodanie i rozbudowanie kilku scen oraz zmianę finału oraz dopisanie niemal wszystkich arii. I to zadanie zostało mi powierzone, choć okazało się nader czasochłonne, ale i pracochłonne, zaś termin prapremiery napierał, bo miało do niej

dojść już w czerwcu 1970 z okazji obchodów 25-lecia Opery Śląskiej.

Ten okres bardzo zbliżył nas do siebie i stał się początkiem nie tylko systematycznej współpracy, ale i oddanej przyjaźni. Józef Świder zajmował wówczas z rodziną mieszkanie na drugim piętrze w budynku kościoła Garnizonowego, gdzie w zamian za mieszkanie pełnił obowiązki organisty. W tej roli występował od dzieciństwa, bo również ojciec Józefa, pierwszy nauczyciel muzyki w rodzinnych Czechowicach, był uznanym organistą. To pod jego kierunkiem odbył etap domowego samokształcenia, nim podjął naukę w cenionym Liceum Muzycznym w Katowicach (zapamiętany jako absolutny prymus), by odbyć następnie studia w katowickiej PWSM i to w trzech jednocześnie kierunkach: w klasie fortepianu, na Wydziale Teorii i Muzyki oraz kompozycji – tu dyplom w klasie prof. Bolesława Woytowicza uzyskał z odznaczeniem przedstawiając jako pracę dyplomową własny *Koncert Fortepianowy*, wielokrotnie potem przez siebie wykonywany. Pamiętam to mieszkanie z widokiem z narożnego pokoju na ulicę Kopernika i skwer podchodzący pod katowickie więzienie. Mieszkanie było ciasne, bez większych wygód, co miało znaczenie dla rodziny z trójmiem dziećmi i stale zajętą żoną Krystyną, dyplomowaną wokalistką i cenioną dyrygentką chóralną, która godziła prowadzenie z pasją kilku chórów. W pamięć zapadła mi wielce zaradna młodziutka córka Magda, która przejęła szereg domowych obowiązków, a przypadły jej także zadania związane z nadzorem wychowawczym nad najmłodszym bratem, jeszcze w wieku niemowlęcym, który z trudem usiłował wstać o własnych siłach trzymając się poręczki łóżeczka, a że nie znosił samotności – domagał się stałej uwagi. „Magnus” powstawał więc w aurze suszących się pieluch i płaczu hałaśliwego oseska. Bywałem tam wówczas często, bo większość arii rodziła się na żywo, aż do ostatnich miesięcy poprzedzających prapremierę pod batutą Napoleona Siessa. Przyjęcie nowej opery (Bytom, 13 VI 1970 r.) było uznane za wydarzenie sceniczne i muzyczne. Wysoko ocenił Józef Kański „obdarzoną wspaniałym sopranem Krystynę Kujawińską i Ewę Karaśkiewicz (...) obok świetnego odtwórcy postaci Zbigniewa Henryka Grychnika”. A Bogusław Kaczyński oceniając muzykę stwierdził, że „przywodzi na myśl dzieła Wagnera i Ryszarda Straussa”, by uznać operę „za jedno z ciekawszych dzieł scenicz-

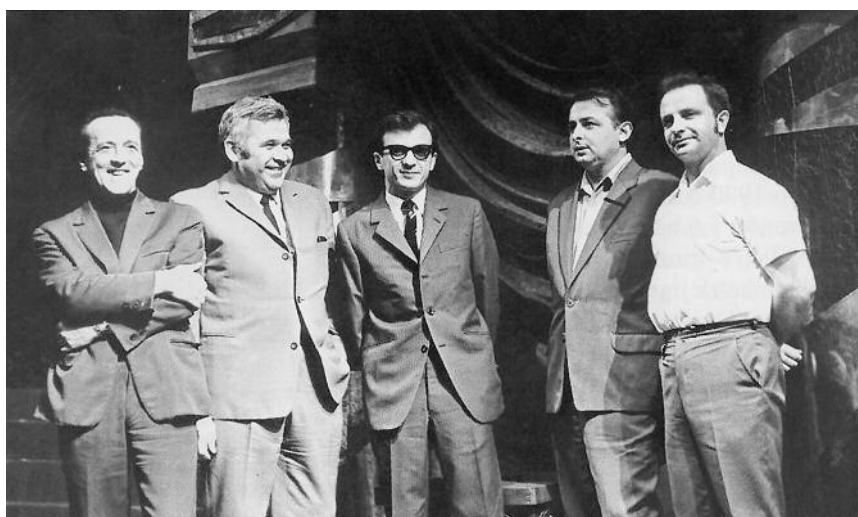
nych skomponowanych w Polsce po wojnie”. A przecież pisanie muzyki trwało zaledwie 10 miesięcy i to w warunkach zapracowanego zawodowo kompozytora.

Trzy lata po bytomskiej prapremierze wystawiła „Magnusa” Opera Wrocławska, z rozmachem i wielką starannością, ze świetną wielce urodziwą Krystyną Tyburowską i Januszem Temnickim. Opera Wrocławska zaprezentowała następnie „Magnusa” w ramach X Festiwalu Polskiej Muzyki Współczesnej w lutym 1974 roku. W tym czasie trwały już zaawansowane próby do premiery naszej drugiej opery pt. „Wit Stwosz”.

Majestatyczny „Tryptyk powstańczy”

Lecz wcześniej doczekał się prawykonania „Tryptyk powstańczy” napisany z okazji 50. rocznicy III powstania śląskiego. To było dla nas wydarzenie także dlatego, że w Sali Filharmonii Śląskiej zasiadło wielu sędziwych weteranów w powstańczych mundurach, wszak trzyczęściowe oratorium było także wyrazem hołdu złożonego śląskim powstańcom. Do udziału w koncercie dyrygent Karol Stryja zorganizował duży aparat wykonawczy. Obok orkiestry Filharmonii Śląskiej wzięła w nim udział 150-osobowa Reprezentacyjna Orkiestra Kopalni Walenty Wawel oraz kilka chórów i dwoje świetnych solistów – Stanisława Marciniak (sopran) i Eugeniusz Kuszyk (bas) z Opery Śląskiej. Teksty recytowali Zofia Truszkowska i Henryk Maruszczyk z Teatru Śląskiego.

Sukces prawykonania spowodował, że na otwarcie Festiwalu Pieśni Zaangażowanej „Czerwona Lutnia” został wybrany właśnie „Tryptyk powstańczy” w grudniu 1974 roku. W koncercie inauguracyjnym, który odbył się w Domu Muzyki i Tańca w Zabrze wystąpiło pod batutą Czesława Płaczka 1000 wykonawców, w tym 15 chórów mieszanych i męskich oraz zespół Filharmonii Śląskiej i ponownie Reprezentacyjna Górnicza Orkiestra Dęta „Wawel” w Rudzie Śląskiej. Wrażenie było imponujące, a potężna estrada zabrzańskiego Domu Muzyka „wydawała się zbyt ciasna dla tej ilości wykonawców”. „Dzieło to, już w zamierzeniu swoim pełne patosu, zyskało jeszcze na swej monumentalności dzięki wykonaniu” – napisał w „Trybunie Robotniczej” Marek Brzeźniak. Byliśmy z Józkiem pod wrażeniem tej prezentacji, choć żyliśmy zblizającą się prapremie-



Po generalnej próbie „Magnusa”. Na zdjęciu: Józef Świder (w środku), Tadeusz Kijonka (drugi z prawej), Napoleon Stess (pierwszy z prawej), od lewej: Tadeusz Gyglewski – autor scenografii i reżyser Bolesław Jankowski

ra „Wita Stwosza”, do której doszło pół roku później. Jest to więc czas, gdy dochodzi do spektakli operowych i prezentacji koncertowych naszych dzieł, a jednocześnie jesteśmy pochłonięci tym co piszemy, dążąc do jedności wizji i muzyki.

„Wit Stwosz” – rzecz o Ołtarzu Mariackim

Wcześniej miało miejsce ważne wydarzenie w życiu rodzinnym Świdrów – zmiana mieszkania, w czym miałem znaczący udział. Właśnie przenosił się do wybudowanego domku w Brynowie Wilhelm Szewczyk i wpadłem na pomysł, by spore, świetnie położone mieszkanie przy Plebiscytowej 17 przejął Świder. Mój naczelny był życzliwie nastawiony do tego pomysłu, ale wymagało to jeszcze z jego strony wpływowej interwencji, by uzyskać urzędową zgodę. No i zaczęły się towarzyskie wizyty Świdra w „Poglądach”, nie powiem, że nacechowane antyalkoholową zawziętością. I tak stonowany abstynent delektował się koniakiem nie tylko w symbolicznych dawkach, bo Szewczyk nie znosił pod tym względem przesady, tyle że nie wymagał sięgania po słynne cygara. Ale już na obiadki Józef dawał się wyciągnąć i to w słynnej redakcyjnej kompanii. Okazało się, że czuje się nawet dobrze jako smakosz świetnej kuchni głównie pobliskiego Monopolu, a trzeba przyznać, że choć bezprzykładnie zawsze oszczędny, Józio partycypował w kosztach tych niespiesznych biesiad z wzorową godnością. Zdarza mu się nawet zawadzić, gdy kompania postanawia pójść jeszcze do Piwniczki, i o ten grzeszny adres, by zasiąść na wysokim

krześle przy barze z miną bywalca. Czego się jednak nie robi dla szlacheckich celów. A rzecz się przeciągała, bo też i nie była do załatwienia od ręki. Biurokratyczne ograniczenie wymagało wsparcia samego generała Jerzego Ziętka, na szczęście życzliwego artystom, no i szczególnie cenionemu Wilusiowi, który zresztą nie nadużywał przysług. A przecież mieliśmy jeszcze tak ważny argument jak „Tryptyk powstańczy” oklaskiwany przez honorowego gościa na prawykonaniu oratorium w Filharmonii Śląskiej. I tak sprawa w końcu ruszyła, a słowo stało się ciałem. Mieszkanie o powierzchni sporo ponad 100 metrów kwadratowych z wszelkimi wygodami, do tego kwaterunkowe, a więc nie tak drogie, no i niespełna kilometr od konserwatorium, gdzie sumienny Józef Świder miał zawsze sporo obowiązków, prowadząc jako mistrz i pedagog własną klasę kompozytorską, ale i pełniąc jednocześnie zawsze odpowiedzialne funkcje do prorektora włącznie.

W tym mieszkaniu rodzi się „Wit Stwosz” i to do ostatniej nuty, a Józef sam przygotowuje także z wzorową precyzją materiały nutowe wyręczając PWP. Tu również będą się pojawiali soliści, by przy fortepianie pod jego nadzorem opanować wzorowo partie. A Świder który zna wyjątkowo wymagania sztuki wokalne i tajniki głosu, pisze tak, że śpiewacy dobrze czują się wykonując jego kompozycje, więc z satysfakcją podejmują się zadań wykonawczych. Informacje o nowej rodzącej się operze wnet nabierają rozgłosu, bo i sam tytuł brzmi interesująco i chwytliwie: Wit Stwosz, nowa opera polska katowickiego tandemu twórczego!

Są to lata, gdy nowe dzieła operowe w Polsce rodzą się wcale często,



i to przy wsparciu mecenatu państwa, choć środki wydzielane były zawsze skromnie. Można by wymienić wiele tytułów, które powstają niemal równocześnie, a spośród autorów m.in. Grażynę Bacewiczównę, Tadeusza Bairda, Henryka Czyżę, Piotra Rytla, Augustyna Blocha, Krzysztofa Meyera, Tadeusza Szeligowskiego, Witolda Rudzińskiego, Bernadette Matuszczak, Ryszarda Bukowskiego,

gi oraz m.in. powieści „Żywe kamienie” Waława Berenta, każde spotkanie z ołtarzem ma także inne aspekty, które ożyją gdy pojawi się pytanie o temat nowej opery. Staliśmy akurat pod gmachem Delikatesów, gdzie czekałem na autobus nr 138 na osiedle Tyśiąclecia. Padał deszcz, dzień mroczniał, autobus się spóźniał, więc weszliśmy do środka by utknąć przy pustym o tej porze barze. Na pytanie Józka o temat, odpowiedziałem beztrąsko: Wit Stwos, rzecz o Ołtarzu Mariackim. W tym momencie patrzyłem akurat na półki z mozaiką barwnych butelek, które stwarzały szczególną aurę. No i prowokowany pytaniami, odpowiadałem, iż w scenie finałowej pojawi się wizja śpiewającego Ołtarza Mariackiego, w którym znajdują się soliści upozowani na wzór postaci z dzieła Stwosza. Wszystkie zdarzenia rozgrywające się i to równocześnie w pejzażu miasta, a więc Krakowa, będą zmierzały do tej finałowej sceny, prowadzone symultanicznie w kilku planach, gdy trwa jeszcze średniowiecze, a już zapowiada swoje nadejście renesans. Od początku bowiem nie miała to być opera biograficzna, zaś samo libretto na-

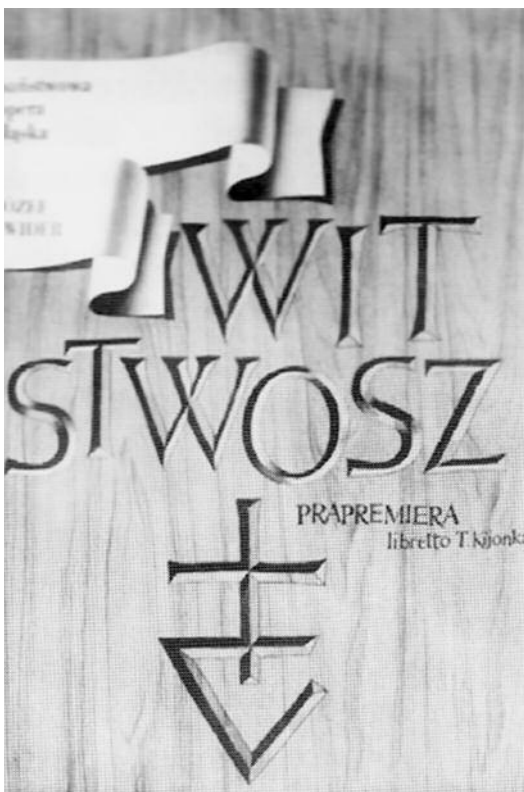
Romualda Twardowskiego, który zadebiutował w Operze Śląskiej oraz Edwarda Bogusławskiego. W tym okresie objawia także swoje zainteresowanie w dziedzinie opery Krzysztof Penderecki, który napisze potem cztery pozycje od początku w atmosferze międzynarodowego rezonansu. A więc był odpowiedni klimat stymulowany także przez teatry operowe, które miały powinność wspierać ten gatunek twórczości, rzecz można niejako z urzędu.

Byłem autorem pomysłu, który od razu zafrapował Józka. W krakowskim okresie studiów nie zdarzyło się żebym minął kościół Mariacki bez spotkania z arcydziełem Wita Stwosza. A że jestem także zafascynowany średniowieczem pod wpływem wielkiej Księgi Huizingi

rodziło się z wizji poetyckiej o powołaniu i tworzeniu arcydzieła, jakim jest Ołtarz Mariacki. I tak też się stało, zaś scena finałowa nawiązująca do realnego ołtarza, okazała się imponującym zwieńczeniem opery, co znalazło potwierdzenie we wszystkich, jakże licznych recenzjach. Napisał Leszek Polony, że „Ów wspaniały, wzniosły chór ma zapewne niewiele sobie równych fragmentów w całej literaturze operowej”. Słowem – w całej...! Spośród wielu opinii równie satysfakcjonujących, przytoczmy jeszcze zdanie Mariana Wallka Walewskiego, który stwierdził, że jest to „spośród oper polskich oglądanych w ostatnich 30 latach – bodajże najlepsza i jak sądzę – mająca przed sobą przyszłość sceniczną”.

Do prapremiery doszło w warunkach wielkiej mobilizacji, by maksymalnie wykorzystać nietypowe tworzywo. Kompozytor był obecny na wszystkich próbach, wcześniej szlifował głosy solistów. W realizacji spektaklu uczestniczyła też Krystyna Świder, która przejęła z dużym powodzeniem kierownictwo chóru Opery Śląskiej. Niemal wszyscy czołowi soliści osiągnęli szczyty możliwości, a wielu stworzyło podziwiane kreacje, gdziekolwiek Opera Śląska gościła z tym spektaklem, na czele z Eugeniuszem Kuszykiem, odtwórcą partii Wita Stwosza. Przyjęcie opery było wręcz owacyjny, a jej twórcy zostali uhonorowani Wojewódzką Nagrodą Artystyczną. Recenzje pojawiły się licznie, bo też spektakl odbył wędrowkę przez niejedną scenę, na czele z prestiżową prezentacją w Warszawie podczas Panoramy Kultury XXX-lecia oraz w Krakowie, gdzie Opera Śląska wystąpiła na scenie Teatru im. Słowackiego, a spektakl oglądała elita kulturalna starej stolicy królewskiej. Chwalebne recenzje czytane po latach nasuwają pytanie dlaczego nie doszło do następnych premier, także po sukcesie na międzynarodowym Festiwalu Maryjskie Lato w Słowenii (wcześniej Opera Śląska wystąpiła z tym spektaklem także w Ostrawie) z pełną artystyczną satysfakcją, a trzeba pamiętać jak ograniczone były w tych latach zagraniczne kontrakty.

Była to wyprawa oczekiwana, zorganizowana sprawnie, w klimacie serdecznym i pełna barwnych epizodów. Spektakl zaprezentowany na scenie zadaszzonego amfiteatru, który mieścił się w budowlu dawnego zakonu krzyżackiego, ujawnił swe nieprzeciętne walory wokalne w tych wyjątkowych warunkach akustycznych. Recenzent



dziennika „Delo” uznał finał ze śpiewającym ołtarzem jako „szczyt operowych możliwości”. Także druga prezentacja „Wita Stwosza” w dawnym cesarskim kurorcie w Portorożu potwierdziła wszystkie walory tej opery w warunkach spektaklu plenerowego. Niestety liczne zmiany kadrowe wieloosobowego spektaklu spowodowały zawieszenie tej pozycji, okazało się, że nieodwracalnie. Nie doszło nawet do pełnej dokumentacji przedstawienia, nie licząc muzycznych fragmentów. Takie to jednak były wówczas możliwości.

Do kolejnych premier naszych oper dochodziło w cyklu przemianym. W rok po „Wicie Stwoszu” ma miejsce prawykonanie kantaty na głosy solowe, chór i orkiestrę symfoniczną pt. „Poemat z tamtych dni”. Utwór ten nie miał charakteru opowieści epickiej o ostatniej wojnie, lecz stanowił jej metaforyczną wykładnię. „Mimo użycia potężnego składu wykonawców: sopran, mezzosopran, baryton i aż 3 chóry – żeński, męski i mieszany – oraz orkiestra symfoniczna, kantata Świdra nie sprawia wrażenia dzieła monumentalnego. Kompozytor zastosował tutaj bardzo delikatną i subtelną instrumentację” – napisał po koncercie w „Trybunie Robotniczej” Marek Brzeźniak (20 III 1975). W „Poemacie z tamtych dni” głos ludzki zabrzmiał całym swym naturalnym blaskiem jak w czasach bel canto. Ten sam recenzent napisał o wykonaniu: „Było ono naprawdę doskonałe”.

Rok później znów w Filharmonii Śląskiej ma miejsce prawykonanie „Poematu stalowego”, również do moich słów, na tenora, bas solo, głos recytujący, chór i orkiestrę. Rafał Augustyn napisał w „Ruchu Muzycznym” o „niespodziewanym sukcesie utworu pomimo jego programowych akcentów”. Szczególnie podkreślił walory interpretacji Ewy Decówny, „która swym niskim dźwięcznym głosem recytowała szlachetnie poetyczny tekst Kijonki”.

Nie minął rok a na scenie Opery Śląskiej pojawiła się kolejna, trzecia już nasza pozycja sceniczna określona jako musical-opera dla dzieci, z barwną akcją opartą na motywach baśniowych, z udziałem najbardziej popularnych postaci z baśni, która już w kilka lat po premierze (24 IX 1977) doczekała się wznowienia w niemal całkowicie nowej obsadzie, ciesząc się nieprzerwanie dużym powodzeniem. O przyjęciu nowego dzieła scenicznego świadczy uhonorowanie autorów Nagrodą Prezesa Rady Ministrów za Twórczość dla Dzieci. Myślę, że

o znakomitym porozumieniu między nami świadczy wspólny dorobek tych 12 lat – licząc od „Tryptyku powstańczego” – 3 dzieła operowe, 5 pozycji koncertowych, wliczając „Silesianę” – godzinne oratorium, które zostało zaprezentowane przez Filharmonię Śląską 22 stycznia 1981 r. w Tychach i dwa dni później w Katowicach. Pod batutą Karola Stryji z Orkiestrą i Chórem Filharmonii Śląskiej wystąpili: Maria Cwiakowska – mezzosopran, Józef Homik – tenor i jak zawsze w każdej kolejnej pozycji bas o masywnym głosie Eugeniusz Kuszyk. Wielkie wrażenie pozostawił w pełnej pasji i skupienia recytacji Ignacy Gogolewski. A był to tekst nasycony słowami oskarżeń i gniewu, które przylegały do sytuacji roku 1981, zanim dojdzie do ogłoszenia stanu wojennego. Co istotne z pozycji autora tekstu, jak to precyzowała umowa, miał on zostać złożony do 8 września 1980, a więc miał on w sobie klimat tego pełnego napięcia czasu na granicy eksplozji zbiorowej i nieuchronnej konfrontacji.

W tym okresie nasze twórcze drogi jakby się rozeszły. Ja od listopada jestem pochłonięty niemal bez reszty, wraz z Kazimierzem Kutzem, powołaniem i współprowadzeniem Komitetu Porozumiewawczego Związków i Stowarzyszeń Twórczych oraz organizacją ostatecznie nieodbytego Sejmiiku Kultury Śląskiej wyznaczonego na 19 grudnia 1981 roku, Józef raczej unikał tak zdecydowanego zaangażowania i ubolewał nad marnowaniem czasu. Na ulicy Plebiscytowej pojawiałem się już teraz rzadko, choć mogłem liczyć na spontaniczne wybuchy radości zacieklego kundla-znajdy, przypominającego znerwicowanego ratlerka słynnej Amy, której stałem się z nieznanymi powodów od początku ulubieńcem, choć rzucała się na ogół na wszystkich by kąsać, co odstraszało gości. Był jeszcze jeden ważny powód, który nas oddalił od siebie: poważny dysonans w życiu rodzinnym Józka, w tym czasie przebywającego więcej w Cieszynie, w Filii Uniwersytetu Śląskiego, gdzie jako jedyny profesor zwyczajny na Wydziale Artystycznym – kierował Instytutem Pedagogiki Muzycznej bodaj do późnej emerytury – był szczególnie hołubiony. Raz i drugi zawadziłem wówczas o Cieszyn i jego starokawalerskie gospodarstwo, a nie był w tej dziedzinie zbyt zaradny; zresztą potrzeby Józka były raczej mizerne i wystarczała mu studencka stołówka. Cieszyn dla synka z tamtych stron był zawsze adresem sympatycznym, miasto w sam

raz na spacer i przystanki serdeczne. Oj Józku, Józku... a przecież mieliśmy jeszcze zabrać się za operę, czego nie wykluczaliśmy, choć żaden temat nas jakoś nie przykuł.

Po raz ostatni byliśmy świadkami prezentacji naszego wspólnego dzieła – „Tryptyku powstańczego” do czego doszło 20 kwietnia 2009 roku, znów w zawsze przyjaznej Filharmonii Śląskiej, gdzie pod batutą Jana Wincentego Hawela, z chórem i orkiestrą Filharmonii oraz orkiestrą dętą Kopalni Murcki wystąpili Joanna Kściuczyk – sopran i Jarosław Kitala – bas. Po tylu latach „Tryptyk” został przyjęty ze sporym uznaniem i zaprezentował wszystkie swoje dowiedzione wcześniej walory, co sprawiło nam niemałą satysfakcję. Gdy jednak zagadnąłem po koncercie Józka, czy jeszcze zerwiemy się z martwoży, tylko westchnął i odesłał propozycję z ironią na tamten świat.

* * *

Zawsze kruchego zdrowia a jednak dożył pięknego wieku. Gdy dokonał żywota w Katowicach 22 maja 2014 roku miał 84 lata. Żył więc dłużej niż jego najbliżsi przyjaciele Henryk Mikołaj Górecki i Wojciech Kilar, którzy już czekali na zawsze bliskiego Józka na cmentarzu przy Sienkiewicza. Tak los zdarzył, że trzech najświetniejszych kompozytorzy śląscy tej wspaniałej generacji sąsiadują ze sobą w tej części słonecznego cmentarza. Odeszli kolejno od najmłodszego Henryka Mikołaja po Józefa Świdra, zawsze zapracowanego i zapartego w przesadnej skromności. Już po okresie studiów jako nauczyciel przedmiotów teoretycznych był w latach 1953-55 związany z Liceum Muzycznym w Bielsku Białej, następnie do 1961 z macierzystym Liceum Muzycznym w Katowicach. Pozostawił po sobie dorobek nadzwyczaj rozległy od pieśni i utworów kameralnych po 9 mszy z organami lub orkiestrą i *Te Deum* na głosy solowe, chór i orkiestrę. Był kompozytorem wszechstronnym o własnej rozpoznawalnej melodyce i środkach ekspresji. Większość jego licznych kompozycji powstała na styku muzyki i słowa eksponując walory wokalne. Tworzył w istocie do końca życia, także liczebnie imponująco przedstawia się jego dorobek lat cieszyńskich z dominacją kompozycji wokalnych, bo głos był zawsze dla niego najważniejszym instrumentem, którym potrafił wyrazić wszystko.

Zapiski o Czernicy

Z OPOWIADANIA

MARIAN LECH BEDNAREK

Chciałbym napisać coś o Czernicy, nanosić na kartkę długie, pofałdowane frazy – jak te bażanty przelazą mi przez płot, a sarny podgryzają wszystkie dookolne trawy. Wiatr czernicki jest porwisty – że drzewa nieustannie muszą tańczyć na jego rozkazy, ale i wskazywać gdzie trzeba iść, jak drogowskazy. O czym on im gada? Kto wie? Można się tylko domyślać.

Wzgórze, na którym znalazłem mój dom, jest wzgórzem pokaznym i rzucającym wyzwanie. Tu trzeba strzec tajemnicy – mówią ukryte zioła i dzikie łąkowe kwiaty, i te inne też. Białe kręgosłupy brzoźek akcentują wykrzykniki tej okolicy, całe pochody protestujących przeciwko status quo każdego za głośno puszczonego bąka, a może przede wszystkim znaki zapytania?

Gdzieś między tymi białymi kręgosłupami brzoźek urodził się znany kompozytor Henryk Mikołaj Górecki. Podobno, jak mówi Księga Czernicy – najpierw był pokaznym prawdziwkiem, którego przypadkowy zbieracz grzybów znalazł i zamierzał rzucić na świąteczny stół. Jednak w noc poprzedzającą święto, anioł stróż przysłanego wielkiego kompozytora wykradł grzyba-artyste z domu grzybiarza i zaniósł do prawdziwej rodziny jako niemowlę, gdzie nadano mu imię Mikołaj. Tako rzecze Księga Czernicy. Niedawno, z kilometr od mojego domu wystawiono mu pomnik – jak siedzi na ławce i czyta partyturę przed czerwonym, ceglastym budynkiem szkoły, gdzie zbierają się codziennie młodzi artyści dłuta i pędzla, by ćwiczyć błyskawiczny świst swojego narzędzia, przy skrzyżowaniu ulic, podobnych do innych, zakrzyczanych i rozpędzonych. Nie wiem co to za muzyka, której słucha teraz ten odlany z brązu Mikołaj, czy przerabia te klaksony i warkoty uliczne na nuty symfonii czernickiej?, a raczej rydułtowskiej? Czy po prostu czyta regionalne „Nowiny”.

Tu na wzgórzu mieszka cisza, bo tylko w ciszy rodzą się kompozytorzy. Na moim wzgórzu nikt nic nie mówi, tylko kiwa ręką i idzie dalej strzec swej tajemnicy. Jedyne pies w okolicy jest wesoły i raczej niechciany przez właścicieli. Ot prezent urodzinowy z ogonem i uszami, masakrujący zadbane aż do szaleństwa ogródki. Barbarzyńcy mieli przyjść i przyszedli, ukryci pod niepozorną sierścią rudawego kundla. Trwa właśnie ich najazd. Padają strzępki nerwów właścicieli, ale za siatką wywalczoną prywatności to ich sprawa. Uśmiecha się tylko poczochny nicpoń do wszystkich i myśli że to niezła zabawa. A młode, tutejsze laski pieszczą go tylko przez szpary w siatce. Tak wygląda granica między miłością a tragedią. Ja poeta z ulicy Starej, tuż obok – cóż to za podnieta?, kto mi przypnie epoleta?, żeby tak było. Bo nikt tu mnie nie zna, bo patrzą na mnie jak na sarnę na wzgórzu. Ja o tym nic nie wiem – że mnie widać. A wiatr kościelny niesie dźwięki parafialnej piosenki.

Najbardziej jednak obchodzą mnie tutaj chmury. Jak nie mam grosza na nowe książki i gazety literackie to czytam z tych chmur, co się dzieje w kulturze, kto kogo kocha a kto kogo nienawidzi?, kto kogo bije?, bo debaty obiektywizmu nie poruszają już tak ludzkich wnętrzności, a przekładając to na chmurę, mamy do czynienia z czystym widmem. Chmury ciemne i skłębione to malarstwo olejne, malarstwo dojrzałe, a chmury pierzaste i lekkie, tak zwane obłoczki, to akwarelki i rysunek i jakieś haiku wysłane do mnie w prezencie. W sentymentalizmach nie można się tu zagubić. Chyba że wierzy się jeszcze w rozwój cywilizacji i miejscowy Eden. Porzucone reklamówki fruwać na polach. Bunt młodości ukryty za śmieciami nie wie w którą drogę skręcić? Włącza więc na maksa hip-hop, aż robaki z ziemi wylażą i szukają swojego ogona. Podeksycytowanie budzą jedynie braki, tak jak w polityce wraki, budowy domów i płotów, i jazda z góry na rowerze, wprost na kościół, w samo jego centrum, gdzie jak Bóg da, to hamulec zadziała. Zielone oczy kota jak księżyc. Oto wielkanocna Czernica.

Nie chciałbym jednak zakończyć te zapiski na okrągłościach jajka, przynajmniej w literaturze kwadratowości bardziej mnie ekscytują. W chaszczach szumi, szeleści, przeszywa na wylot to Coś. Pchają się zdania, całe stogi zdań jak ubiegłoroczne siano. Przemykają nad pofałdowanym lustrem stawu niczym duży ptasi cień. Szare gospodarstwa na wzgórzach, uzbrojone w kurniki i stare rolnicze maszyny wymachują spokojem, ustalając rytm czernickiego nieba.

Z zimowego czasu wydobywa się ciężkawe, przygnieciony czymś czas wiosenny. Żłota smuga na niebie pobudza do myślenia, by nie opisywać zachodu słońca, bo porażka pewna. Wszystko zachodzi. Ale nie chciałbym też stawiać tradycyjnej kropki; tak mnie jakoś coś powstrzymuje i buntuje, że to jeszcze nie koniec. Niech ona jeszcze gdzieś wiruje mi w tej mojej głowie, lasuje się, buzuje, przeksztalca, fermentuje – jak nadlatująca mucha budzącego się czasu.

*Dedykuję otchłani smutku i rozpaczy Marii Jose
(z opowiadania „List garbuski do ślusarza” Fernanda Pessoa)*

Dla kogo ja to okno robię? Kto będzie przez nie patrzył na ten lub inny świat?, jeśli moje oczy pograżą się w ciemnościach. Jakiej wagi są te listwy z modrzewia, które przybijam do boków okna? Czy jest to waga tonącego statku?, czy rozkręconej karuzeli wesołego miasteczka? Co będą wyrażały kwiaty w tym oknie? Czyjaś wolność czy niewola? I jakie to będą kwiaty, żywe czy martwe?, które nikogo nie obchodzą.

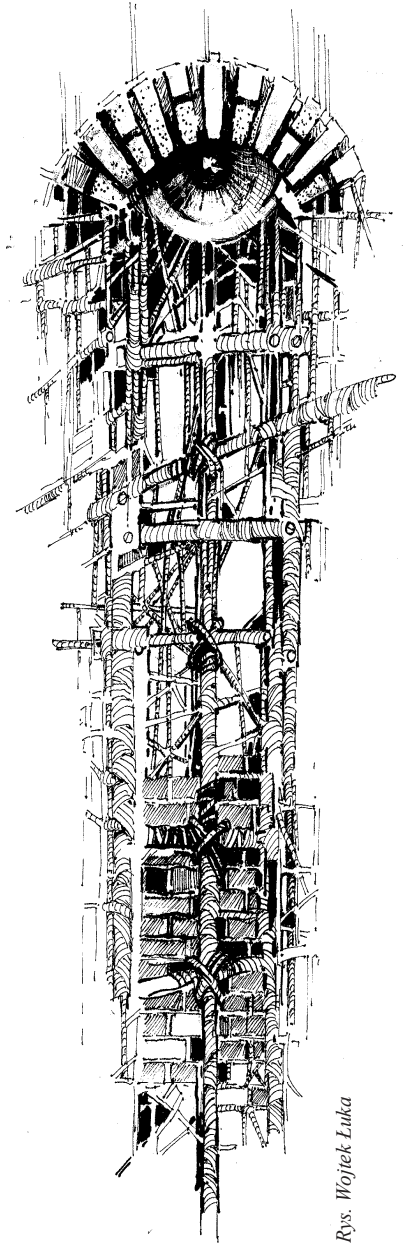
Futryny będą jak jastrząb świerkowy, otwierający dzień i zamykający noc. Jasny jastrząb, łowiący muchy dla mnie, a w momencie drzemki wpuszczający zaślakane osy.

Okno otwiera się i patrzy na wschód, na młode modrzewie i brzoźki, i osikę jedyną w tym towarzystwie, wszystkie one rozkołysane teraz jak przedpotopowe kiedyś pytanie.

Rozbolałe są kroki w budowaniu okna, zwłaszcza gdy ktoś nigdy w nie nie spojrzy i nie uśmiechnie się. Tyle narzędzi na stole, by ich odgłosy miały dar przekonywania w walce o zasłużony chleb. Niech wszystkie okna jednym oknem przemówią i roztoczą się z niego widok na poezję ulicy, tego z papugą na głowie kataryniarza lub innego grajka. I na pary zakochanych trzymających się za ręce, na gołębie i inne skrzydlaki, dziobiące okruszyny tuż przy nogach przechodniów zatrzymanych na chwilę przez katarynkę. Kataryniarza tak naprawdę nie ma, a inni grajkowie też nie zawsze się przed moim oknem pojawiają. Prawdę mówiąc nigdy się nie pojawiają. Tak tylko sobie fantazjuję, by ulepszyć świat. Jedynie hip-hop spada na moją głowę, gdy okno otworzę od strony młodych sąsiadów. Tak grzmocą jakby chcieli mi szybę w oknie wybić, albo w głowie. Wychodzi na to, że jedynymi kataryniarzami są bażanty na pobliskiej łące. Wykręcają ukrytą korbką wysokotonowe yyyrrrg..., yyyrrrg..., no i sroki, szpaki, kosy, wróble i inni uliczni artyści. A sarny to raczej półkataryniarze albo jacyś kataryniarze spłoszeni, wystraszeni, uciekający z łąki, jakby przed podatkami dla Urzędu Skarbowego, z ukrytą w krótkich ogonach muzyką. Publicznością zaś jest rozłożysta czereśnia z rozhuśtanymi, czerwonymi oczami. I to tyle o poezji z mojego okna.

Dalej myślę o oknie Marii. Jest zbolałe od zazdrości i wilgotne od łez. Moje ozdobne listwy okienne w kształcie regularnych wzgórz są niczym w porównaniu ze smutkiem tej 19 letniej garbuski ze sparaliżowanymi nogami i chorej na gruźlicę. Nad parapetem zawieszona, ni kobieta, ni mężczyzna, ni człowiek, stworzenie, które przez cały dzień wypełnia pustą ramę okna i nawet nie może popełnić samobójstwa, bo okno jest za blisko ulicy. A ona jak ścierka w nim leży. Wyznała to w pożegnalnym liście do ukochanego, którego nigdy w życiu nie spotkała i nie spotka. Chciałbym być tym ślusarzem Antonio, przechodzącym codziennie pod jej oknem. Spojrzałbym w górę, w jej błagające oczy i uśmiechnął się z wdzięcznością za tę naukę przed jej śmiercią. Byłbym jej spełnionym marzeniem.

Okno przepływu, szansy, nadziei, mój dziennik intymny i osobisty stolarza amatora, pisany różnymi narzędziami, wiertarą, papierem ściernym, młotkiem i dłutem sfatygowanym już – ich nieprzetłumaczalnym językiem. Może kiedyś go skończę i będzie jak otwarty wiersz okienny, zawsze wpuszczало coś nowego do środka. Ale póki co okno jeszcze jest rozbebeszone. Jeszcze nie jest oknem. Niech zleci się do niego całe światło świata. ■



Rys. Wojtek Łuka

Marian Lech Bednarek ur. 1956 w Zgierzu, poeta, prozaik, malarz, scenograf, twórca teatralny. Autor tomików poetyckich: *Kawałek Życiorysu 1991, Notatki z Prowincji 1998, Granice Graniczki 2004, Kim Jestem? 2007, Obrazowiersze 2008, Rozmowa z Ptakiem 2014, oraz zbioru prozy Sianoskręt 2012*. Publikował m.in. w: *Czas Kultury, Nowa Okolica Poetów, Elewator, Topos, PAL, Miesięcznik Literacki, Strony, Latarnia Morska, Helikopter, Okolice, Radar, Śląsk, Psi Vino (Czechy), antologia Przewodnik po zaminowanym terenie (Ośrodek Postaw Twórczych, Wrocław 2016), Plama*. Teatr Mariana Bednarka (założony 1992 w Rybniku, obecnie działa przy Fundacji EDF Polska); zrealizował 20 spektakli, 3 etiudy, 3 performance, 3 happenings, które wystawiał na najważniejszych festiwalach teatru alternatywnego w kraju (poznaska MALTA, Krakowskie Reminiscencje Teatralne, Łódzkie Spotkania Teatralne, a także w Teatrze Witkacego, na Międzynarodowym Festiwalu Działań Ulicznych LA STRADA w Kaliszu, na Międzynarodowym Festiwalu WERTEP w Hajnówce, oraz za granicą, m.in. we Francji i na Ukrainie). Autor 20 wystaw indywidualnych, wystawiał w kraju i za granicą, m.in. w Warszawie, Katowicach, Wrocławiu, we Francji, Austrii. Uprawia malarstwo, rysunek, grafikę, instalację, poezję konkretną. Redaktor naczelny pisma artystycznego „Plama” w latach 1997-2005. Mieszka w Czernicy koło Rybnika.

Ze **ZBIGNIEWEM MYGĄ**, opiekunem Domu Poezji
– Muzeum Haliny Poświatowskiej,
bratem poetki, w 81. rocznicę jej urodzin
rozmawia **ELŻBIETA PISARCZYK**

Foto. z arch. Z. Mygi



Posiadała naturalne światło wewnętrzne

Profesor, do kliniki gdzie przebywała, ściągnął kilku poetów, wśród nich Wisławę Szymborską, aby ocenili poezję Haśki. Ocena była pozytywna. Porównywano ją do Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej. Haśka się oburzała, bo miała przecież swój własny styl. Również krytyka entuzjastycznie przyjęła jej wiersze, choć zdarzały się głosy krytyczne.

– Jakie zachował pan wspomnienia o siostrze?

– Między nami było 16 lat różnicy. Kiedy ja się urodziłem, Haśka (tak ją nazywaliśmy) miała 16 lat, kiedy umarła – to ja miałem 16 lat. Powszechnie znane jest pewne nieporozumienie związane z datą jej urodzin oraz z imieniem. Siostra urodziła się 9 maja 1935 roku, ale w akcie urodzenia pomyłkowo po-

dano datę 9 lipca, którą wielu badaczy uznało za prawdziwą. Interesująca jest także historia związana z jej imieniem. Ksiądz na chrzcie zaproponował imię Helena, z tego względu, że nie ma św. Haliny. W domu wszyscy jednak woleli imię zasugerowane przez siebie i tak też się do niej zwracali. Sprawa ta została ostatecznie rozwiązana w 1961 roku, kiedy na mocy wyroku sądu zmie-

niła w dokumentach imię z Heleny na Halinę.

Było nas czworo rodzeństwa. Elżbiety nie znałem, ponieważ zmarła przed moim urodzeniem.

Przedwczesna śmierć Elżbiety oraz choroba Haliny ma związek z wydarzeniami z II wojny światowej. Podczas wyzwolenia Częstochowy w styczniu 1945 r., kiedy działania wojenne objęły miasto, rodzina ukrywała się w piwnicy. Chłód i wilgoć sprawiły, że obie siostry ciężko zachorowały. Wkrótce Elżbieta zmarła na zapalenie płuc, mając zaledwie 3,5 roku. Halina dostała ciężkiej anginy. Choroba nie leczona antybiotykami przerodziła się w zapalenie stawów, a następnie w zapalenie osierdzia (gorączka reumatyczna), które zostawia nieodwracalny ślad na zastawkach. Choroby tej nie leczy się farmakologicznie, to wada mechaniczna. Można ją usunąć tylko operacyjnie. Halina po wyjściu z piwnicy, gdzie razem z rodziną przebywała trzy dni, pół roku przeleżała w łóżku, pochłaniając w tym czasie ogromne ilości książek. W 1948 r. poszła po raz pierwszy do szkoły. Niestety, już po miesiącu przeziębiała się. Wprawdzie wyleczyła się, ale stan serca znowu się pogorszył. Do 1950 r. przez większość czasu znowu leżała w łóżku, przyswajając materiał szkolny w domu lub w szpitalu. Korzystała także z leczenia sanatoryjnego.

– Jak to się stało, że wyjechała do Stanów Zjednoczonych? Przecież w 1958 roku Polska to był kraj za żelazną kurtyną...

– Siostra była pod medyczną opieką prof. Juliana Aleksandrowicza z krakowskiej III Kliniki Chorób Wewnętrznych przy ul. Kopernika. Według mojej wiedzy (jest to informacja niepotwierdzona) był nominowany do Nagrody Nobla przez Polską Akademię Nauk – chociaż Nobla nie dostał – za wynalezienie butelki do przechowywania krwi. W świecie medycznym miał wysoką pozycję. W 1956 r. do Krakowa na kongres kardiologów przyjechał prof. Bolton ze Stanów Zjednoczonych. Prof. Aleksandrowicz, który nie był kardiologiem lecz hematologiem, pod wpływem wykładu prof. Boltona o operacjach na otwartym sercu stwierdził, że warto zainteresować profesora chorobą siostry. Przedstawił mu Halinę. Profesor powiedział, że podejmie się próby ratowania. Niestety, pojawiła się przeszkoda – potrzebna była spora suma pieniędzy. W 1958 r. żądana kwota została uzbierana, ale pojawiły się problemy formalne z opuszczeniem kraju. Ostatecznie do amerykańskiej kliniki Halina dotarła 14 października 1958 r. Operacja odbyła się 12 listopada.

Główny operujący – profesor Nicols, rozpoczął operację opierając się na zdjęciach rentgenowskich. Kiedy zobaczył to serce na własne oczy stwierdził, że nie zna techniki operacyjnej, mogącej naprawić nieszczelną zastawkę. W pierwszej chwili chciał zabieg przerwać, ale

pod wpływem perswazji dr. Leszka Derenia – opiekuna Haški, postanowił kontynuować operację metodą intuicyjną, chyba nigdy wcześniej, ani później nie zastosowaną. Zabieg przyniósł niespodziewanie dobre rezultaty.

Amerykanie bardzo dobrze „sprzedali” tę sprawę – nagłośnili operację, a Halina stała się bardzo znaną pacjentką w całych Stanach Zjednoczonych. My wiedzieliśmy wszystko na bieżąco co się dzieje z Hašką z... Radia Wolna Europa. Ojciec nastawiał radio i wśród trzasków, bo zagłuszano, nasłuchiwał. W Polsce ukazał się tylko jeden artykuł na ten temat – „Serce Poetki” – „Przekrój” z 1959 roku. Głód tlenowy, jakiego do tej pory doświadczała, nauczył jej organizm korzystania z małej ilości tlenu. Organizm siostry był wytrenowany tak, jak wspinaczka górskiego. Operacja przywróciła jej sercu 80% wydolności.

– Co dalej działo się z siostrą po operacji...?

– Po zabiegu poczuła się bardzo dobrze, jak nigdy dotąd. W „Opowieści do przyjaciela” pisała, że wsiadała na rower i zajeżdżała się do utraty tchu. Przyznano jej stypendium w Smith College w Northampton, które zawdzięcza nie temu, że była poetką, nie temu, że była piękną kobietą, ale dzięki temu, że była znaną pacjentką.

Przed rozpoczęciem studiów jesienią 1959 r. udała się w długą podróż po USA. Pomimo że okres studencki był dla niej pomyślny – poznała wielu nowych przyjaciół, świetnie się uczyła – po dwóch latach zdecydowała o powrocie do Polski.

Podjęła studia na Uniwersytecie Jagiellońskim na Wydziale Filozoficzno-Historycznym z nadzieją na zaliczenie dwóch lat z Smith College. W czerwcu 1963 r. obroniła pracę magisterską. Mieszkając w Domu Literatów poznała wybitnych pisarzy, poetów – elitę polskiej literatury. Wśród nich Sławomira Mrożka, Tadeusza Nowaka, Wisławę Szymborską.

W 1964 r. rozpoczęła pracę jako asystentka w Katedrze Filozofii Przyrody i otworzyła przewód doktorski. Niestety, już w listopadzie następnego roku musiała wziąć urlop z powodu bardzo złego stanu zdrowia. Na początku stycznia 1966 roku poczuła się lepiej na tyle, że mogła wrócić na uczelnię. Wakacje spędziła w Jugosławii, a w listopadzie była także w Paryżu. Po powrocie z Francji poddała się badaniom. Jej stan zdrowia ulegał stopniowemu pogorszeniu. Ponieważ w międzyczasie wynaleziono i z powodzeniem stosowano protezę zastawki, która dawała świetne wyniki, zakwalifikowano Haškę do ponownej operacji, polegającej na wszczepieniu sztucznej zastawki. Początkowo zaplanowano ją na lipiec 1967 r. Ostatecznie odbyła się jesienią. Prof. Aleksandrowicz zadbał, by zabieg wykonywali najlepsi lekarze pod kierunkiem prof. Sitkowskiego. Operacja odbyła

się w Instytucie Chorób Płucnych w Warszawie. Mimo że operacja została wykonana perfekcyjnie – serce nie podjęło pracy. Niestety, na bliźnię pooperacyjną powstała po pierwszym zabiegu, nałożyły się kolejne uszkodzenia tkanki nerwowej w mięśniu sercowym... 8 dni po zabiegu – 11 października 1967 r. zmarła. Miała zaledwie 32 lata. Jej ciało spoczęło obok męża i siostry Elżbiety na cmentarzu św. Rocha w Częstochowie.

– Wracając do lat dzieciennych... Była niezwykle uzdolniona.

– Z powodu choroby prawie nigdy nie chodziła do szkoły. Z wyjątkiem połowy jednego roku spędzonego w Liceum im. Słowackiego. Uczyła się externistycznie. Była niesamowicie uzdolniona, zwłaszcza języków uczyła się bardzo szybko. Na przykład języka angielskiego i hiszpańskiego nauczyła się sama w ciągu pół roku. Znała też francuski, rosyjski i niemiecki.

– Jak mieszkało się z poetką pod jednym dachem?

– W domu wszystko było podporządkowane Hašce. Nie czuło się tego, że jest poetką, ale mieliśmy poczucie, że mieszkamy z osobą chorą. O ile ojcu, matce można było czegoś odmówić, tak jej – nie. Panował niepisany obowiązek, aby wręcz uprzedzać jej pragnienia.

Ja mając jedenaście lat woziłem jej zapatrzenie do Krakowa. Przy okazji poznałem przyjaciół Haški z Domu Literatów. Inny przykład z tamtego okresu – zdobywanie miejsca siedzącego w autobusie: gdy autobus podjeżdżał, rozpychając się łokciami, wchodziłem i zajmowałem miejsce. Gdy stawała nade mną zgorzona moim zachowaniem jakaś starsza pani, tłumaczyłem, że to miejsce dla chorej siostry. Wtedy się uspokajała. Ale jeszcze gorzej było gdy usiadła na tym miejscu Haška, bo choroby po niej nie było widać. W dodatku ta jej nieprzeciętna uroda... Należała bowiem do tych kobiet, które, jeśli się gdzieś pojawiają, to robi się jaśniej. Posiadała naturalne światło wewnętrzne. Blasku dodawały jej modne ciuch od koleżanki z Ameryki.

– Jak poznała swojego męża i dlaczego ich małżeństwo trwało tak krótko?

– Halina w 1953 roku, w sanatorium w Kudowie, poznała swego przyszłego męża Adolfa Poświatowskiego – studenta Łódzkiej Szkoły Filmowej. Oboje byli bardzo młodzi. Gdy się pobierali ona miała 19 lat, on 23. Ja miałem trzy lata gdy pojawił się po raz pierwszy w naszym domu. Mówiliśmy na niego Adaś, bo niedługo po wojnie imię Adolf źle się kojarzyło. Rodzice początkowo byli przeciwni temu związkowi, ponieważ kandydat na męża sam miał poważną wadę układu krążenia. Wątpliwości miała zresztą sama siostra – nie przyjęła pierwszych oświadczeń. Obawiała się zarówno o zdrowie swoje, jak i zdrowie przyszłego męża, a ślub to wydarzenie pełne wzruszeń i mogłoby być niebezpieczne dla ich słabych serc. Ostatecz-



Halina Poświatowska na tle obrazów swojego męża Adolfa Poświatowskiego

nie w czerwcu 1954 r. przypieczętowali swój związek przed ołtarzem. Niestety, nie cieszyli się długo swoim szczęściem. Adolf zmarł po dwóch latach małżeństwa. 23 marca 1956 r. znaleziono go w pokoju hotelowym w Krakowie martwego, gdzie wówczas mieszkał. Prawdopodobnie sięgał po fiołkę z lekami. Gdyby ktoś się nim opiekował, to by mu tę fiołkę podał. Haška przebywała wtedy w sanatorium i o tragicznym wydarzeniu dowiedziała się od ojca, który po nią przyjechał.

– Dzięki poezji znalazła się w elitarnym gronie literatów polskich i nie tylko polskich... Jak wyglądała droga siostry do sukcesu?

– Istnieje powszechne przekonanie, że poetką została dzięki chorobie. Nic bardziej mylnego. Pisanie prozą sprawiało jej trudność. „Opowieść do przyjaciela”, która miała być prozą a do końca prozą nie jest, przepisywała kilka razy. Natomiast wierszem mówiła od dziecka. Po śmierci męża profesor Aleksandrowicz zalecił jej, jako terapię zajęciową, pisanie wierszy. Wtedy jeszcze nie istniało pojęcie terapii zajęciowej. Profesor, do kliniki gdzie przebywała, ściągnął kilku poetów, wśród nich Wisławę Szymborską, aby ocenili poezję Haški.

Ocena była pozytywna. Porównywano ją do Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej. Haška się oburzała, bo miała przecieć swój własny styl. Również krytyka entuzjastycznie przyjęła jej wiersze, choć zdarzały się głosy krytyczne.

Zadebiutowała w 1958 r. na łamach pisma Politechniki Częstochowskiej „Lewary”. Kolejny wiersz ukazał się w „Gazecie Częstochowskiej”.

W tym samym roku ukazał się pierwszy tomik jej poezji. Przebywając w Stanach Zjednoczonych otrzymała z Polski, od matki, paczkę z „Hymnem bałwochwalczym”. Drugi tomik „Dzień dzi-



Poetka podczas pobytu w Stanach Zjednoczonych

siejszy” wydała w 1963 r. po obronie pracy magisterskiej. W następnych latach ukazywały się kolejne...

W sumie opublikowała 521 wierszy, 4 opowiadania, oraz powieść autobiograficzną pt. „Opowieść dla przyjaciela”. Jej utwory ukazały się w wielu krajach: Niemczech, Szwajcarii, Austrii, Włoszech, Bułgarii, Czechosłowacji, Iranie oraz na Ukrainie jako wydania samodzielne. Obecnie w przygotowaniu jest wydanie białoruskie wierszy. Inne, wyróżniane są przez za-

mieszczanie w licznych antologiach. Przykładem jest „Protest potrójny” o wojnie w Wietnamie, opublikowany w antologii „Poeci świata Wietnamowi”, przetłumaczonej na 200 języków, m.in. wietnamski.

– Kiedy i z czyjej inicjatywy powstał Dom Poezji – Muzeum Haliny Poświatowskiej?

– Muzeum powstało 10 lat temu. Pomyśl był mój. Prezydent Częstochowy Tadeusz Wrona będąc w Stanach Zjednoczonych dowiedział się o nagrodzie im. Haliny Poświatowskiej, przyznawanej poetom w jednym z miast Ameryki. Gdy wrócił pomyślał, że skoro tam daleko w USA poetka jest tak znana i honorowana, dlaczego nie uczcić jej w Częstochowie, z której pochodzi. Dom ten był w bardzo złym stanie. Po restauracji budynek położony przy ul. Jasnogórskiej 23, który był domem rodzinnym jednej z największych polskich poetek stał się muzeum. Muzeum Częstochowskie w ten sposób, dzięki życzliwości rodziny, otrzymało w depozyt szereg oryginalnych fotografii, pamiątek, rękopisów i dokumentów. Wśród eksponatów zwiedzający mogą zobaczyć takie dokumenty jak: metryka urodzenia i chrztu wydaną przez parafię św. Barbary w Częstochowie, odpis skrócony aktu małżeństwa Haliny i Adolfa Poświatowskich, dyplom ukończenia studiów w Smith College, dyplom ukończenia studiów na UJ Wydz. Filozoficzno-Historycznym, list ze Związku Literatów Polskich do Haliny Poświatowskiej z 18 czerwca 1962

roku, ale też elektrokardiogram wykonany w Krynicy 17 grudnia 1965 roku.

Szczególnie cenne są fotografie, zwłaszcza te z okresu pobytu w Stanach Zjednoczonych. Na zdjęciach jest przede wszystkim Haśka z rodziną i Polonią amerykańską, osobami, dzięki którym wyjazd na operację stał się możliwy. Znajdziemy także takie perełki jak rękopis wiersza „Dla mojej Mamy” z około 1959 roku, jak również inne rękopisy i tomiki już wydanej poezji. Wiersz „Dla mojej Mamy” jest tym cenniejszy, że jeszcze niepublikowany, mimo powstawania wciąż nowych wydań twórczości siostry. Pamiątki wzbogacają maszynopisy i notatki z czasu studiów w Smith College i na Uniwersytecie Jagiellońskim. O licznych podróżach świadczą kartki pocztowe, telegramy i listy adresowane do rodziny, przyjaciółek – Anny Orłowskiej i Caroline Karpińskiej. Oprócz pamiątek ofiarowanych przez rodzinę, muzeum ma w swoich zbiorach list Haśki do kuzyna Jerzego Romana, medale pamiątkowe przedstawiające jej postać, plakaty wg projektu plastyka częstochowskiego Jerzego Szuki oraz szkic portretowy (ołówek) wykonany według fotografii, sygnowany „K. Orzechowska 12 IX 1975 r.”.

Dom Poezji jest nie tylko izbą pamięci po samej Haśce, ale miejscem spotkań pisarzy, poetów oraz wszystkich tych, którym nie jest obojętna literatura i sztuka.

– Dziękuję za rozmowę.

Zdjęcia: ze zbiorów Zbigniewa Mygi i Domu Poezji



Od kilku miesięcy w gronie artystów, animatorów kultury, miłośników i znawców bluesa, a także z udziałem przedstawicieli władz i Urzędu Miasta w Chorzowie toczą się rozmowy o powstaniu miejsca, które stałoby się Domem Bluesa, Centrum Bluesa czy może najbardziej właściwie... Grubą Bluesa. Albo: Blues Gruba. To rzecz jasna nazwy robocze, ale przytaczam je wszystkie, bo każda akcentuje inne niuanse wartości, które stały się dla narodzin owej idei kluczowe i o które chcielibyśmy dbać, tworząc w Chorzowie „Kopalnię Bluesa”. W tym mieście działały kiedyś trzy kopalnie (gruby), dzisiaj wszystkie zamknięte. A jedno z najbardziej nośnych dzisiaj chorzowskich haseł promocyjnych brzmi: „Chorzów miastem bluesa”. Jest realna szansa na to, że powstanie przestrzeń sprzyjająca praktykowaniu dbałości o kulturowe dziedzictwo regionu związane z muzyką bluesową i rockową oraz bliższymi i dalszymi ich okolicami. Odbywają się w Chorzowie trzy festiwale bluesowe: Bluestracje, Blues Alive i Lauba Pełno Bluesa. Był do niedawna legendarny Festiwal im. Ryśka Riedla „Ku Przestrodze”, przeniesiony swego czasu z Tychów. Tutaj też w Chorzowie wychodzi renomowany kwartalnik „Twój Blues”, tu działa Dom Pracy Twórczej „Leśniczówka”, z którym od lat związany jest Leszek Winder i gdzie rozbrzmiewa muzyka, jest „Szuflada 15”, i w końcu też „Szytgarka”, świetnie dodająca owego ujmującego śląskiego waloru architektonicznego słowu „blues” (które w młodości późniejszy lider zespołu The Animals Eric Burdon pisał w notatkach o rock’n’rollu własną krwią), bo umiejscowiona w bezpośredniej bliskości Szybu „Przydent” i w dawnych pokopalnianych budynkach. A przecież wskazałem tylko niektóre „blusowe” przejawy współczesnego życia miasta, bo miejsc, w których grano (np. wciąż wspomniany Klub „Kotłownia”) i gra się w Chorzowie bluesa, jest więcej (MDK „Batory”, Chorzowskie Centrum Kultury, Teatr Rozrywki itd. itp.).

Gruba Bluesa powinna być miejscem spotkania wokół muzyki i Śląska, przestrzenią, w której powstanie miarodajna, stała ekspozycja muzealna, ale także biblioteka, czytelnia (mediateka), archiwum, ośrodek zdarzeń towarzyskich, artystycznych i naukowych, miejsce gromadzenia i inwentaryzacji zasobów historycznych śląskiej muzyki rockowej i bluesowej, ich poszerzenia i digitalizacji. Powinny tu znaleźć dla siebie miejsce skatalogowane materiały źródłowe – opisujące genezę powstania na Śląsku tego ruchu muzycznego – w postaci: dokumentów, wycinków prasowych, zapisów muzyki na wszelakich nośnikach, zapisu relacji radiowo-telewizyjnych wydarzeń muzycznych, koncertów, materiału filmowego z wydarzeń oraz archiwum gromadzącego pamiętki, instrumenty, płyty, gadzety promocyjne, bilety z koncertów, festiwali itp.

Powinno być to miejsce, w którym schronienie znalazłoby wszelkiego rodzaju dokumenty i pamiętki, źródła historyczne. Ufamy, że już w tym roku Gruba Bluesa zainauguruje działalność, a wspo-



Zdjęcia: ze zbiorów autora

W stałej ekspozycji Blues Gruby znajdują się m.in. projekty rzeźbiarskie Tomasza Wenklara (na zdjęciach: Bob Dylan, Jimi Hendrix)

Blues Gruba

JACEK KUREK

mniany kompleks Szytgarka zdaje się właściwą lokalizacją dla tej inicjatywy. Tak pomyślana Gruba Bluesa (Blues Bruba) ma wszelkie podstawy, by stać się – niezależnie od tego, jak górnolotnie to zabrzmie – Świątynią Centrum Śląskiego Bluesa & Rocka, popularyzującym zarówno historię, jak i aktualne wydarzenia oraz związanych ze Śląskiem twórców, którzy – jak wiemy – rozsiani są po całym świecie. Jest to bowiem projekt mający na celu troskę o historię bluesa i rocka na Śląsku, o dostępne materiały każdego rodzaju i na wszelkich nośnikach. Całość powinna być naukowo skatalogowana i postawiona do dyspozycji naukowców, studentów, doktorantów i wszelkich zainteresowanych z całego świata, a to dzięki cyfryzacji zbiorów i ich udostępnieniu w Internecie.

Z pożytkiem działać mógłby – nazwijmy roboczo jeszcze – Klub Muzyczny, założony na przykład o nazwie Silesian Music Pub albo Hołda Bluesa, a może Muzyczna Hołda czy też Hołda Muzyki, w każdym razie technicznie przygotowane do organizacji koncertów, projekcji filmowych, produkcji teatralnych, pokazów multimedialnych, wykładów, rejestracji wydarzeń oraz transmisji radiowo-telewizyjnych „na żywo”. Założyć warto, że klub wyposażony byłby we własny sprzęt muzyczny (backline, instrumenty muzyczne, w tym także pianino) tak, by muzycy tu goszczący mogli *ad hoc* uczestniczyć w jam sessions. W klubie można byłoby organizować wszystko, na co tylko pozwalać będzie wyposażenie techniczne, a więc wykłady tematyczne, warsztaty, przeglądy twórczości, benefisy muzyków, spotkania z artystami, koncerty promujące nowe wydawnictwa, tak, by każdy zespół czy solista wydający płytę mógł cieszyć się huczną premierą z udziałem mediów. Wszak to dałoby pożądaną „moc” starym i nowym kapelom na star-

cie. Blues Gruba to także w założeniu Galeria Sztuki, a więc przestrzeń przystosowana (zaprojektowana) do organizacji wystaw związanych z muzyką i różnorodnymi śląskimi twórcami np.: fotografii, rzeźby, malarstwa, okładek płyt, znaczków, gadżetów, bibelotów, pamiątek itp. W Gallerii oczywiście sklep, w którym można nabyć publikacje, książki, wydawnictwa muzyczne, płyty kolekcjonerskie, pamiętki itp. Gruba Bluesa to także możliwość zaistnienia, przypuścimy, Radia „Śląski Blues” – internetowego, a może nawet cyfrowego. No i... Galeria Muzyków (nazwa oczywiście także robocza) – miejsce przewidziane dla upamiętnienia niezujących muzyków (płaskorzeźby) oraz żyjących – odciski dłoni wraz z atrybutem muzyka za szybką (kostka do gry na gitarze, pałeczki perkusyjne). Przed pierwszym występem danego artysty w Grubie Bluesa organizować można byłoby wydarzenia medialne w postaci uroczystego odsłonięcia poszczególnych miejsc czy otwarcia drzwi do „pokoju spotkań z muzykami” (nazwa i tym razem bardzo robocza), w którym za pomocą słuchawek i monitora można wysłuchać opowieści.

Pewnie niektórzy z Państwa dotarliście do tego passusu w tekście, pomyśleli o marzeniach ściętej głowy i zbyt mocno popuszczonych wodzach fantazji. Pojawiły się oczywiście w myślach niektórych Czytelników pytania o pieniądze, bez których mowy być nie może o ziszczeniu się nawet niewielkiej części tych marzeń dotyczących celebrycy bluesa w jednym górnośląskim mieście, w dodatku o stosunkowo wątpliwej kondycji finansowej. A jednak, proszę mi zaufać: głęboko wierzymy nie tylko w to, że wszystko to jest możliwe, ale wręcz oczywiście, by nie powiedzieć, że na Śląsku i w Chorzowie po prostu konieczne.



Czarna płyta – czarny węgiel, czyli o Śląsku na winylu

ANNA PIONTEK

Ponad rok temu Adrian Karpeta wspólnie z Miejską i Powiatową Biblioteką Publiczną zorganizował w Rybniku ekspozycję „Rybnik na winylu”. Zainspirowani tą myślą i życzliwością Adriana (prywatnie kolekcjonera i wielkiego miłośnika czarnych płyt) zastanawialiśmy się wspólnie z Jackiem Kurkiem, jaki wybrać klucz dla opowiedzenia słowem, obrazem i dźwiękiem „Śląska na winylu” – temat to bowiem do nieograniczonych poszukiwań i skojarzeń, a także przestrzeni nam najbliższej – „Chorzowa na winylu”. Owocem naszych poszukiwań stała się wystawa w Muzeum w Chorzowie, którą otworzyliśmy w tegoroczną Noc Muzeów.

Przygotowując wystawę „Śląska na winylu” myśleliśmy o dwóch wartościach – Śląsku jako miejscu muzycznych spotkań – ludzi, gatunków, słów, dźwięków, a także o czarnej płycie – będącej wartością samą w sobie, ale i nośnikiem określonych treści i rytuałów. Wystawa „Śląska na winylu” jest ideą otwartą. Opowieści i obiektów przybywa i zdajemy sobie sprawę, że zawsze pozostanie niedosyt niedopowiedzenia, że zawsze to mniej lub bardziej arbitralny wybór. W mnogości wątków i narracji wybraliśmy te, które wydają nam się najważniejsze i najbardziej reprezentatywne dla „Śląska na winylu”.

XIX-wieczne rewolucje technologiczne przyniosły równoległe do wielkich przemian gospodarczych swoiste odpryski w postaci wielopłaszczyznowych rewolucji kulturalnych – w tym zmianę w postrzeganiu i odczuwaniu dźwięku i możliwości jego zachowania za sprawą czarnej płyty. Opracowanie technologii przetwarzania kauczuku pozwoliło na produkcję opon, ale i nośników do zapisu dźwięku. Zaistniała możliwość, by ludzki głos i muzyka pozostawały nie tylko w pamięci, ale zachowane przez lata. Wraz z wizerunkiem utrwalonym na fotografii pozwoliło to człowiekowi w pewnym sensie przekroczyć własną śmiertelność i rozpoczęło fascynację ludzkim głosem. To dlatego do pierwszych (obecnie kolekcjonerskich rarytasów) należą rejestracje występów artystów operowych (w tym Adama Didura – związanego po II wojnie światowej z Operą Śląską). Dziś, odtwarzając zapętlone „mp3”, często zapominamy, że jeszcze 40 lat temu załączenie na gramofonie płyty ulubionego zespołu (zdobytej z niemałym trudem) było wyjątkowym misterium, wymagającym czasu, uwagi i możliwości delektowania się muzyką, a także jej graficzną oprawą – okładki albumów nieraz stanowiły prawdziwe dzieła sztuki. Myśląc w ten sposób o wartości płyty winylowej rozpoczęliśmy podróż po jej śląskich, a zwłaszcza górnośląskich, kontekstach.

Kluczem do „odczytywania” regionalnych znaczeń winylu może być kompozytor, wykonawca, utwór, słowo, miejsce, wizerunek, wytwórnia... W ten sposób obecność Śląska na czarnych krążkach zauważalna jest od ich „ebonitowych” początków, by przywołać chociażby nagrania rejestrowane dla Syreny Record (Syreny Electro) czy bardzo rzadkie wydawnictwa bliżej nam nieznanego wytwórni Gong. Kariera czarnej płyty na masową skalę rozpoczęła się po II wojnie światowej, zaowocowała licznymi wydawnictwami, które możemy lokować także w kontekście Śląska.

Śląsk na winylu możemy odczytywać z perspektywy gatunków. To: klasyka, jazz, blues, rock, muzyka filmowa i popularna, a także ludowa, w tym górnicza. To także pocztówki dźwiękowe, często prezentujące wizerunki bądź herby Śląskich miast, w czym wyróżniała się

zwłaszcza Ruda Śląska. Wśród oczywistych muzycznych śląskich skojarzeń twórców wydających w „epoce czarnej płyty” – Wojciech Kilar, Henryk Mikołaj Górecki, Jerzy Milian, SBB, Józef Skrzek, Leszek Winder, Zygmunt Wichary – odnajdziemy także wspomnienia, rarytasy, kolekcjonerskie białe kruki, autografy, projekty okładek czy twórczość śląskich aktorów (Aleksandra Śląska, Hanna Schygulla)... Osobny rozdział w tej opowieści stanowią dokonania (zwłaszcza w przestrzeni jazzu) wykładawców i absolwentów Państwowej Wyższej Szkoły Muzycznej w Katowicach, dzisiejszej Akademii Muzycznej im. Karola Szymanowskiego. Wszystkie przytoczone przykłady są okazją do spojrzenia na kulturę (nie tylko folklor) regionu i jego przeszłość przez pryzmat muzyki i obrazu – bo wiem każda sztuka jest świadectwem czasów, w których powstaje, i źródłem do ich odczytywania. Przytoczmy na dowód przykład jednej z prezentowanych przez nas płyt Józefa Skrzeka – *Wojna światów. Następne stulecie* (1982). Wydawnictwo nie ukazałoby się, gdyż zabrakło papieru na sporządzenie okładek. Pracownicy Muzy sięgnęli do magazynów po niewykorzystane albumy innych wykonawców. Tym samym każdy nabywca płyty Skrzeka, zaglądając do środka obwoluty, mógł zobaczyć okładkę longplaya innego wykonawcy np. Wandy Warszawskiej... Ot, jedno z artystycznych świadectw ówczesnej sytuacji gospodarczej kraju. Analizując z kolei stosunek władzy socjalistycznej do powstań śląskich i regionu nie sposób nie sięgnąć do piosenki i teledysku *Czerwone słoneczko* z płyty zespołu 2 plus 1 – *Nowy wspaniały świat* (1972). Stąd już niedaleko do ludycznej twórczości zespołu No To Co i okładki płyty *Kolędowe śpiewanki* (1975), na której zamieszczono reprodukcję obrazu Teofila Ociepki. A skoro już poruszamy temat okładek, to należy pamiętać, że wiele z nich zaprojektował nie kto inny, jak współtwórca polskiej szkoły plakatu, urodzony w Katowicach, Waldemar Świerzy. Przykłady obecności Śląska na winylu można mnożyć...

O muzyce nie można jedynie mówić... Przynajmniej przede wszystkim należy ją usłyszeć. Wystawa w Muzeum w Chorzowie jest okazją, by posłuchać brzmienia czarnych płyt – dla wielu z nas, by je sobie przypomnieć... To również wyraz naszego sposobu myślenia o muzeum jako przestrzeni ocalającej pamięć nie tylko o odległych wiekach i wydarzeniach „wielkiej historii”, ale przede wszystkim o nas samych i naszej codzienności. Muzeum winno być także jedną z wielu przestrzeni nie tylko obcowania, ale spotkania z kulturą – spotkania opartego na interakcji Chcielibyśmy, by był to tak naturalny stan, jak słuchanie muzyki ulubionego wykonawcy. Z tą myślą zapraszamy Państwa do zwiedzania...



Zdjęcie: Marian Droszdol



„ŚLĄSK NA WINYLU” – wystawa w Muzeum w Chorzowie.

Scenariusz: dr Jacek Kurek, Anna Piontek.

Scenariusz powstał w ramach warsztatów animacji kultury prowadzonych w Muzeum w Chorzowie dla studentów kulturoznawstwa UŚ w Katowicach.

Aranżacja: Krystian Banik

„To miasto leży na szczycie wzgórza panującego nad całą okolicą. Prowadzi do niego długa, łagodnie podnosząca się i wijąca wśród pól droga. Z początku droga wysadzana jest po obu stronach drzewami, potem biegnie wśród pustych łąk. Ale tam, w mieście, do którego idę, jest dużo rozmaitych drzew, rosną kępami, z daleka wyglądają jak bukiety ułożone ręką człowieka.

Wejście do tego leżącego wśród drzew i otoczonego murami miasta prowadzi przez wysoką, półkolisto sklepioną bramę. Przekraczam ją i oto jestem w mieście umarłych”. (*Jak dmuchawiec*)



Wielkość i niezwykłość Cieszyna niejako wyrasta z jego przeszłości, więc z cmentarza, który dokumentuje jego historię i kulturę. Widok z alei głównej na bramę cmentarza.

Z Kornelem Filipowiczem wędrowka po cieszyńskim cmentarzu

KRYSTYNA HESKA-KWAŚNIEWICZ

Jest to niemal fotograficznie wierny opis drogi wiodącej na cieszyński cmentarz.

Jak dmuchawiec, jedno z najpiękniejszych opowiadań Kornela Filipowicza jest w całości poświęcone opisowi tego miejsca. Narrator zna tu doskonale każdą ścieżkę i każdy kamień. Wraz z nim zwiedzamy cieszyńskie miasto zmarłych, mijamy nagrobki i zapadające się już mogiły. I właśnie tutaj, w scenerii nadchodzącego zmierzchu, narrator rozmawia z cieniem swego ojca, by zadać mu w końcu przejmujące pytanie: „jak spożytkować te lata, które mi jeszcze zostały?”

Ten opis cechuje swoisty dynamizm, którego cechą jest łagodność. Czasowniki oddają spokojny ruch, „rozkładający się” na dwie strony w trakcie łagodnej i lekko wijącej się alei, którą prowadzi nas narrator po cieszyńskim cmentarzu. Ten ruch został rozsnuty w czasie i przestrzeni, jego łagodność odbiera cmentarzowi smutek, a kolorystyczna dominanta zieleni, sprawia, że nie ma w nim beznadziei. Cmentarz jest dla bohatera ostatecznym powrotem do punktu wyjścia, zamyka koło czasu i przestrzeni. Pisarz spędził tutaj lata dziecięce i wczesną młodość, stąd, z Cieszyna wyruszył w świat, na studia do Krakowa, ale powrotem do Cieszyna nie był końca. Kto raz przeczytał opowiadanie Filipowicza będzie je wspominał ilekroć wejdzie na cieszyński cmentarz. Dzisiaj to autor *Profilów moich przyjaciół* będzie naszym przewodnikiem po tej nekropolii.

Cmentarz Komunalny w Cieszynie jest jedną z najpiękniejszych nekropolii polskich. Zapewne duże znaczenie ma jego położenie, dzięki któremu nie tylko góruje on nad miastem, ale jednocześnie wita i żegna osoby wjeżdżające lub wyjeżdżające stąd. Najszczegółowiej jego historię opisała Irena Kwaśny, historyk sztuki, wcześniej Miejski Konserwator Zabytków. Jej to zawdzięczamy wiele precyzyjnych ustaleń oraz napisanie bardzo profesjonalnego przewodnika *Cmentarz komunalny w Cieszynie*.

To stary cmentarz, pamiętający dawne dzieje miasta i jego wybitnych mieszkańców. Powstał w roku 1891 i rozciągnięty jest na 6, 94 ha, na planie nieregularnego wieloboku. Prowadzi do niego monumentalna brama w stylu austriackiego baroku, w której znajdował się do II wojny światowej dzwon oznajmujący swym dźwiękiem pogrzeb.

Autorami planu najdawniejszej części założenia cmentarnego byli inżynierowie

mięscy z końca XIX wieku Leonard Hulek i Markus Dalf. W latach około 1970 i 1990 cmentarz został powiększony w kierunku północnym, zaś autorami projektu rozbudowy byli w 1993 roku architekt Małgorzata Tyrna i Zbigniew Huczała.

Teren nieregularnego wieloboku, zlokalizowanego na znacznym spadku terenu w kierunkach południowym i wschodnim, podzielono na działki, w celu uzyskania symetrycznych pól, łatwych do podzielenia na kwatery grobowe. Największy, południowy bok cmentarza zajmuje niemal w całości budynek bramy. W symbolice chrześcijańskiej brama oznacza przejście ze świata żywych w świat zmarłych, a *Słownik Symboli* Władysława Kopalińskiego dodaje do znaczeń jeszcze „chwałę, wojnę, cierpienie, stan między życiem a śmiercią, dobrem a złem”. W Cieszynie brama cmentarna zbudowana jest na rzucie wydłużonej litery E. Część centralną, najwyższą, stanowi przejazd na cmentarz, nakryty kopułą, z ośmioma oknami zwieńczonymi półkoliście. Kopułę zamyka krzyż. Po obu stronach bramy przejazdowej znajdują się drzwi wejściowe. Boczne ściany udekorowane są symetrycznie płaskorzeźbami, przedstawiającymi złożenie do grobu i zmartwychwstanie, obie sygnowane są nazwiskiem znanego rzeźbiarza z Białej „Jos. Scheuerer Biała”. Pozostałe ściany dekorują cztery płaskorzeźby wypełnione symbolami chrześcijańskimi.

„Cmentarz jest więc rozległy, obszerny, podzielony na kwatery, ma swoje dzielnice i ulice. Główne arterie, niby aleje w Nowym Jorku, są ponumerowane: XI, XII, XIII – i tak dalej. Zapewne i to także zrobiono z myślą o przyszłości, w trosce o porządek i łatwość orientacji.” – pisze Filipowicz. Dodajmy do tego, że wzdłuż alei głównej zlokalizowane zostały groby i grobowce, na których tyłach zostały zaprojektowane groby dziecięce. Irena Kwaśny informuje, że początkowy układ grobów zachował się do dnia dzisiejszego. Naprzeciw grobowców arkadowych postawiono symboliczny grobowiec Burmistrza Cieszyna Johanna Demla von Elswehr, w kształcie sarkofagu na wysokim postumencie. Na dole została dodana współcześnie tabliczka z napisem „dr Johann Demel von Elswehr, 1825-1892, burmistrz Cieszyna 1861-1875 i 1876-1892”.

Przez środek założenia cmentarnego prowadzi aleja główna, z której odchodzą aleje poprzeczne, rozdzielające teren cmentarza na działki, oznaczone tabliczkami żeliwnymi od-

lanymi w hucie w Trzyńcu. Prawie równoległe do alei głównej biegną aleje boczne, aż do działu IX i X.

„Wracam na główną aleję i idę powoli w stronę, gdzie wznosi się okazała budowla, będąca, stosownie do potrzeb prowincji, miniaturą greckiego Panteonu” - informuje Filipowicz.

Panteon Alei Zasłużonych zaprojektowany przez znanego cieszyńskiego architekta, Alfreda Wiedermanna wybudowany został w połowie lat 30. XX wieku.

Ma on kształt półkolisty, a tworzy go siedem komór grobowych, obrośniętych bluszczem, przed nim znajduje się półkole ozdobione niskim bukszpanem. Poszczególne grobowce wykonane zostały z różnego materiału: granitu, alabastru, piaskowca i z marmuru. Na środku kolumny zostały podwojone, cokoły ozdobione są lampami z brązu.

W pierwszej kwaterze od strony lewej pochowany został Gustaw Morcinek. Na płycie nagrobnej znajduje się napis: „Gustaw Morcinek, syn i piewca Ziemi Śląskiej, ur. 25.VIII.1891 w Karwinie, zm. 20.XII.1963 w Krakowie”. Gustaw Morcinek postrzegany jest głównie jako wybitny prozaik, pisarz który tematykę śląską wprowadził w ogólnopolski obieg literacki i stworzył swoistą mitologię Śląska, a także wszedł do wszystkich podręczników historii polskiej literatury. Pisarz był również nauczycielem, działaczem społecznym i górnikiem. Najbardziej heroicznym okresem w jego życiu był pobyt w obozach koncentracyjnych, w Sachsenhausen i Dachau (1939-1945); w roku bieżącym nakładem Katowickiego Oddziału Instytutu Pamięci Narodowej ukazały się listy pisarza z obozów wysyłane do siostry Teresy, stanowiąc niezwykle świadectwo jego prawości i odwagi.

Morcinek urodził się w Karwinie na Zaolziu, a dokładnie w Żabkowie, górniczej dzielnicy tej miejscowości, zmarł w I Klinice Chorób Wewnętrznych w Krakowie; przyczyną śmierci była białaczka limfatyczna. Pochowany został na koszt państwa w Cieszynie, pogrzeb odbył się 23 grudnia w Cieszynie i miał charakter świecki, a rodzinę z Zaolzia władze wojewódzkie wpuściły w ostatnim momencie. Joanna Jurgała-Jureczka napisała: Maciej Kuglin pamięta, że w kondukcje za trumną Gustawa Morcinka szedł jeden z przyjaciół pisarza – ksiądz Ludwik Kojzar proboszcz z Ustronia – również więzień Dachau,

który cicho wypowiadał słowa katolickiego obrzędu pogrzebowego, też autorka dotarła do informacji, że „...pierwszy nagrobek z krzyżem na cieszyńskim cmentarzu został czym prędzej zastąpiony okazałym grobowcem”. Jan Pierzchała – niezbyt pisarzowi przychylny – dodał: „Odprowadzał go niepoliczony tłum górników i płacząca rzesza ludzka”. Jeszcze dzisiaj można tam odnaleźć płonące znicze i świeże kwiaty.

W drugiej kwaterze spoczywa prof. Franciszek Popiołek (1868 – 1960), dr h.c. Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie. Wybitny historyk i nauczyciel, dyrektor Gimnazjum Polskiego Macierzy Szkolnej Księstwa Cieszyńskiego. Popiołek jako pierwszy polski historyk opracował historię Śląska Cieszyńskiego i był autorem wielu ważnych książek i artykułów.

W trzeciej kwaterze na zmartwychwstanie czeka ks. Józef Londzin – znakomity polihistor cieszyński. Na płycie nagrobnej napisano: „Ten ci jest miłośnik Braci i Ludu, II Mach. 15.14., ks. Prałat Józef Londzin, ur. 3.II.1862, zm. 21.III.1929, kapłan, patriota, niestrudzony pracownik, długoletni katecheta gimn., poseł, senator, burmistrz miasta Cieszyna i b. prezes Rady Na-

rodowej. Żyj w Panu i wstawiaj się za nami”. Miejsca by brakło na wymienienie wszystkich zasług ks. Londzina, odegrał tak wielką rolę w rozwoju kultury Śląska Cieszyńskiego. Napiszmy więc tylko, że oprócz posługi kapłańskiej oraz pracy naukowej współtworzył w roku 1918 Radę Narodową Księstwa Cieszyńskiego, był posem do Sejmu Polskiego, a od 1927 roku burmistrzem Cieszyna. Wcześniej (1907 i 1911) brał udział w pracach Rady Państwa we Wiedniu. Wincenty Ogrodziński napisał o nim: „Dla rozwoju ruchu polskiego i uświadczenia narodowego, inteligencji, zwłaszcza katolickiej, ma działalność Londzina wielkie znaczenie”.

Kwaterna czwarta jest położona centralnie, złożono w niej Karola Miarke i Pawła Stalmacha. Znajduje się tam alabastrowy obelisk z krzyżem a pod nim na tle liści laurowych herb Cieszyn i napis: „Zasłużonym miasto Cieszyn, mieli pieczę o lud i wiarę”; „Mężowie wielkiej mocy i mądrością obdarzeni (EK-KLI. 44.3.) Karol Miarka, nieugięty obrońca i przewodnik ludu gómośląskiego, niestrudzony publicysta i wydawca pism, ur. 22.X.1825 w Pielnymowicach zmarł 15.VIII.1882 w Cieszynie”. O Pawle Stalmachu natomiast czytamy „Paweł Stalmach – budzieli

ludu śląskiego, nieustraszonego bojownika w obronie praw narodu, pełen poświęcenia dziennikarz, ur. 13.VIII.1824 w Bażanowicach, zmarł 13.XI.1891 w Cieszynie”. I Miarka i Stalmach ponieśli wielkie zasługi dla odrodzenia narodowego na całym Górnym Śląsku i nie sposób tu przedstawić ich pełnych biografii i wszystkich dokonań.

Szczątki doczesne Karola Miarke, Józefa Londzina i ks. Ignacego Świeżego wcześniej spoczywały na cmentarzu przy kościele p.w. św. Jerzego, do panteonu przeniesiono je dopiero po wybudowaniu.

Kolejna płyta grobowa dedykowana jest ks. Ignacemu Świeżemu i czytamy na niej: „Ks. Msgr. Ignacy Świeży, Prof. Gimn. założyciel Związku Śląskich Katolików i Dziedzictwa bł. Jana Sarkandra, długoletni poseł do Rady Państwa i na Sejm Śląski. Ur. 12.X.1839 w Kończycach Wielkich, zm. 22.X.1902 w Cieszynie”. Ks. Świeży założył katolickie stowarzyszenie wydawnicze „Dziedzictwo bł. Jana Sarkandra dla Ludu Polskiego na Śląsku”, które wydało w latach 1873-1902 ponad 40 wysokonakładowych książek religijnych, a po śmierci założyciela rozwijało się dalej. Świeży sam był autorem wielu cennych publikacji i książek, a na-



Panteon Alei Zasłużonych zaprojektowany przez znanego cieszyńskiego architekta, Alfreda Wiedermanna wybudowany został w połowie lat 30. XX wieku. Ma kształt półkolisty, a tworzy go siedem komór grobowych, obrośniętych bluszczem.

wet dwóch powieści. Także Świeży doprowadził do otwarcia Gimnazjum Polskiego w Cieszynie i pełnił ważną rolę w Macierzy Szkolnej dla Księstwa Cieszyńskiego.

W następnej kwaterze, już piątej spoczywa: „dr Leonard Demel von El-swehr, 6.IV.1856-17.I.1915, Burmistrz Cieszyna 1892-1908 i 1913-1915.” Był on synem burmistrza Cieszyna Johana Demla, którego sarkofag znajduje się naprzeciw panteonu.

W kwaterze szóstej pochowano „dr. Władysława Michejdę, adwokata i burmistrza miasta Cieszyna, ur. w Nawsiu 14 marca 1876, zm. w Cieszynie 1 kwietnia 1937.” Śmiało orędownął za zjednoczeniem całości ziem polskich i położył poważne zasługi dla sprawy polskiej na Śląsku Cieszyńskim. Przyczynił się w dużym stopniu do powstania Muzeum Ziemi Cieszyńskiej. Napisał wiele ważnych artykułów o historii i kulturze cieszyńskiej.

W ostatniej kwaterze został pochowany dr Ludwik Brożek (1907-1976). „Urodzony 25. VIII. 1907 w Karwinie zmarł 7. VI. 1976 roku w Cieszynie. Badacz śląskiego folkloru, bibliograf.” Niezwykle skromny, wielki człowiek zwany Śląskim Estreicherem. Całe życie poświęcił ratowaniu polskich ksiązek, a o historii i kulturze Śląska Cieszyńskiego wiedział wszystko. Najważniejszym opracowaniem jego dorobku jest książka dr Jadwigi Miękińskiej-Pindur *Ludwik Brożek – śląski Estreicher. Sylwetka bibliologa, bibliofila i regionalisty.*

Ten panteon pełen powagi, majestatu, ale i piękna stanowi zarazem jakby kwintesencję historii tej ziemi – znaczoną nazwiskami osób, które przyczyniły się do jej niezwykłości. Nieopodal panteonu spoczywa Tadeusz Reger, zmarły przedwcześnie po śmierci jedyne go syna, Witolda, zabitego przez wojska czeskie w 1938 w czasie zajmowania Zaolzia. Filipowicz był nim urzeczony. O Regerze więc czytamy: „Był to stary, dziesiętnastoletni socjalista, już wtedy w latach mojej młodości, nieco zabytkowy i groteskowy w swojej szarej rozwianej na wietrze pelerynie, w szeroko-skrzydłym kapeluszu, w srebrnym cwikierze na nosie. Stawiam na marmurowej krawędzi płyty trzy znicze i zapalam”

Opuściwszy panteon wędrujemy dalej z Kornelem Filipowiczem:

„Idę główną aleją pośród masywnych budowli z czarnego marmuru. Ich

fasady wyposażone są w trwale ozdoby: kute w brązie i żelazie kraty i lartarnie, toczone w kamieniu urny na kwiaty, wieńce zrobione z blachy. Skamieniałe anioły obejmują skrzydłami kolumny, pochylają się nad umarłymi, załamują ręce, płaczą. Ale ich rozpacz nie jest przejmująca, jest tylko łagodnym smutkiem i jakby wyrzutem, i zwraca się raczej w stronę nas, jeszcze żywych. Mijam szerokie, wygodne rezydencje, zamieszkałe przez całe pokolenia, i warowne, niby pancerne kasy, siedziby ludzi samotnych i małżeństw bezdzietnych”.

Taka jest cała główna aleja.

Tuż obok, nieopodal Panteonu, choć po przeciwnej stronie, przy alei głównej, stoi tzw. Socjalistyczna Aleja Zasłużonych. Została zbudowana z pionowych płyt lastrykowych i płyt nagrobnych. W części środkowej tablicy znajduje się płaskorzeźba przedstawiająca herb Cieszyna w tondzie, z napisem „Zasłużonym Miasto Cieszyn”. Twórcą monumentu był Jan Herma. Pochowano tam pięć osób. Na płytach nagrobnych czytamy:

„Maria Wardas, 5.7.1907-17.4.1986, Jan Foltyn 17.9.1903-24.6.1986, Bronisław Czuma, 14.9.1918-19.6.1976, Wincenty Zajac, 28.3.1903-16.2.1975, Aurelia Zajac 20.10.1904-8.1.1983.”

Maria Wardas to pisarka częściowo pisząca cieszyńską gwara, jej najbardziej znaną książką była *Maryśka ze Śląska*, była też nauczycielką, narciarzką, lotniczką, w pewnym sensie jako autorkę wypromował ją Gustaw Morcinek. Po wojnie przyjaźniła się z Zofią Nałkowską i była sekretarką w sejmie PRL, podobno do pracy chodziła w stroju śląskim. Następny jest grób Jana Foltyna, nauczyciela, działacza Macierzy, wieloletniego dyrektora Teatru w Cieszynie i powstańca śląskiego. Następnie jest grób Bronisława Czumy, dyrektora fabryki Celma, po nim ma mogiłę Wincenty Zajac, nauczyciel, Przewodniczący Miejskiej Rady Narodowej w Cieszynie, bibliofil, którego bardzo cenne zbiory zasiły bibliotekę Muzeum Śląska Cieszyńskiego oraz działacz PTTK i Aurelia Zajac, jego żona znana działaczka ruchu kobiecego.

Najważniejszym punktem alei głównej jest krzyż erekcyjny na przecięciu alei głównej z boczną na poziomie działów IX, X, XI, XII. Krzyż erekcyjny z czarnego granitu został postawiony w 1891 roku. Jest na nim postać Chrystusa wykonana z ceramiki,

a do postumentu przytwierdzono tablicę z napisem: „Jam jest zmartwychwstanie i żywot, kto we mnie wierzy choćby umarł żyć będzie”. Całość otacza plac obsadzony przez drzewa liściaste.

Od krzyża wędrujemy dalej aleją główną. W Dziale IV znajdują się groby sióstr zakonnych Boromeuszek, gdzie pochowano 20 zakonnice. Nad podobnymi mogiłami stoi marmurowy krzyż z napisem „S. Caroli B. Sorores Misericordia, U Pana jest Miłosierdzie i obfite u niego odkupienie”. W pobliżu jest kwatera 39 sióstr Elżbietanek, gdzie spoczywa 39 sióstr w identycznych lastrykowych mogiłach, a pomiędzy nimi wznosi się krzyż identyczny jak w kwaterze sióstr Boromeuszek, różni go tylko symbol zakonu Elżbietanek.

Groby ojców Bonifratrów są również pokryte lastrykiem. 23 mogiły ułożone są w dwóch rzędach. Jak w poprzednio opisanych zespołach w centrum stoi krzyż, taki sam jak u sióstr, lecz z jabłkiem granatu – symbolem bonifraterskim i napisem „F.F. Misericordie”.

Na końcu alei znajduje się duży zbiorowy grobowiec z piaskowca brenneńskiego. Na tylnych ścianach są marmurowe tablice, a w środku wysoka stela z napisem „Z ich męczeństwa i krwi nasza wolność”, nad napisem jest płaskorzeźba przedstawiająca orła bez korony. Na prawej stelli czytamy: „Ofiarom faszyzmu hitlerowskiego w 20 rocznicę wybuchu II wojny światowej ufundował Związek Bojowników o Wolność i Demokrację”. Natomiast na stelli lewej napisano: „W mogile tej spoczywa 81 męczenników zamordowanych w latach 1944-45 na cmentarzu żydowskim w Cieszynie” – tak upamiętniono śmierć 65 Polaków, 15 Czechów i jednego Włocha.

Idąc dalej dochodzimy do działu XXVI, gdzie złożono znajduje się żołnierzy poległych w latach 1914-1939. Stojąc nad grobami z pierwszej wojny światowej narrator opowiadania Filipowicza, myśli: „...groby żołnierzy nieaktualnych. Ich rola jest nam już obojętna, ich bohaterstwo wydaje się zupełnie bezsensowne, ich życie i śmierć nikomu niepotrzebne. Krzyże zapadają się, wciąga je w siebie ziemia, która pożarła już dawno ich ciała, mundury żołnierzy i pochłonięła pamięć o nich. Żołnierze nie mają już nazwisk ani narodowości. Pamiętam, że za moich czasów leżeli tu Polacy, Serbowie, Niemcy, Rosjanie, ale czas zrównał ich wszystkich i po-



Tuż obok, nieopodal Panteonu, choć po przeciwnej stronie, przy alei głównej, stoi tzw. Socjalistyczna Aleja Zasłużonych

mieszkał. Zapalam świecę na pierwszym z brzegu grobie, który jest już tylko małym, ledwo widocznym, porośniętym gęstą trawą garbkiem ziemi. Odchodzę z uczuciem, jakbym zrobił coś niestosownego”.

Do tego wiejącego smutkiem i zadumą nad przemijaniem obrazu Irena Kwaśny dodaje, że

„Nagrobki pochowanych tutaj wojskowych austriackich, zmarłych w cieszyńskich szpitalach w latach 1914-1918, wykonane zostały dzięki fundacji: hr Gabrieli Thun z Kończyc Wielkich, katolickiego Stowarzyszenia Męskiej Młodzieży Polskiej i korpusu podoficerskiego 4 PSP w Cieszynie około 1930 roku”.

Od tej autorki wiemy też, że były tutaj też szczątki żołnierzy włoskich internowanych w latach 1944-45. Ekshumowano ich po wojnie i przewieziono do Włoch.

Po przeciwnej stronie znajdują się mogiły zbiorowe oznaczone betonowymi krzyżami żołnierskimi. To groby milicjantów, lecz próżno na nich szukać nazwisk, czyżby milicjanci byli bezimienni?

W dziale XV spoczywały szczątki żołnierzy niemieckich, które ekshumowano w roku 1997 i pochowano w Siemianowicach Śląskich i Wrocławiu.

Z autorem *Krajobrazu niewzruszonego* odwiedzamy wiele miejsc na cieszyńskim cmentarzu.

„Mijam groby coraz mniej świetne, coraz bardziej zapomniane, idę teraz pośród starych drzew, chodnikiem usłanym poczerniałymi leżącymi płasko liśćmi”, przechodzimy przez obszar na którym odbywają się prace ziemne zmierzające do poszerzenia „stanu posiadania zmarłych”, dochodzimy do najstarszej części cmentarza. I czytamy: „Zbliżam się do niej, poznaję z daleka żelazne, porzdewiałe krzyże na szarych, piaskowcowych postumentach, z blaszanymi klepsydrami w kształcie owalnych tarcz albo odwiniętych rulonów. Niektóre napisy były już nieczytelne, były to groby osób samotnych albo takich, na których skończyła się seria rodzinna i dla których więz z żywymi raz na zawsze została zerwana. Wśród tych ubogich nagrobków jest kilka okazalszych. Napisy na nich kiedyś, przed wojną wykute były w języku obcym, ale nikogo to nie dziwiło, gdyż było wiadomo, że ludzie tu spoczywający nie byli Polakami.”

Razem z pisarzem przewędrowaliśmy wiele ścieżek i dróg na cieszyńskim cmentarzu. Motyw drogi pojawia się w opowiadaniach Filipowicza nie-

ustannie. Ponieważ przeważnie zatacza ona kształt kolisty i wyznacza perspektywę powrotu. W dorosłym życiu taka droga wyprowadziła autora w świat, daleko od stron cieszyńskich. Ale i stamtąd tu powracał. Tylko że przesunięty zostanie w przestrzeni jeden punkt: zamiast domu pojawił się cmentarz, na którym znajduje się grób ojca. I będzie to punkt ostateczny, gdyż zamykający widnokrąg miasta. Przed wyjściem z nekropolii jeszcze raz powracamy więc na grób ojca pisarza: „Kiedy powracam i staję znów nad grobem mojego ojca, jest już noc. Ciemność osunęła się już na ziemię i połączyła ją z czarnym pustym, bezgwiazdny niebem”.

Po wyjściu z cmentarza, widzimy w dole Cieszyn, o zmroku miasto rozświetla luna bijąca od latarni i świateł w oknach. Miasto o tej porze wydaje się odległe i nierealne. To inny świat. Ale te dwa światy łączy pamięć. Wielkość i niezwykłość Cieszyna niejako wyrasta z jego przeszłości, więc z cmentarza, który dokumentuje jego historię i kulturę. I tak dwa miasta: żywych i zmarłych tworzą całość, harmonijną, piękną i refleksyjną. Jest w niej szacunek dla zmarłych i memento dla żywych. ■

T.K. – To czego ma dotyczyć nasza obdukcja dziennikarska?

A.M. – Pańskich przemyśleń na temat tańca i życia w ogóle

– A napije się pan ze mną kawy... rozpusznej?

– **Chętnie.**

– Moje przemyślenia na temat życia są takie, że wszystko coraz bardziej przyspiesza. Dzień trwa tyle samo godzin, ale czuć pęd.

– **Co się odbywa szybciej?**

– Na przykład to, że po spektaklach wszyscy szybko rozchodzą się do swoich domów, spraw, sprawunków i już rozmyślają o zarabianiu kolejnych pieniędzy. Czasy, gdy całe rodziny pracowników przychodziły do Opery, integrowały się, dawno minęły; dzisiaj jest na odwrót.

– **Ale pański młodzieńczy duch wewnętrzny chyba niezbyt pęd życia odczuwa...**

– Bardziej odczuwa go ciało niż mój duch; ono już wiotczeje. Gdy można robić, co się kocha, to jest w porządku, a gdy wszystko, co się robi, udaje się, to jeszcze lepiej. Dzisiaj mnie już nikt nie nagania do tego czy tamtego, nie mam przymusów zewnętrznych. Wszystko bierze się z chcenia. Nie myślę o sobie w kategoriach „emeryt”. Dopiero niedawno została rozwiązana moja stała umowa o pracę z Operą Śląską. Będąc człowiekiem do wynajęcia, jakoś – Bogu dzięki – jestem wynajmowany. Mam nadzieję, że tak zwane słodkie nieróbstwo jest jeszcze daleko. A ile pan słodzi?

– **Też półtorej łyżeczki.**

– Jedna... Pół.

Codziennie funduję sobie małą dawkę ćwiczeń – one nieco stopują naturalne procesy ciała. No i powodują, że wciąż jestem dość sprawny fizycznie. Każdy tancerz ma ten moment w życiu, gdy ciało odmawia współpracy, więc trzeba pomyśleć, co dalej. Ja na przykład nigdy nie czekałem, aż ciało mi odmówi – po prostu we właściwym momencie wskoczyłem na kolejny poziom. Wszystko odbyło się u mnie w sposób naturalny.

– **Kiedy pan wskoczył?**

– Gdy „Konwiński” stał się nazwiskiem wystarczająco rozpoznawalnym w środowisku. Wtedy mogłem zająć się układaniem ruchu dla innych, prowadzeniem lekcji – a nie wyłącznie tańczeniem. Każdą nową rzecz, którą robię, traktuję jak prywatny egzamin, sprawdzam się. Ciągłe czegoś szukam, obserwuję ludzi, ruch, poszukuję energii, wymyślam coś nowego, bo każdy człowiek to osobista tajemnica. Umiem więcej, ale też do zadań podchodzę z większą, nie pozbawioną emocji odpowiedzialnością.

– **Niektórzy zadają proste pytanie: czym jest balet?**

– Będą rozczarowani – „balet” trochę zawęża sprawę. On jest treścią samą w sobie, więc to ułatwienie, bo wiadomo, w którą stronę trzeba iść. Tutaj trzeba pytać o taniec, gdyż balet jest za-

Z HENRYKIEM KONWIŃSKIM, choreografem i reżyserem rozmawia ALAN MISIEWICZ



Foto. Tomasz Griessgraber/Opera Śląska

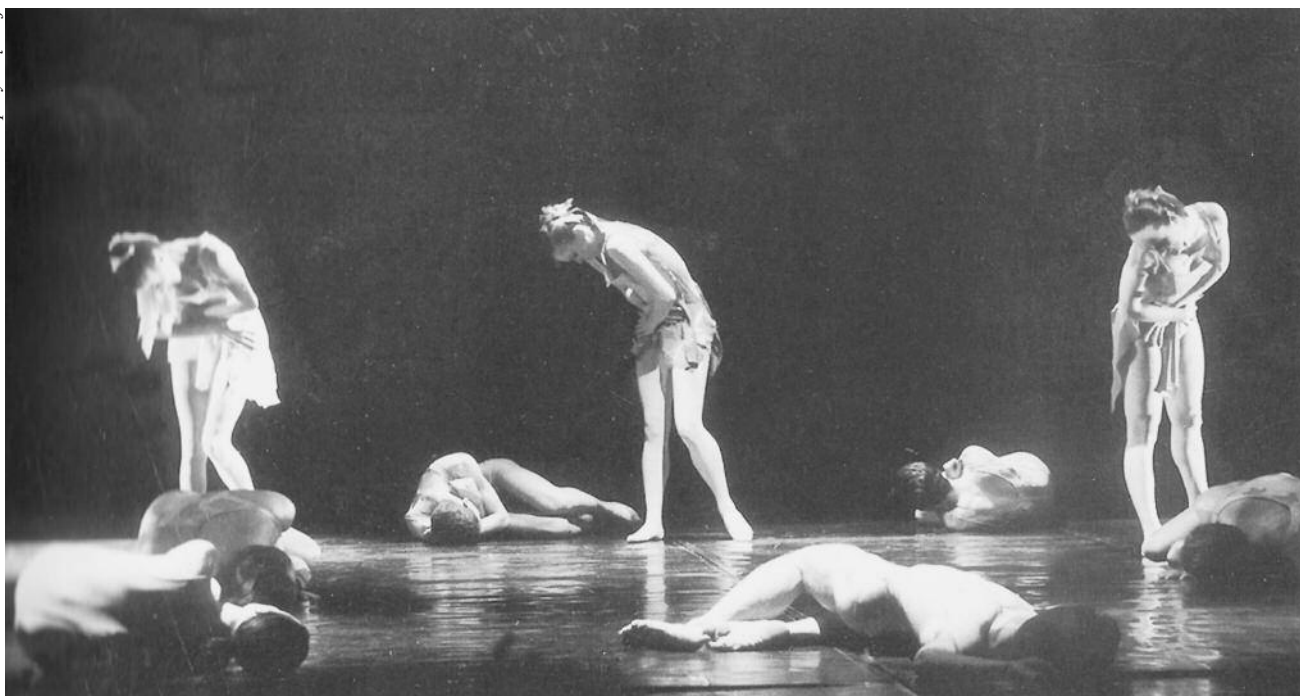
Cudne dziecko Drzewieckiego

mnęty w jego ramach. Poprzez ruch w technice, która jest zależna od muzyki, chcę wyrazić coś, co osobiście odczytuję w dźwiękach. Jest więc w tańcu utrudnienie.

– **Balet nie jest utrudnieniem?**

– Bywa, bo jeśli chcę powiedzieć coś od siebie w temacie, który został już wyrażony przez wcześniejszych chore-

ografów, to trzeba się nieźle nabiedzić. Gdy słyszę nową, frapującą muzykę, to wiem jedno: chcę zrobić coś, ale najzwyczajniej w świecie jeszcze nie wiem co. Notuję luźne zdanki, aby pomysły nie umarły. Potem zarys roboczy się zmienia i robi się gęstszy, muzyka nie opuszcza moich myśli. Słuchanie muzyki była przyjemnością, ale i ciężką pracą, gdy



„Ad Montes – Balety tatrzańskie” z muzyką Wojciecha Kilara. Choreografia – Henryk Konwiński, premiera 1994.

trzeba tę muzykę zobaczyć. Wszyscy choreografowie to potwierdzają. Potwierdzają. Potwierdzają.

– Inni zapytają: czym się różni choreografia od ruchu scenicznego?

– Ruch sceniczny to zadanie mające obrazować często nieświadomy zamyśl reżysera, poruszyć grupy chóru, pomóc śpiewakowi, aktorowi, uzewnętrznić emocje, podkreślić akcję. Choreografia z kolei to widzenie całości muzyki – od początku do końca. Choreografia to zawsze – niezależnie od tematu – wyrażaniem siebie. Bywa skrywanym pragnieniem, miewa w sobie też coś z ekshibicjonizmu. Nawet tak zwana „czysta forma” jest o czymś, są relacje, są emocje.

– Gdy prześledziłem pana życie, uznałem, że jest ono podobne do Billy Elliota.

– Wiele biografii ludzi zajmujących się sztuką ma zbliżone proveniencje. Ciągłe mówię, że nikt mnie do niczego nigdy nie zmuszał, nic mi nie zostało dane – oprócz tylko jednego: spotkania wspaniałych ludzi, od których wiele się nauczyłem. Reszta wynikała z mojego wewnętrznego chcenia.

– Tak samo jak w filmie.

– Billy pochodził z angielskiego środowiska górniczego, a ja – z małego miasteczka z Wielkopolski.

– Pan nie wychowywał się w Poznaniu?

– Urodziłem się właśnie tam, ale wychowywałem w Mieścisku. Miałem trzy lata, moja siostra trzy tygodnie, gdy wybuchła wojna. Mama – jak wielu sąsiadów – uciekała z nami na wschód, by tę wojnę przeczekać – przecież Niemcy szybko zostaną odparci. Tata w wojsku. Dotarliśmy aż pod Warszawę. Czas okupacji trudny, ciężko było mamie z naszą dwójką. Tata w niewoli. Znalaz-

łem się u dziadków we Wrzeszczynie nad Notecią. Babcia Zosia – anioł dobroci; dziadek Antoni – leśniczy, hodował pszczoły, znał się na ziołach, a jego purpurowe róże były sławne, zdobiły ołtarze w niedalekim klasztorze. Wrzeszczyn to była najprawdziwsza wieś polska z krystalicznie czystą wodą z podmokłymi łąkami, bocianami, nietknięta przez pazur wojny. Dom dziadków był kryty strzechą, w środku lampy naftowe, trochę jak w *Konopielce* Edwarda Redlińskiego. W końcu powrót taty z niewoli – i nasza rodzina w komplecie znajduje się w Mieścisku. Mimo trudów, biedy, z których zresztą nie zdawałem sobie wtedy sprawy, dzieciństwo wspominać jako czasy szczęśliwe.

Po wojnie mogliśmy przenieść się do Poznania. Rodzice jednak woleli spokój małego miasteczka. Tam ukończyłem szkołę podstawową jako jeden z lepszych uczniów we wszystkim – z wyjątkiem matematyki. W tej dziedzinie jestem do dziś niedostatecznie zorientowany. Dużo czytałem, wręcz pochłaniałem książki, szczególnie te dla dorosłych.

Potem ojciec powiedział: „Pójdiesz do technikum budowlanego, byś w przyszłości mosty budował”. Było to wbrew mojej malarsko-plastycznej duszy, która wyrwała się do świata sztuki, ale musiałem słuchać ojca. W tamtym czasie w Poznaniu pani Olga Sławska-Lipczyńska – przedwojenna balerina, która na olimpiadzie w Berlinie zdobyła złoty medal dla polskiego baletu – w pięknym, klasycystycznym Odwachu założyła szkołę baletową. Miałem 15 czy 16 lat. Zaoberwowałem, jak tamte podrostki pięknie się poruszają, zapragnąłem tego samego...

– Ojciec Billy’ego powiedziałby: „Balet jest dla dziewczyn, nie dla mężczyzn.

Faceci grają w piłkę, uprawiają boks lub... zapasy! Nie pieprzony balet!”.

– A mój ojciec powiedział: „Skaczą, tańczą i nazywają to pracą?”.

– Skąd pani Sławska-Lipczyńska brała uczniów do zespołu?

– Początkowo rekrutowali się głównie z rodzin poznańskich. Później dominowały dzieci z dalszych, a czasem bardzo dalekich miejsc w Polsce. Ja należałem do grupy nastolatków, których pani Olga potrafiła zachęcić do uczęszczania do tzw. ogniska baletowego. Aby uczestniczyć w tych zajęciach, wagarowałem tak intensywnie, że szkoła niemal zawiesiła mnie w prawach uczniowskich. Wtedy ciocia Mania powiedziała: „Zrób maturę, a potem będziesz mógł robić co zechcesz!”.

Po maturze anioły wciąż nade mną czuwały, bo dostałem nakaz pracy do Kościerzyny w Pomorskiem, gdzie działał Zespół Pieśni i Tańca Ziemi Kaszubskiej. Ponieważ wypracowałem już w sobie solidną bazę, to w zespole Aleksandra Napory nawet mogłem prowadzić rozgrzewki. On też szerzej otworzył mi oczy – był tancerzem w Operze Bałtyckiej. Z jego zespołem wytańczyłem się ludowo, a folklor kaszubski stał się moją miłością młodzieńczą. Potem udało mi się zwolnić z nakazu pracy, wróciłem do Poznania, zdałem audycję do zespołu baletu opery. Zrobiłem też eksternistycznie dyplom w Państwowej Średniej Szkole Baletowej w Warszawie. W Poznaniu osiągnąłem swoje apogeum jako tancerz,

– To był czas, gdy edukacja baletowa rączkowała?

– Tak. Początkowo nie było akademickiej kadry uczącej zawodu. Istniały inicjatywy oddolne – coś w rodzaju kursów, na które sprowadzano świetnych rosyjskich pedagogów. Do dzisiaj mam no-



L. Delibes „Coppelia”. Premiera – 1998. Choreografia – Henryk Konwiński.

tatki z zajęć z nimi. Barbara Kaspro-wicz – „Baja” – późniejsza szefowa baletu poznańskiego – namówiła mnie, by spróbować swoich sił na pedagogicznej niwie. Olga Ślawska też była za. Baja potrafiła pchnąć człowieka w kierunku najważniejszym, u Conrada cieszyła się opinią znakomitego pedagoga i repetytora.

– Jakiego Conrada?

– Drzewieckiego. On wówczas prowadził balet działający w Operze Poznańskiej im. Stanisława Moniuszki, której dopiero później przywrócono nazwę Teatr Wielki. Conrad po zdobyciu nagrody w Vercelli wyjechał za granicę. Wrócił, został szefem, był już innym artystą – o wiele bogatszym w doświadczenie.

– Jaki to był człowiek?

– To był tancerz niebywale sprawny fizycznie i technicznie, słyszał muzykę doskonale. Gdy nikomu nie śniło się o nieklasycznych ekscesach, on chodził na zajęcia do poznańskiej Akademii Wychowania Fizycznego, gdzie nauczył się robić np. ze stołu salto do tyłu. Wykorzystał to w roli Diabła w *Panu Twardowskim* Ludomira Różyckiego. Pod tym stołem, z którego on robił salto, siedzieli tancerze, a wśród nich ja – mały Diabełek. Relacje między nami a nim były pełne szacunku, ale i swobody. Conrad miał pomysł szalone, do których potrzebował absolutnego skupienia. Wystarczyło, że ktoś – gdy on intensywnie myśli, rozważa, kombinuje – zaproponował swoje rozwiązanie, to wpadał we wściekłość, jakiej ta Ziemia nie widziała.

– Jak nowa technika działała na pańskie wyobrażenie tańca?

– Nowa tajemnica, nowa inspiracja, nowa możliwość, nowa nowość. Dla nas młodych było to podniecające liźnięcie

świata, wejście nogami w nowoczesną sztukę. Czy Conrad jest we mnie? Nie wątpię, to on ukształtował moje widzenie muzyki.

– Co panów łączyło?

– Był czas, gdy mieszkaliśmy w zaadaptowanej garderobie w teatrze, tak samo jak on. To były momenty dobre, radosne, z iskrami. Z uwagi na podobną inteligencję i poczucie humoru dobrze rozumieliśmy się w najróżniejszych sytuacjach. Miał dowcipy (nie powtórzę, bo są nieprzystojne) i złośliwości na każdą sytuację, co bardzo nas bawiło. W dodatku zaraził mnie wspaniałą sztuką Marii Callas. O Conradzie mówiło się, że „zagęszczał” scenę, bo do ukończonego zdawało by się układu, dodawał nowe elementy. „Zagęszczanie” przejąłem po nim. To był wspaniały, cudowny artysta.

– Potrafi pan wypowiedzieć jakąś myśl bez używania przymiotników w rodzaju „cudny”, „wspaniały”?

– Przepraszam, pana to jakoś razi?

– Wręcz przeciwnie. Mnie to zachwyca, ciekawi.

– Takimi przymiotnikami honoruję ludzi, którzy są dobrzy; w których podoba mi się ich stosunek do drugiego człowieka; z których aż radość bije; którzy całym sobą zapraszają do współpracy. Conrad miał wiele wspaniałych cech.

– W powojennej Polsce Poznań i Bytom wiodły operowo-baletowy prym. Co w pana mieście mówiono o górniczym Śląsku?

– Poznań miał bogate samochody, życie światowe, Międzynarodowe Targi, Powiew zachodu. W Poznaniu snuto niesamowite opowieści o atmosferze w Operze Śląskiej – że cudowna i rodzinna, niektórzy stamtąd zachęcali: „Przyjedź do nas do Bytomia, zoba-

czysz”. I właśnie tak było – rodzinnie. Za dyrektora Napoleona Siessa wszystko stawało się możliwe. Nawet stolówka, która była stara i brzydka, miała swój klimat, bo ściągali do niej całe rodziny artystów. Życie było biedne, ale miało kolor.

– Kiedy pan tu przyjechał?

– W 1971 r. przed premierą *Fausta*. W Poznaniu o godzinie 6 wsiadłem do pociągu, wtuliłem się w oparcie, spałem cudownie. Gdy konduktor obudził mnie, by sprawdzić bilet, popatrzyłem przez okno: niebo deszczowe, ciemne, Bytom. Wsiadłem o godzinie 10, poszedłem do teatru, poznałem Napoleona Siessa i Tadeusza Kijonkę, próbę zacząłem o 11.

– Wysiada pan z pociągu o godzinie 10 i idzie do Opery. Jak wygląda miasto?

– Brukowane ulice, chodniki po obu stronach, tramwaje. Dziwna mgła w powietrzu. Wyrośnięci faceci z cudacznie podmalowanymi oczami (to górnicy, którzy nie mogli domyć tego pyłu węglowego). Później Bolek Bolewicz, Jurek Domagała, Marian Żmuda, Kaziu Jacek oprowadzali mnie po Śląsku, a zwłaszcza po wielkim parku z kolejką linową. Pamiętam dymy buchające z wielkim kominów hut, koledzy mówili: „Im bardziej kolorowe płomienie, tym niebezpieczniejsze dla zdrowia”. Dostałem mieszkanie służbowe w Katowicach przy ulicy Piastowskiej i gdy tam – do Katowic – pojechałem pierwszy raz, zobaczyłem olśniewające reklamy, wielkie neony. Pamiętam sklepy z dobrze skrojonymi koszulami męskimi; obowiązywała moda na białe skarpetki (powietrze było takie, że one szybko przechodziły mutację w szare). Miasto z całą swoją moderną sprawiało wrażenie Eldorado. Gdy wracałem do Poznania, to zawsze z zapasami atrakcyjnej żywności.

Tymczasem przygotowywałem *Noc Walpurgii w Fauście*. Chciałem zrobić ją w innej technice, pokazać śląskiej publiczności coś, co ją być może zachwyci i... onieśmieli. Wykorzystałem technikę, którą przywiózł nam z Zachodu Conrad.

– Cudne dziecko Drzewieckiego...

– [uśmiech] Tak, tak, to „dziecko” to był taniec nowoczesny, a więc coś zupełnie innego niż obowiązujący ruch klasyczny, w którym zakochana była śląska publiczność. Onieśmielał niektórych tancerzy, zwłaszcza dziewczęta. Osobom, które były klasycznie uformowane, kazać pracować łędzwiami, rozluźnić pośladki, to był problem. Do dziś pamiętam chichoczącą, mającą frywolne uwagi Danusię Wąsowicz. Miło było patrzeć na Joannę Szabelską, Elę Mickiewicz, Sylwię Herok. Ta ostatnia na co dzień wyglądała niepozornie, ale kiedy wchodziła na scenę, jaśniała jak brylant; Ela – doskonale ukształtowana klasycznie, z niezwykłą osobowością, porządna, pracowita, chętnie współpracująca, ale jak i wszyscy dość odległa



Ch. W. Gluck „Orfeusz i Eurydyka”, inscenizacja, reżyseria i choreografia Henryk Konwiński. Premiera 2007 r., wznowienie sceniczne 2015.

od techniki Drzewieckiego. Jednak wyuczyłem tej techniki.

Wprowadziłem zajęcia z akrobatyki. Sprowadziłem miłego człowieka z katowickiej Akademii Wychowania Fizycznego, by pokazał, jak się robi salta na matach i inne ewolucje. W sali baletowej zainstalowaliśmy drabiny. Nasz zespół liczył 60 osób, rozwijał się wielostronnie.

– **Jak publiczność zareagowała na *Walpurgię*?**

– Określam ją słowami: szczypta szoku, odrobina oniemiaenia. Na scenie panowała nagość przykryta klejnotami i gęstymi złoceniami. Kostiumy Wiesława Lange, materiał na trykoty znaleźliśmy w Czechosłowacji. Zrobiliśmy odlew twarzy Mariny Hristovej-Klimek. Publiczność tylko chłonęła wrażenia. To był miód na moje serce i huragan braw za *Walpurgię*.

– **Pan był miodem na serce – a właściwie ostatnią deską ratunku – gdy przygotowawaliście *Czarodziejski flet* Mozarta...**

– To znaczy?

– **Oficjalnie reżyserowała Olga Lipińska. Przypomnieć panu?**

– Proszę.

– **Przygotowania przebiegały u niej pod znakiem myślenia. Wchodziła na scenę, podparła się i tak stała dziesięć, piętnaście, trzydzieści minut, aż w końcu mówiła: „Przerwa, przerwa! Ja muszę to przemyśleć!”. A gdy następnego dnia artyści przyszli na próbę, okazało się, że Lipińskiej nie ma, wyjechała. Na premierę oczywiście przyjechała i swoją twarzą dała do zrozumienia, że to ona wyreżyserowała *Flet*.**

– To krzywdzące. Olga – niezwykle muzyczna, z wielką wyobraźnią, przyzwyczajona do pracy ze znakomitymi aktorami, w lot chwytającymi jej myśli – a tu spotkanie ze śpiewakami, chórem, którym trzeba krok po kroku pokazać, wytłumaczyć gest, spojrzenie, wszystko. Ja to wszystko chwytałem w lot. Tak to było. Dodam, że później Olga zaproponowała: „Moja inscenizacja, reżyseria Henryka”. Dlatego staram

się tak postępować, by stworzyć dobry kontakt, wypracować wspólną myśl, wskrzesić coś, co jest we mnie i w drugiej osobie. Prawda – ja *Flet* wskrzesiłem.

– **Tata dziwił się, że „skakanie i tańczenie” to praca, a jak PRL widział balet?**

– W sensie odbioru społecznego nie było wówczas źle. Jedyne co, to to, że część społeczeństwa patrzyła na nas – tancerzy – jak na kogoś, kto jest daleko od codziennych, ludzkich spraw i problemów. Że to, co nas zajmuje, to ochoce obłąpywanie tancerek. Że wszystko, co się dzieje na scenie, to jakieś bieganie miękkich mężczyzn po przebieganych za motylki i panius jak stokrotki.

Jest prawdą, że wszystkim żyło się ciężko, każdy musiał pracować, a praca w baletcie to przecież praca fizyczna. W pewnym momencie przyjąłem zasadę, że na wszelkie podśmiewuszki i docinki odpowiadam słowami: Moja praca to ciężka robota, nie ma w niej jakiegось fu-bzdzi. Kto nie wierzy, niech spróbuje podnieść tancerkę, która czasem bywa cięższa od niego.

– **To był czas, kiedy zakłady pracy masowo wysyłały do Opery swoich pracowników, by liznęli sztuki.**

– Wtedy reakcje najprostszej widowni były najcenniejsze, bo prawda o sztuce jest w głowach normalnego ludu. Opowiem na przykładzie. Przygotowywałem premierę *W górę – w dół*; to rzecz o niemożności bycia sobą, z której dwoje młodych usiłuje się wyrwać. Na scenie skrzynia z masztem pełnym reflektorów omiatających scenę ostrym światłem, a wszystko, co z niej wyłaziło, było szare, oblaźle, byle jakie i zawsze przeciwko młodym. Na koniec, gdy skrzynia się otworzyła, i sunąc do przodu, ma pochłonać tych dwoje, opadająca kurtyna przecina ruch. Młodzi sami przed kurtyną. Wtedy wśród tamtej prostej, górniczej widowni zapanowała śmiertelna cisza. Przeraziła mnie, cholera, balet okazał się kłapą. I nagle... Wie pan co się nagle stało?

– **Brawa!**

– I to ogromne, szczerze! Byłem wzruszony. Ludzie, oglądający balet, myślą, co chcą – albo ich zachwycę, albo wzruszę, albo odrzucą mnie jako choreografa. Dają im taniec, oni robią z nim to, co czują.

– **Wojciech Kilar pisał: „W sztuce Henryka Konwińskiego szczególnie cenię to, co bliskie mi jest w sztuce w ogóle. Zdolność tego artysty do przekazywania najistotniejszych, skomplikowanych znaczeń w formach bogatych i wyrafinowanych, lecz w sposób prosty, bezpośredni i przekonujący (...). *W górę – w dół* to jakby pocisk precyzyjnie trafiający w sedno współczesnej wrażliwości myślowej i estetycznej. Jeżeli początkowo projekt realizacji mojej muzyki wydał mi się ryzykowny, to obecnie nie tylko nie wahałbym się oddać w ręce Henryka Konwińskiego ja-**



Wznowienie sceniczne, podobnie jak premiera „Orfeusza i Eurydyki” było wielkim sukcesem zarówno artystów Opery Śląskiej, jak i twórcy spektaklu. Na zdjęciu (od lewej) Henryk Konwiński i Jurek Dybał – dyrygent prowadzący spektakl.

kiegokolwiek, innego mojego utworu, lecz uczyniłbym to z pełnym zaufaniem i najlepszymi nadziejami”.

– Jego rekomendacja pomogła mi dostać stypendium w Brukseli, gdzie miałem szczęście dotykać pracy Maurice’a Bédarta w jego *Balecie XX wieku*. Powiem panu, że pan Wojciech Kilar to był dobry, normalny człowiek wielkiej kultury, delikatności, skromny niesłuchanie. Zawsze myślę o nim w kategoriach uśmiechniętych.

– Kiedy pierwszy raz pan go spotkał?

– Właśnie przed *W górę – w dół*. Później dla telewizji miałem przygotowywać balet *Tředowata* z jego muzyką. Wszystko było gotowe, pani Gawrońska zrobiła przepiękne projekty kostiumów, ale nagle zabrakło pieniędzy. *Tředowata* nie ukazała się i wszystkim było niemiło. Kiedy pan Wojciech pierwszy raz zobaczył przygotowania do wieczoru baletowego, powiedział: „Nie waham się powierzyć panu swojej muzyki do realizacji”.

– Bywał pan u niego na salonach?

– To było skromne mieszkanie. Był problem z sąsiadami, bo to byli ludzie niemuzyczni. Dźwięki fortepianu rozdziały afery, więc nastąpiła przeprowadzka do słynnej willi na Kościuszki.

Wie pan, istnieje przekonanie, że gdy jest się w domu słynnego kompozytora, to należy rozmawiać o rzeczach związanych ze sztuką i – jak w moim przypadku – o muzyce do baletu. Ale on dał mi swobodę, mówił, co mu w duszy gra, dopowiadał moje pomysły, ale nigdy nie fundował mi stresu. Pan Wojciech miał w sobie aurę i ciepło, wiedział, czym jest taktowne zachowanie.

– Co pan wtedy robił u niego w domu?

– To był czas, gdy moją głowę zaprzętało poważne pytanie: Jak zakończyć

pierwszą część do *Ad Montes*? Powinno to być coś, co mimo dramatyzmu budzi nadzieje. Siedząc w salonie jego willi, patrzyłem na obraz *Kościelec* Jerzego Dudy-Gracza. Na ramie dostrzegłem mały płomyczek, taką kropkę rozjaśniającą. Ona mnie oświeciła. Balet ukończyłem, dostałem różne nagrody, w tym Złotą Maskę. Potem dostawałem stypendia – byłem w Indiach, Belgii, Etiopii, Na Kubie. Życie ostro przyspieszyło, było pełne rumieńców.

– Pani Basia taka urocza, jak o niej mówią?

– Pani Basia zawsze była cudna i uśmiechnięta. Na jedno ze spotkań jechałem do Kilarów samochodem. Było lato, ładnie się ubrałem, wiozłem kwiaty dla pani Basi, gdy nagle widzę, że spod maski samochodu wychodzi jakiś dymek. Zatrzymałem się, podniosłem maskę, i dmuchnąłem w to, co tam się tliło. Jak buchnęły we mnie piekielne języki ognia, to aż osmoliło mi twarz! Ale gdy stanąłem w drzwiach Kilarów, a pani Basia zobaczyła mnie spóźnionego, osmalonego i z tymi kwiatkami, to tylko się uśmiechnęła i zachęciła mnie do umycia się. Zawsze częstowała kawą albo herbatą. Odwiedzanie Kilarów to jak branie kąpieli w ciepłej z dodatkiem aromatu.

– Gdyby za pomocą ruchu miał pan przedstawić aromat, to co by pan pokazał?

– Powiem pośrednio, na przykładzie. Czasy poznańskie, Janusz Nyczak reżyseruje sztukę „A jak królem, a jak katem będziesz?”. Jeden z aktorów ma być niby-śmiercią. Aktor ma kłopot, jak zagrać, mówię mu: „Bądź jak łyza”. łyza nie ma konturu, jest czymś miękkim, smutnym. Aktor to dobrze rozumiał, cudownie odnalazł się w temacie, był świetną

niby-śmiercią. Uruchomić można nie tylko przez gest, ale przez słowo. No, mam nadzieję, że jakoś to panu wyjaśniłem.

– A jak zagrać „Henryka Konwińskiego”?

– Zagrać innych jest łatwiej, siebie – trudno, a obejrzeć „Konwińskiego” – mało interesująco [śmiech]. O nie, nie, takiej anegdotki choreograficznej widzom bym nie proponował. Czytelnikom też nie [śmiech].

– Nie? To niech pan posłucha tego: „Henio Konwiński to człowiek roztańczonej, ułożonej, delikatny, operujący miękkim ruchem scenicznym. Reżyserzy nie zawsze wiedzą, jak przekazać sposób poruszania się po scenie, a on to potrafi”. Tak powiedziała o panu pewna znakomitość (ale nie Kilar).

– Cudne słowa. Więc jak wymyślę, jak zagrać tego „Konwińskiego”, to będzie pan pierwszą osobą, którą o tym poinformuję.

Niniejszy wywiad jest fragmentem powstającej książki o sztuce operowej na Śląsku. Planowana publikacja (nakładem Wydawnictwo „Śląsk”) – grudzień 2016 r.

Henryk Konwiński – tancerz, choreograf i reżyser urodzony w 1936 r. w Poznaniu. Z Operą Śląską związany od 1971 r. Jego partnerkami były największe polskie primabaleriny. Zrealizował ponad 200 inscenizacji, spośród których wiele było nagradzanych. Na śląski grunt tańca zaszczerpił technikę Conrada Drzewieckiego.

NOC

Mój ojciec już się nigdy nie zdarzy
a z nim znikają cienie
wysokie i suche
i szare mgły
duchów tracą ostrość

Na wysokiej łące oglądamy
Oriona. Trawa ziębi
wypatrujemy strzał.
Wiemy, że właśnie tam
spotykają się
nasze źrenice

POLE

Wracamy z pola
bitwy
umazani
łzami
trupów tyle
usłane nimi kojce
pełne futra

nieśliśmy na sztandarach
pokój
falował ciepło
iskrzył się
w pełnym słońcu
przeszliśmy
niezauważeni

JAK DAWNIEJ

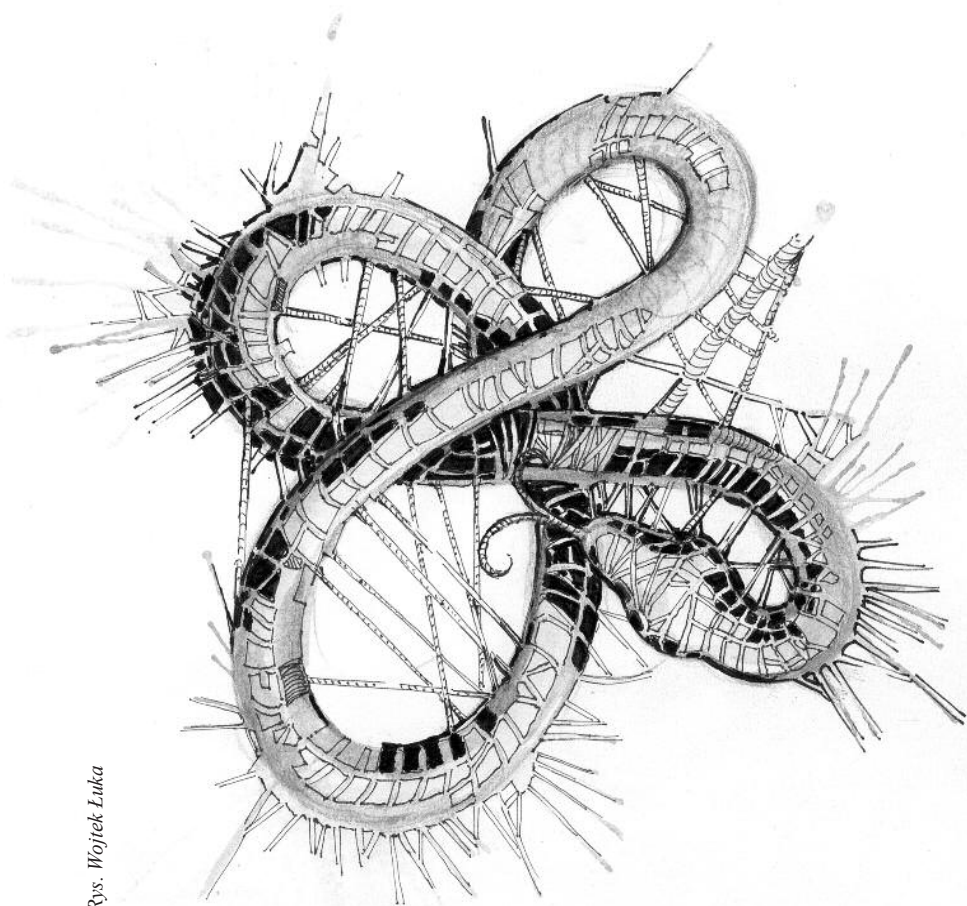
Mogłabym ci gotować
krajać w paski
meduzie przyć
parzydełka

w kłębach pary
znad łąki
w wielkim kotle
warzyć zupy gęste
w których falach
pływają szczupaki

łowiłabym je
jedną dłonią
dla ciebie
głaskała drugą
od spodu
mogłabym ci rozpalać ogniska
i w szerokiej spódnicy
jak w maku
szukać snu

na łące
już nas nie ma
ciche ptaki
szepczą
o burzy

z łyżką
wystruganą jak Pinokio
wciąż
czekam
na twój głód



Rys. Wojtek Łuka

Kinga Kościak, rocznik 1985, krytyk literacki i teatralny, pisze doktorat z literaturoznawstwa na UŚ, tłumaczy sny. Niegdyś redaktor działu teatr w magazynie *Reflektor – Rozświetlamy kulturę*, publikowała w *Neurokulturze*, *Pomyśle*, nagodzona *Przepustką Literacką* przez magazyn *Zwierciadło*. Pisze poezję oraz krótkie formy dramatyczne.

LIST

my rozbitkowie z wysp odoczonych zdani
na łaskawość zwierząt zza granicy
na ich ślepe oczodoły
na pokruszone czasem zęby
na zdrętwiałe od zimna pazury
czekamy
na przesunięcie granic
postulujemy demokrację ducha
prosimy o przyjęcie na łono monotonii
barbarzyńców i zapomnianych
niekochanych i niekochających
szaleńców i pokalane dziewice
to my
jesteśmy tym cichym szumem zza oceanu
(kojarzysz?)
czekamy na przyjęcie
a nasze ciała rosną rosną rosną
a nasze myśli potężnieją
bo nasze drobne grzechy budują
rosłe postumenty
prosimy o przesunięcie granic
my i nasze zwierzęta

BANICI

Idziemy banici
odarci ze światła
włóczędzy

mijamy słońce, kozice, lamparty
i nikt nas nie chce
skosztować
białe kły
błyszczą w słońcu
nie musimy posługiwać się
wcale
sztuczkami ewolucji

przechodzimy jak dusze

–
widzisz
jesteśmy
doszczętnie
niejadalni
zupełnie
nie do przetrwania

PLECY

(polemika z H. Poświatowską)

boję się
twoich czarnych pleców
na nich nosisz
głodną paszczę
nocy
się boję

i twoich jadowitych węży
co bez namysłu
bez oczu
zasklepione w twardym pancerzu
w skórze
zaciśnięte
odlane

karmiąc je
moim strachem
co rano
nocy się boję
węży się nie hoduje
na mleku

(...)

Wśród tej czeredy
nie było mieszańców
wszyscy byliśmy białej krwi i białej skóry
i woaliśmy
Miserere nostri, Domine
wewnątrz nocy nie było
światła i nikt nam nie otworzył
wrót a na niebie nie było ani jednej
gwiazdy proch wypełniał
usta aż do miałkości
żuliśmy skargi, błagania i pasje
podobno miało tak być
bez końca ciągnęło się wszystko
na bardzo wysokich rejestrach
niewykrywalnych nawet dla nietoperzy nocy
I wtedy –
suchy karaluch przeszedł wzdłuż stopy
a prawe, małe ucho wypełnił przeciągły
gwizd –
odwróciła się na pięcie i odeszła.

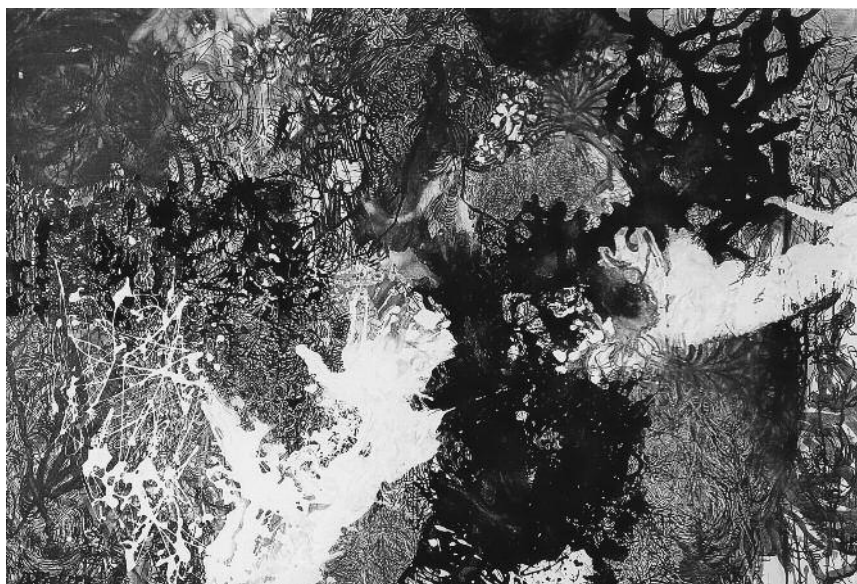
Mówią że widzieli ją na pstrym koniu
i że nie doczekała łaski.

Ale my wiemy, że przysłowia nie kłamią.

„Drabina Jakubowa” Anny Kowalczyk-Kluss zwyciężyła tegoroczną, jubileuszową, 25. edycję konkursu „Praca Roku” organizowanego przez Okręg Katowicki Związku Polskich Artystów Plastyków. O przyznaniu Grand Prix tej pracy zdecydowało jury, któremu przewodniczył prof. Stanisław Tabisz – rektor ASP w Krakowie.

I na pewno ocena jurorów była zbieżna z oceną odwiedzających wystawę prezentowaną w galerii przy ulicy Dworcowej. Niewątpliwie była to nie tylko najlepsza praca tej edycji konkursu, ale także godna jubileuszu. Anna Kowalczyk-Kluss jest artystką o ogromnym dorobku twórczym, wysoko ocenianą nie tylko w środowisku artystycznym, ale także przez odbiorców sztuki. Jej perfekcja warsztatowa zawsze służy przedstawieniu ważkiego tematu. Tym razem sięgnęła do werstetów biblijnych mówiących o „drabinie Jakubowej”, ale zaprezentowała ich indywidualną interpretację. Odnoszące się do dążenia człowieka do doskonałości i łączności z Najwyższym słowa, przełożyła na współczesną codzienność, na zmagania z otaczającą rzeczywistością. Pokazana nie wprost „drabina Jakubowa” jest zjawiskiem umownym w obrazie Kowalczyk-Kluss. Stojąca w jej cieniu drobna postać kobiety czy dziewczyny, jest jakby zaprzeczeniem owego dążenia, symbolem niemożności osiągnięcia celów, a może to strach przed wejściem w świat nieznanego, świat, który zamyka się przed obcymi. Ledwo rozświetlone żółtym – może złotym kolorem niebo jest nieosiągalne. Nie warto, zdaje się sygnalizować drobna postać, wychylać z kręgu własnych, niewielkich marzeń. Po co sięgać tak wysoko, skoro i tak jest to nierealne. Może lepiej pozostać ze swoimi bliskimi sprawami? Drabina Jakubowa stała się w obrazie Anny Kowalczyk-Kluss zaprzeczeniem wspinania się, szczeble zlewają się w jedną masę, pnącą się ku górze, w przestrzeń, której i tak ta niepozorna postać nie pozna, nie dotknie. Czy owa drabina jest tylko dla wybranych? Czy wbrew słowom biblijnego patriarchy Jakuba u szczytu tej drabiny nikt nie czeka? Wszak jak powiada Biblia, u zwieńczenia drabiny miał być Pan, Opatrzność, zapewniający, że droga między Niebem a Ziemią jest dla każdego. Postać z szarego, zamkniętego, przytłaczającego kąta obrazu zdaje się przeczyć idei „drabiny Jakubowej”. Czy to nasze, jakże często wybujałe, ambicje każą wspaniać się po drabinie kariery, awansu, sięgać po nieosiągalne? A może „drabina Jakubowa” nie jest dla przeciętnej kobiety, bo sen przytrafił się mężczyźnie, który przez wieki potrafi lepiej wspaniać się szczebel po szczeblu, do celu, nie ważąc często na koszty tej wspinaczki. Szara postać kobiety – dziewczyny nie pasuje do świetlanej przyszłości. Tak przedstawiony motyw biblijny otwiera drogę do dyskusji – nie tylko nad obrazem. A może to nie brak ambicji jest przeszkodą we wspinaniu się, ale otaczająca ją społeczność?

Wśród nagrodzonych prac są jeszcze i inne, podejmujące tematy publicystyczne, jak chociażby barwny linoryt Ewy Jaworskiej „Grassobie” przedstawiający bezwolną, bezsilną kobietę poddającą się



Damian Pietrek, Nr 12 serii „Płaszczyzny i rzeczywistości równoległe”, 95x140, rysunek

25. Praca Roku – refleksje w czas jubileuszu

nurtowi wody, w której jest zanurzona. Czy wody, czy rzeczywistości zdominowanej przez wszechobecną politykę – czy to ocena sytuacji kobiety dnia dzisiejszego? Pytania o miejsce, w którym się znajdujemy zdają się zadawać także autorzy innych prac: Ewa Sycha w „V” czy Piotr Bąk w „Osamotnieniu”. „V” to symbol wolności, kojarzony z czymś pozytywnym, oczekiwanym. Tu zdominował w agresywny sposób, czarnym pociągnięciem pędzla powierzchnię obrazu. To ocena naszej, polskiej 25-letniej wolności? Gdzieś poza owym „V” toczy się wątle kolorowe życie... A w „Osamotnieniu”, w wirującej, osaczającej machinie, zwanej codziennością jesteśmy my, a raczej „ja” lub inny pojedynczy człowiek. Takie bezduszne, bezrozumne miastopolis – dla kogo? Może w nim mieszka dziewczyna z „Drabiny Jakubowej” Anny Kowalczyk-Kluss... A „Wieża Babel” Teresy Bryning-Kalinowskiej pokazuje skreśloną subtelną kreską nasz dramat dzisiejszy – niegdyśjsza Wieża Babel – symbol różnorodności ale i tolerancji chwieje się. Jak widać odniesienia do biblijnego uniwersum pojawiło się nie tylko u Kowalczyk-Kluss. Sięgnęła po nie Teresa Bryning-Kalinowska i Ireneusz Botor zestawiając w obrazie dzieło Banksy’ego – artystę wpisanego w naszą miastową codzienność, konfrontując jego malowidło naścienne z kolejnym motywem biblijnym – Jezusem nauczającym apostołów w łodzi płynącej po jeziorze Genezaret. Interpretacja i pytania narzucają się same: w jednym obrazie brak porozumienia burzy wielowiekowe związki między ludźmi, a współczesny uchodźca nie spotyka się z miłosierdziem bliźniego. W postawione pytania wpisali się także Czesław Gałuszny obrazem z cyklu

„Miasto” i Katarzyna Gielecka-Grzemska „Modlitwą”. Z kolei Damian Pietrek pokazał rysunek „Nr 12” z cyklu „Płaszczyzny i rzeczywistości równoległe”. To kłębowisko świata rzeczywistego i tego gdzieś tam, nieosiągalnego. Podobnie Weronika Siupka w akwafortie „Dzienne światła” uchyla jedynie drzwi do innej, jaśniejszej rzeczywistości.

Trudno dopatrzeć się w pracach zaprezentowanych podczas 25. Pracy Roku optymizmu. Właściwie rzecz można: jaka rzeczywistość, takie jej odzwierciedlenie w sztuce. I czyżby ono przekładało się na mało odświętną atmosferę wernisażu? Pomijając fakt, że niezbyt licznie przybyli sami artyści, a przecież niegdyś bywały tłumy, bo to w końcu najważniejszy konkurs katowickiego ZPAP.

Może udałoby się przygotować wystawę złożoną z prac nagrodzonych podczas tego ćwierćwiecza? Kto dziś pamięta laureata pierwszej edycji konkursu, a może warto by było pokazać i opisać całe 25-lecie. Przecież to setki nazwisk artystów – dziś to całe pokolenia, to dziesiątki spojrzeń jurorskich i ocen. Jak sprawdzają się po latach? Co przetrwało próbę czasu, jakie nazwiska utrwaliły się w sztuce Śląska, pozostały na trwałe w jej historii, czy tamte prace byłyby dzisiaj tak samo ocenione? Warto chyba podjąć trud zebrania w jedną całość znaczącego przecież dorobku tego konkursu.

WIESŁAWA KONOPELSKA

Praca Roku 2015. Galeria ArtNova2 Katowice, wernisaż odbył się 5 maja 2016 r. Komisarz konkursu: Katarzyna Gawrych-Olender.



Grand Prix. Nagroda Urzędu Marszałkowskiego Województwa Śląskiego.
Anna Kowalczyk-Kluss, „Drabina Jakubowa”, 70x100 cm, technika własna.



Nagroda Prezesa ZPAP
Okręgu w Katowicach.
Jakub Zdejszy, „Dekonstrukcja”,
40x50, technika własna.

Praca
Roku
2015

ZPAP Katowice



Nagroda Prezydenta Miasta Katowice.
Ewa Jaworska, „Grassobie”, 70-100 cm, linoryt



Piotr Bąk, „Osamotnienie”, 100x100 cm,
rysunku, płyta mdf.

JERZY MOSKAL (1930 – 2016)



19 maja 2016 roku odszedł Jerzy Moskal (1930-2016) – wybitny artysta plastyk, scenograf teatralny i filmowy, innowator w zakresie nowoczesnej ekspozycji muzealnej i wystawiennictwa, scenarzysta. Urodził się w Drohobyczu, ale swoje życie związał z Katowicami.

Zdjęcie: z arch. Teatru Śląskiego w Katowicach



St. Wyspiański „Noc listopadowa”, reż. J. Zegalski, scenografia Jerzy Moskal, 1981, fot. nieznanymi

Teatr swój widział ogromny...

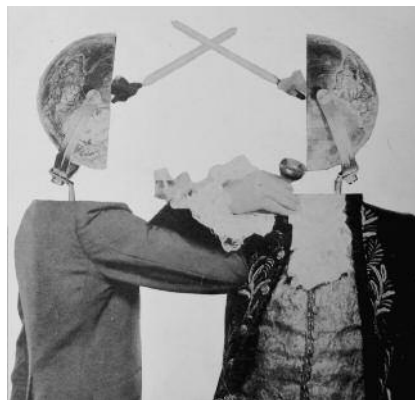
W latach 1956-57 był redaktorem graficznym „Przemian”, od 1957 do 1960 naczelnym scenografem ośrodka TVP w Katowicach, a w latach 1962-1983 był redaktorem graficznym „Poglądów”. Przez pięć lat (1984-89) był naczelnym grafikami Wydawnictwa „Śląsk”. Był autorem koncepcji i szaty edytorskiej m.in.: „Albumu pisarzy śląskich” 1972 i 1975, „Ilustrowanego słownika dziejów Śląska” 1991, monografii Katowic „Bogucice, Załęże et nova villa Katowice”. Członkiem ZPAP został w 1954 roku, a w latach 1997-99 był członkiem Zarządu Głównego ZASP.

Jednak prawdziwą sławę i wiele laurów przyniosła mu scenografia. Artysta związany był z Teatrem Śląskim, gdzie tworzył scenografie do spektakli m.in. Lidii Zamkow, Kazimierza Kutza, Jerzego Zegalskiego czy Józefa Pary. Za swoją twórczość teatralną był wielokrotnie honorowany ważnymi nagrodami, m.in. za scenografię do „Wyzwolenia” 1977, „Króla IV” 1977, „Końcówki” 1988. Był laureatem Złotych Masek, nagród specjalnych i wyróżnień za spektakle i wystawy. Na festiwalu filmów Interwizji w Pradze (nagroda zespołowa) otrzymał Grand Prix za filmową wersję „Jutra” T. Bairda 1975.

Do najważniejszych jego osiągnięć należy utworzenie Centrum Scenografii Polskiej Muzeum Śląskiego – jedynej tego rodzaju instytucji w kraju, którym kierował do 2006 roku. Oficjalnie CSP pojawiło się w 1991 roku, lecz jego załóżnikiem był, dzi-

alający od 1985 roku, Dział Plastyki Teatralnej. W Centrum Scenografii Polskiej realizował autorską koncepcję spektaklu-wystawy. Był autorem przestrzeni ekspozycyjnych wystaw takich postaci jak Lidia i Jerzy Skarżyńscy, Franciszek Starowiejski, Jerzy Zitzman, Tadeusz Kantor czy Józef Szajna. Realizował polskie wystawy na Międzynarodowym Quadriennale Scenografii w Pradze.

Centrum Scenografii Polskiej swą siedzibę miało przez lata – aż do chwili otwarcia nowego Muzeum Śląskiego – w Centrum Kultury przy placu Sejmu Śląskiego w Katowicach. To tam prezentowane były wystawy dokonań scenograficznych najwybitniejszych pol-



Kolaż autorstwa Jerzego Moskala, „Poglądy”, nr 17 z 1981

skich artystów teatru, a zbiory Centrum to nieprzebrana skarbnica, bowiem obejmują prace powstałe po 1945 roku, a skupione w nich projekty odzwierciedlają rozwój polskiej scenografii od okresu powojennego do czasów współczesnych. Kolekcja liczy ponad 10 tysięcy autorskich projektów scenograficznych, rysunków, lalek, makiet, kostiumów, obrazów, a swoje prace przekazało ponad 120 artystów. Kompletowana jest także dokumentacja teatralna w postaci programów, plakatów, afiszy, druków, korespondencji, rękopisów i innych pamiątek, związanych z powstawaniem i realizacją spektakli. Kolekcję uzupełniają fotosty z wystawień scenicznych oraz recenzje i artykuły, nawiązujące do prezentowanych w zbiorach CSP muzealiów.

Najliczniejszą grupę prac w zbiorach stanowią projekty dekoracji, kostiumów, lalek i rekwizytów. Na szczególną uwagę zasługują kolekcje dzieł takich artystów, jak Otto Axer, Władysław Daszewski, Zofia Wierchowicz, Andrzej Kreutz-Majewski czy Lidia i Jerzy Skarżyńscy. Prace te, pochodzące z najsłynniejszych inscenizacji, są fundamentalne nie tylko dla historii samej scenografii, ale także całej polskiej sceny teatralnej. Młodsze pokolenie twórców, wyznaczających współczesne kierunki rozwoju scenografii, reprezentują w zbiorach CSP artyści tej miary, jak Zofia de Ines, Małgorzata Słoniowska, Barbara Hanicka czy Jadwiga Mydlarska-Kowal.

Wśród zgromadzonych muzealiów znajdują się także prace twórców teatru autorskiego – Tadeusza Kantora i Józefa Szajny, a także unikatowe projekty Jerzego Gurawskiego do inscenizacji spektakli Jerzego Grotowskiego, jednego z najwybitniejszych reformatorów powszechnie przyjętej konwencji teatru iluzjonistycznego.

Kolekcję projektów w zbiorach CSP uzupełniają kostiumy i nakrycia głowy. Najliczniejszą grupę stanowią prace zrealizowane zgodnie z ideą projektów Zofii Wierchowicz i Andrzeja Kreutza-Majewskiego. Posiadane w zbiorach kostiumy pochodzą nie tylko ze spektakli dramatycznych, ale także operowych i baletowych.

Kolejną grupę prac zgromadzonych w Centrum Scenografii Polskiej stanowią lalki i kukły. Najliczniej reprezentowane są dzieła zrealizowane według projektów i pod nadzorem artystycznym Jerzego Zitzmana.

Za sprawą Jerzego Moskala Katowice stały się stolicą scenografii polskiej. W 2005 roku tak pisał twórca CSP: „*Jesteśmy instytucją nietypową – rozpiętą pomiędzy muzeum, a teatrem. Duchem nie w sali muzealnej, lecz na scenie, którą zamieniamy w widownię*”.

Centrum Scenografii Polskiej odzwierciedlało świat Jerzego Moskala – jego sposób widzenia i rozumienia teatru.

Był laureatem Nagrody Prezydenta Miasta Katowice (1992), Honorowej Odznaki Miasta Katowice za plenerowe widowisko o historii Katowic „Na początku była kuźnia”, Nagrody Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego (2006), Nagrody im. Karola Miarki (2006) i Srebrnego Medalu „Gloria Artis” (2008).

(Oprac. wk)



„Duet kwiatów” w wykonaniu Małgorzaty Idzik (z lewej) i Eweliny Szybilskiej.



Ewa Vesin (sopran) i Mirella Malorny-Konopka (fortepian).

Cztery damy zawładnęły sercami festiwalowej publiczności

WIEŚŁAWA KONOPELSKA

Brawurowym popisem wokalnym w wykonaniu czołowych polskich śpiewaczek operowych: Ewy Vesin (sopran), Eweliny Szybilskiej (sopran) i Magdaleny Idzik (mezzosopran), którym przy fortepianie towarzyszyła znakomita pianistka Mirella Malorny-Konopka, zakończył się, trwający cztery dni (19-22 maja 2016 r.) XVII Festiwal Ave Maria w Czeladzi.

Podkiescytowana pięknymi głosami i niezrównanymi interpretacjami wielu arii operowych, operetkowych i musicalowych publiczność, z pewnością zapamiętała przejmującą arię Santuzzy z opery *Cavalleria rusticana*, wyśpiewaną przez Ewę Vesin, urokliwą piosenkę *Somewhere over the rainbow*, czyli popularny *Świat ponad tęczę* w interpretacji zjawiskowej Eweliny Szybilskiej, czy de Curtisa *Non ti scordar di me* w dynamicznej interpretacji Magdaleny Idzik. A już na pewno w historii tej edycji festiwalu zapisze się zachwycające wykonanie *Duetu kwiatów* Delibes’a. Jedno jest pewne: w tym momencie, nad Galerią Sztuki Współczesnej „Elektrownia”, w której odbywał się festiwalowy koncert, musiało uchylić się niebo – ale na ten temat z pewnością mogli więcej powiedzieć prowadzący ten koncert ks. Paweł Sobierajski, zwykle zajmujący miejsce w szeregu znakomitych tenorów, który tym razem wystąpił w roli konferansjera i – znajdujący się na widowni – ks. kan. Jarosław Wolski, współorganizator festiwalu.

Cztery damy oczarowały i porwały czeladzką publiczność. Obserwując wszystkie dotychczasowe edycje festiwalu przyznać muszę, że koncert ten należał do najpiękniejszych w całej jego historii. Niejednokrotnie

występowały znakomite śpiewaczki, jak chociażby Barbara Kubiak, Iwona Hossa, Agnieszka Dondajewska, Małgorzata Olejniczak czy Anna Noworzyn, ale nigdy podczas jednego wieczoru!

Zanim jednak rozpoczęła się sopranowa uczta, melomani mieli już za sobą trzy wieczory koncertowe. Pierwszy – kameralny, którego organizatorem była Śląska Izba Lekarska, odbył się w Muzeum Saturn, gdzie wystąpiła śpiewająca sopranem koloraturowym... pani doktor nauk medycznych, genetyk Anna Kutkowska-Kass, a przy fortepianie towarzyszył jej wytrawny i utytułowany pianista Robert Morawski z Uniwersytetu Fryderyka Chopina. Swoją recital rozpoczęła także znaną pieśnią – *Ave Maria* Charles’a Gounod’a. W przebiegłym programie znalazła się i ta najbardziej oczekiwana – popisowa dla sopranów koloraturowych aria *Królowej Nocy* z opery *Czarodziejski flet* Mozarta.

Śląska Izba Lekarska – współorganizator festiwalu od pierwszej jego edycji – przygotowała jeszcze jeden koncert – w kościele św. Stanisława B.M., w którym wystąpiły chóry: „Cames” reprezentujący właśnie Śląską Izbę Lekarską i „Medicanto” związany z Opolską Izbą Lekarską.

Niewtajemniczonym należy się wyjaśnienie, skąd udział śląskich lekarzy w gronie współorganizatorów tego wydarzenia muzycznego. Otóż, przed siedemnastu laty, ówczesny prezes Okręgowej Rady Lekarskiej dr Maciej Hamankiewicz wraz z dr. Cezarym Kucio, a także z zaprzyjaźnionym z nimi Sławomirem Pietrasem – wtedy dyrektorem Teatru Wielkiego w Warszawie, urodzo-

nym w Będzinie, a związanym z Czeladzią poprzez chrzest w kościele św. Stanisława B.M. (co przy każdej okazji z dumą podkreśla), postanowili zainicjować wydarzenie muzyczne, jakiego w Zagłębiu jeszcze nie było – Festiwal Ave Maria. Istotą tego przedsięwzięcia był fakt, że „sercem” festiwalu miała być „czeladzka Notre Dame”, czyli kościół św. Stanisława, a pozostałe miały odbywać się w okolicznych miastach: Sosnowcu i Będzinie. Taka koncepcja festiwalu realizowana była przez dwanaście kolejnych lat. Ale jak to w samorządach bywa, nowe władze miasta miały inny pomysł na festiwal, który swym zasięgiem objął wyłącznie Czeladź, za to koncerty zaczęto organizować zarówno na rynku – koncerty plenerowe, jak i w zrewitalizowanym, pokopalnianym obiekcie Galerii Sztuki Współczesnej „Elektrownia”. Nowe miejsca koncertowe pociągały za sobą zmianę pierwotnej koncepcji Festiwalu Ave Maria. Odtąd w kościele odbywał się wyłącznie Turniej Tenorów – żelazna pozycja festiwalu, bez mała od początku jego istnienia. Zaniechanie koncertów poza Czeladzią doprowadziło ostatecznie do upadku idei festiwalu, jako znaczącego wydarzenia muzycznego w Zagłębiu. Sprawy programowe i wykonawcze przez kolejne dwa lata powierzano agencji impresaryjnej Polska Opera Kameralna Kazimierza Kowalskiego. Wprawdzie na rynku wystawiono skróconą wersję „Strasznego Dworu”, jednak spektakl nie wzbudził entuzjazmu. Podobnie było z koncertami w latach 2013 i 2014.

O mało co, nie zaprzepaszczono dorobku festiwalu, który przez lata gościł najwybit-



Turniej Tenorów z udziałem (od lewej) Aleksandra Kruczka, Pawła Skaluby, Macieja Komandery i Adama Zdunikowskiego

W 2015 roku, po kolejnych wyborach samorządowych, podjęto próbę reanimacji zaniedbanego na marginesie życia muzycznego festiwalu. Obecny burmistrz Czeladzi Zbigniew Szaleniec, funkcję dyrektora artystycznego powierzył Sławomirowi Chrzanowskiemu, szefującemu Filharmonii Zabrzeńskiej, a w tym roku powołał Radę Festiwalu Ave Maria. Przywrócona została także współpraca Miasta ze Śląską Izbą Lekarską, jako współorganizatorem festiwalu. Pozostawiono jednak zasadę, że festiwal odbywa się wyłącznie w Czeladzi: w kościele, na rynku i w galerii „Elektrownia”.

Podczas XVII edycji festiwalu „czeladzka Notre Dame” rozbrzmiewała głosami Adama Zdunikowskiego i Macieja Komandery, którzy nie pierwszy raz gościli w Czeladzi, a także Pawła Skaluby i Aleksandra Kruczka. Czwórka wspaniałych tenorów była uczestnikami Turnieju Tenorów. Solistom towarzyszyła orkiestra symfoniczna Filharmoników Zabrzeńskich pod dykcją Sławomira Chrzanowskiego. Wieczór ten miał szczególny charakter, bowiem dedyko-



Koncert Grzegorza Turnaua na czeladzkim Starym Mieście



Solistom podczas Turnieju Tenorów towarzyszyła orkiestra symfoniczna Filharmonii Zabrzeńskiej pod dykcją Sławomira Chrzanowskiego



Chór „Cames” Śląskiej Izby Lekarskiej

wany był pamięci Bogusława Kaczyńskiego – wielkiego mistrza słowa i wybitnego znawcy opery i operetki, który w przeszłości kilkakrotnie był gościem festiwalu.

W zgoła odmiennej atmosferze przebiegał, odbywający się w plenerowej scenarii Staro Miasta, trzeci dzień festiwalu, który rozpoczął się koncertem będążńskich licealistów. Młodzi artyści zaproszono w wysłuchanie fragmentów oratoriów Piotra Rubika.

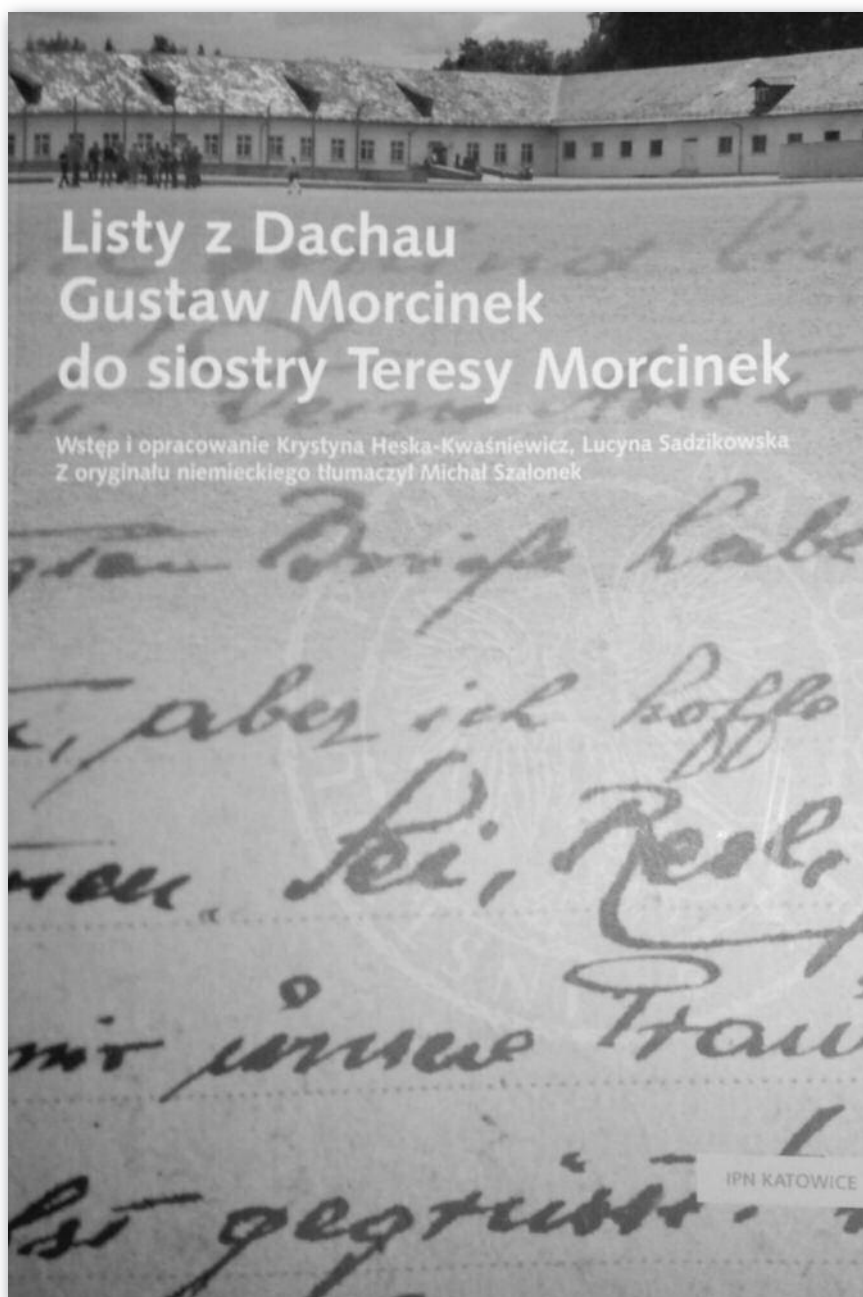
Kiedy nad Starym Miastem zawisła szarówka wiosennego, późnego popołudnia, na scenie rozpoczął się isticie magiczny koncert Grzegorza Turnaua. Krakowski bard wraz z zespołem znakomitych muzyków zaprezentował zarówno nowe, jak i dobrze znane miłośnikom jego sztuki poetyckiej i wokalne utwory. Było więc wiele muzycznych pretekstów do dialogu artysty z tłumnie zgromadzoną publicznością. W mrokach światła i w pachnącej Krakowem atmosferze, wszyscy znakomicie się bawili. Wieczór mógłby nie mieć końca...

XVII Festiwal Ave Maria zakończył koncert „Cztery Damy” w GSW „Elektrownia”.

Ledwo wyrzmiwały ostatnie dźwięki festiwalu, jeszcze publiczność i organizatorzy nie ochłonęli z wrażenia, a już rozpoczęły się rozważania nad przyszłoroczną edycją festiwalu. Sukces zawsze dodaje skrzydeł, a niewątpliwie tegoroczny, XVII Festiwal Ave Maria pokazał, że warto dołożyć wszelkich starań, by na powrót było to ważne dla całego Zagłębia, a nie tylko dla Czeladzi, wydarzenie muzyczne. Dorobek festiwalu zobowiązuje.

niejsze polskie zespoły artystyczne m.in. Teatru Wielkiego w Poznaniu, Filharmonii Krakowskiej, Opery Śląskiej w Bytomiu, plejadę wybitnych solistów, jak: Bogdan Paprocki, Wiesław Ochman, Sylwester Kostecki, Adam Zdunikowski, Adam Szerszeń, Dymitr Fomenko, Czesław Gałka, Bartosz Urbanowicz, Aleksander Teliga, zespoły „Śląsk” i „Mazowsze”, znakomitych dyrygentów, by wymienić tylko Wacisława Kunca, Piotra Warzechę, Eraldo Salmieriego czy Kazimie-

rza Kryżę. Nie doceniono, chociażby z promocyjnego punktu widzenia, faktu, że w 2012 roku najważniejszym koncertem Festiwalu Ave Maria był ten przygotowany z okazji 75. urodzin Wojciecha Kilara z osobistym udziałem Kompozytora, podczas którego zabrzmiały *Orawa* oraz *I Koncert fortepianowy* w genialnym wykonaniu Grzegorza Niemczuka z towarzyszeniem Filharmonii Krakowskiej pod dykcją Pawła Przytockiego.



Ukazały się listy z Dachau Gustawa Morcinka

KATARZYNA TAŁUĆ

27 kwietnia w Centrum Edukacyjnym Instytutu Pamięci Narodowej w Katowicach przy ul. św. Jana odbyła się promocja książki pod tytułem *Listy z Dachau. Gustaw Morcinek do siostry Teresy Morcinek*. Spotkanie z prof. Krystyną Heską-Kwaśniewicz i dr Lu-

cyną Sadzikowską, które opracowały edytorsko listy i przygotowały do książki wstęp, poprowadził naczelnik Oddziałowego Biura Edukacji Publicznej katowickiego oddziału Instytutu Pamięci Narodowej dr hab. Adam Dziurok. Podczas rozmowy, także z gośćmi, po-

ruszono kilka wątków dotyczących bezpośrednio książki – okoliczności jej powstania, wykorzystanych metod w opracowaniu materiałów epistolograficznych czy wreszcie samej zawartości. Dyskutowano również na tematy, które zostały niejako wywołane przez bohatera książki. Interesowano się np. wpływem przeżyć obozowych na późniejszą twórczość autora *Wyrąbanego chodnika*, na jego postawę życiową. Krystyna Heska-Kwaśniewicz wspominała, że pomysł opublikowania listów obozowych narodził się już dawno, gdyż, znając materiały będące spuścizną po pisarzu zgromadzone w jego muzeum w Skoczowie, zdawała sobie sprawę, iż byłyby one doskonałym uzupełnieniem *Listów spod morwy* – książki pisanej tuż po wyzwoleniu, tego pierwszego, pełnego zapisu przeżyć obozowych, swobodnego rodzaju katharsis.

Profesor nakreśliła drogę, jaką wraz z Lucyną Sadzikowską odbyły, a której zwieńczeniem jest prezentowana dzisiaj książka. Wspominała o innych instytucjach wyrażających wprawdzie zainteresowanie opublikowaniem materiałów, ale tylko dyrekcja Instytutu Pamięci Narodowej od razu zaakceptowała projekt i udzieliła niezbędnej pomocy. Dzięki temu powstała książka, zawierająca zespół 119 listów Gustawa Morcinka adresowanych do siostry pisarza Teresy Morcinek. Na materiał, będący podstawą tekstową, złożyły się kserokopie oraz fotokopie autografów, przechowywanych w Muzeum im. Gustawa Morcinka w Skoczowie. Listy obejmują okres od 10 grudnia 1939 r. do 10 grudnia 1944 r., kiedy pisarz przebywał w obozach Sachsenhausen i Dachau. Ze względu na to, że korespondencję prowadzono w języku niemieckim, co nakazywał regulamin obozowy, dokonano profesjonalnego tłumaczenia. Translacji podjął się Michał Szalonek. Podkreślono także różnice między przekładem zastosowanym w niniejszej edycji a wcześniejszymi tłumaczeniami Jana Kuglina, znajdującymi się w skoczowskim muzeum. Zadbano, jak podkreślała Lucyna Sadzikowska o dokładne, wyczerpujące opracowanie faktograficzne listów, starano się wyjaśnić wszelkie wątpliwości, w czym pomagało szereg osób.

Autorka wstępu do wydawnictwa IPN-u w trakcie spotkania mówiła o wspólnych cechach materiałów z najnowszej książki z *Listami spod morwy* wydanymi w 1945 r., a mianowicie o literackości obu zespołów. Wyznacznik ten świadczy o oryginalności i wyjątkowości zachowanej korespondencji obozowej, podporządkowanej przecież formalnie ścisłym regulom, co ostatecznie dzisiaj pozwala traktować listy z Dachau zarówno jako materiał biograficzny, świadectwo kulturowe, jak i istotny element współtworzący obraz warsztatu literackiego i to nie tylko Morcinka. Należy bowiem podkreślić, chociaż nie wybrzmiało to głośno na spo-

tkaniu, że publikacja IPN-u otwiera nowe pole badawcze do tej pory nie dość spenetrowane, a obejmujące korespondencję osób osadzonych w obozach koncentracyjnych, łagrach – owego przejawu życia w strasznej rzeczywistości, który łączył więźniów ze światem spoza drutów. Nasuwają się pytania: ile do naszych czasów tego rodzaju materiałów przetrwało, gdzie są przechowywane i wreszcie o czym pisali nadawcy, czego oczekiwali od adresatów, jakich szyfrów używali, aby obejść cenzurę obozową. Ta ostatnia kwestia została także poruszona na kwietniowym spotkaniu w Centrum Edukacji. Doktor Lucyna Sadzikowska opowiadała o trudnościach w rozszyfrowaniu niektórych partii dotyczących osób, zdarzeń, faktów, o których Morcinek nie mógł pisać wprost. Czytelnik, dzięki obszernym przypisom dołączonym do każdego listu a także ze wstępu i noty edytorskiej, może sam stworzyć katalog owych słów kluczy powtarzających się w 119 zachowanych listach. Morcinek pisząc o sobie, często używał trzeciej osoby. Nazywał siebie „chłopakiem” Tereski, dzięki czemu mógł przekazać więcej informacji o przede wszystkim samopoczuciu, nie narażając się przy tym na represje ze strony władz obozowych. Zofię Ślósarską, z którą pisarza łączyła przyjaźń, nazywał „ciocią”, aby ta mogła przesyłać do obozu paczki. Zgodnie bowiem z regulaminem osadzeni mogli otrzymywać korespondencję tylko od członków rodziny. Jak autorki opracowania listów zaznaczyły, wiele wysiłku, pracy wręcz detektywistycznej wymagało rozszyfrowanie inicjałów imion przewijających się w korespondencji, w czym pomagali m.in. pracownicy muzeum Morcinka w Skoczowie czy dr Katarzyna Bereta, znawczyni twórczości pisarza. Mnogość osób, o których pisze Morcinek, to świadectwo, jak podkreśliła Krystyna Heska-Kwaśniewicz, przyjęcia określonej strategii przetrwania. Pisarz interesując się losami osób najbliższych, znajomych, dopominając się informacji o nich, zaglądał pocucie odosobnienia, starał się, mimo uwięzienia i kosztownej rzeczywistości naznaczonej śmiercią oraz upodleniem godności człowieka, pamiętać o tym, że jest inny świat i że on do tego pozostawionego życia wkrótce powróci. Listy od siostry pomagały pisarzowi przeżyć i pozostać wiernym ideałom wyznaczającym hierarchię jego wartości.

Oprócz otrzymywanej korespondencji dla Morcinka niezmiernie istotna była także lektura książek. Wątek czytanych przez pisarza w obozie lektur, to drugi najczęściej poruszany podczas promocji wydawnictwa temat. Prowadzący spotkanie Adam Dziurok zwrócił uwagę na intrygujący, zwłaszcza dzisiaj, przejaw funkcjonowania obozów – życie kulturalne – element, skrzętnie wykorzystywany przez propagandę hitlerowską w celu wykreowania fałszywego

obrazu obozów jako tylko miejsc odosobnienia, w których osadzeni mają szereg praw i możliwości rozwoju swoich zainteresowań. W obozie w Dachau istniała biblioteka, oczywiście z wyselekcjonowanym księgozbiorem, z której Morcinek i inni więźniowie korzystali. Czytano również książki przemycone oraz nadsyłane w paczkach. Profesor Heska-Kwaśniewicz akcentowała, że w listach pisarz częściej niż o żywności prosił właśnie o książki: o swoje, np. *Inżyniera Szerudę*, *Po kamienistej drodze*, ale i innych autorów. Ich lektura dzisiaj staje się świadectwem z jednej strony recepcji tekstu literackiego, z drugiej to znak wartości przypisywanych w owej nieludzkiej rzeczywistości słowu. Listy pełne są wzmianek o uczuciach, doznaniach towarzyszących czytaniu, np. *Księgi ubogich* Jana Kasprowicza, *Dzień w duszy* Teresy z Lisieux. Treści płynące z tych lektur, ich interpretacje, a także rozmowy o książkach z innymi współwięźniami wzmacniały wiarę pisarza w przeżycie i przekonanie, że mimo realiów, w jakich się znalazł, „ludzie są dobrzy”. O miejscu książek w życiu Morcinka, roli, jaką odgrywały, zwłaszcza w czasie uwięzienia, świadczy forma zachowanych listów. Morcinek pisał o książkach jak o osobach, martwił się o ich los, a troskę tę wyrażał w częstych pytaniach o stan swojego księgozbioru. Pisarz, prosząc o przesłanie jakiejś pozycji czy zwierając się, co w tej chwili czyta, zawsze podkreślał tytuły. Tym samym dawał wskazówki do interpretacji treści listu, do odczytania tego, czego ze względu na cenzurę nie mógł napisać otwarcie.

Trzecim wątkiem poruszonym przez prowadzącego i Autorki podczas prezentacji książki była postawa Morcinka w obozie. Krystyna Heska-Kwaśniewicz zwróciła uwagę na pomoc w wymiarze materialnym, jaką pisarz niósł współwięźniom, dzieląc się z nimi żywnością z paczek oraz tą wyniesioną potajemnie z kuchni, w której pracował. Nie mniej istotne było słowo, umacnianie innych w przekonaniu, że przeżyją obóz. Ta duchowa siła i płynący z niej optymizm, spowodowały, iż pisarz został zaangażowany we współtworzenie spektakli obozowych oraz pogadanek – „parole”. Z obydwu zadań (scenariusze spektakli starano się tak skomponować, aby zawierały wiersze, fragmenty prozatorskie, pieśni podbudowujące więźniów i przemycające jak najwięcej akcentów patriotycznych oraz narodowych; natomiast zadaniem „parole” – swojego rodzaju prorocत्व, przepowiedni – było umacnianie przekonania w rychłe wyzwolenie), jak podkreślały Autorki, Morcinek wywiązywał się doskonale, co przysparzało mu przyjaciół. Oni też już po wojnie dawali świadectwa o postawie pisarza. Na przemianę, jaka zaszła w autorze *Wyrąbane go chodnika*, z czego sam pisarz zdawał sobie sprawę i pisał o tym do siostry, wpływ mieli również inni współwięźnio-

wie, z którymi zetknął się w Sachsenhausen, później w Dachau. Byli to profesorem Uniwersytetu Jagiellońskiego oraz księża. Morcinek z kontaktów, rozmów zwłaszcza z księżmi: Jerzym Michalskim, Stefanem Zielenką, Franciszkiem Cegielią, czy wreszcie z przyjacielem ks. Leopoldem Biłką, czerpał siły duchowe, pozwalającemu wierzyć w opiekę Opatrzności. Wiara ta stała się głęboka, wypływała bowiem z doświadczeń osobistych wzmocnionych lekturą pism filozoficznych, mistycznych oraz tekstów literackich. Wzmianki w listach, niekiedy zaszyfrowane o współwięźniach, ich losach, to kolejny dyskusyjny temat na spotkaniu. Przypomniano nie tylko eksterminację kadry naukowej, duchowieństwa, ale także osoby, które, narażając własne życie, starały się nieść pomoc. Wymieniono m.in. Zofię Kossak oraz pastora Andrzeja Wantułę. Osoba wiślańskiego duchownego, który podpisał volkslistę i jednocześnie ratował Polaków przed wywózkami do obozów, zainicjowała kolejny wątek rozmów, dotyczący krzywdzących i do dzisiaj rozpowszechnionych opinii o zdradzie narodowej Ślązaków w czasie wojny. Sam Morcinek był zachęcany przez siostrę do tego, aby, podobnie jak Wantuła, podpisał volkslistę, co przelożyłoby się na jego uwolnienie. Profesor Krystyna Heska-Kwaśniewicz, przybliżając ów epizod zaznaczyła, że jednoznaczna odmowa pisarza to jeszcze jedno świadectwo niezłomnej postawy, wierności przekonaniom nawet w obliczu śmierci.

Podczas spotkania padały także pytania o inną korespondencję Morcinka, jej stan zachowania. Autorki, odpowiadając na te pytania, przypomniały, że pisarz przez całe życie prowadził bardzo ożywioną korespondencję z różnymi osobami, czego dowodem są także nadsyłane odpowiedzi, przechowywane m.in. w skoczowskim muzeum. Analiza tego typu materiałów z pewnością wzbogaciłaby portret pisarza, a dzisiaj w dobie zaniku epistolografii, czy jej sprowadzenia do SMS-ów, ukazałaby nie tylko bogactwo tematyczne, ale także różnorodność formalną, stylistyczną listów. Korespondencja Morcinka wyróżnia się na tym tle, nawet ta obwarowana rygorami cenzury obozowej. Jego listy bez względu na okoliczności były pisane językiem literackim i nasycone silnymi emocjami.

Spotkanie zakończył Naczelnik z katowickiego oddziału IPN-u, dziękując wszystkim za przybycie i dając wyraz satysfakcji z tego, że to właśnie miejscowy oddział przyczynił się do opublikowania listów, będących materiałem historycznym, wzbogacającym wiedzę o II wojnie światowej w wymiarze lokalnym i ponadregionalnym. Jednocześnie wyraził przekonanie, iż *Listy z Dachau* przyczynią się do poszerzenia obszaru badań nad biografią i twórczością Gustawa Morcinka – jednego z najbardziej znanych pisarzy pochodzących ze Śląska.

W Polanicy-Zdroju

Która forma jest poprawna: *zawody odbędą się w Polanicy Zdrój* czy *w Polanicy Zdroju*?

W zasadzie żadna z wymienionych form w pełni poprawna nie jest. Po pierwsze: w nazwach dwuczłonowych odmieniają się oba składniki, jak np. w *Czechowice-Dziedzice* (D. *Czechowicz-Dziedzic*, C. *Czechowicom-Dziedzicom*, N. *Czechowiczami-Dziedzicami*, Ms. *Czechowiczach-Dziedzicach*). W nazwach miejscowości uzdrowiskowych – jak np. *Krynica-Zdrój*, *Rabka-Zdrój*, *Iwonicz-Zdrój*, *Duszniki-Zdrój*, *Goczałkowice-Zdrój* – człon *Zdrój* jest więc także obowiązkowo odmienny.

Cechy gramatyczne nazw wieloczłonowych mogą sprawiać, że każdy element odmienia się w inny sposób. np. w nazwie *Długopole-Zdrój* człon *Długopole* odmienia się według deklinacji nijakiej, człon *Zdrój* natomiast przybiera zgodnie ze swym rodzajem gramatycznym końcówki deklinacji męskiej. *Iwonicz* ma odmianę męską, a *Polanica* – żeńską, dlatego też odmieniamy nazwę uzdrowiska następująco: M. *Polanica-Zdrój*, D. *Polanicy-Zdroju*, C. *Polanicy-Zdrojowi*, B. *Polanicę-Zdrój*, N. *Polanicą-Zdrojem*, Ms. *Polanicy-Zdroju*, W. *Polanico-Zdroju*! Podobnie jest z innymi nazwami miast, a także dzielnic. *Bielsko-Biała* czy *Skarżysko-Kamienna* mają odmianę męską, ponieważ elementy *Bielsko*, *Skarżysko* są rzeczownikami rodzaju nijakiego, a *Biała*, *Kamienna* przymiotnikami rodzaju żeńskiego (*Bielska-Białej*, *Bielsku-Białej*, *Bielskiem-Białą*; *Skarżyska-Kamiennej*, *Skarżysku-Kamiennej*, *Skarżyskiem-Kamienną*).

Po drugie: trzeba podkreślić także aspekt ortograficzny. Jeszcze kilka lat temu obowiązywała pisownia rozdzielna dwuczłonowych nazw miejscowych złożonych z członów względem siebie znaczeniowo nierównorzędnych. Trudno jednak wymagać od każdego użytkownika języka wiedzy o genetycznej, administracyjnej i znaczeniowej równorzędności czy nierównorzędności nazw, dlatego w 2006 roku wprowadzono w drugim wydaniu *Wielkiego słownika ortograficznego języka polskiego* pod red.

Edwarda Polańskiego (w regule 184) ujednoczenie pisowni nazw miejscowych złożonych z dwóch lub więcej członów, które wspólnie identyfikują jednostkę administracyjną lub/i geograficzną (czyli miejscowość lub jej część, np. dzielnicę). W związku z tym piszemy z łącznikiem nazwy typu *Bielsko-Biała-Lipnik*, *Warszawa-Okęcie*, *Warszawa-Sródmieście*, *Warszawa-Praga-Północ*, *Kalwaria-Lanckorona*, *Golub-Dobrzyń*, *Kraków-Bronowice*, *Katowice-Dąb*, *Gdańsk-Wrzeszcz*, *Wrocław-Krzyki*, *Poznań-Jeżyce* itd.

Istnieją jednak nazwy wieloczłonowe, których z łącznikiem nie piszemy: są to mianowicie nazwy odmienne w budowie od wymienionych wyżej, w których jeden z członów (przymiotnik) pozostaje w związku zgody z głównym członem nazwy (rzeczownikiem), np. *Dąbrówka Nowa*, *Nowy Sącz*, *Nowy Tomyśl*, *Przewóz Stary*. Łącznika nie stosuje się także w nazwach, w których pierwszym członem są wyrazy *Kolonia*, *Osada*, *Osiedle*, jak np. *Kolonia Ostrów*, *Kolonia Wronów*, *Osiedle Wilga*, *Osada Konin*, *Osada Leśna* itp.

Warto dodać, że kwestie pisowni i odmiany nazw miejscowych precyzuje łatwo dostępny w internecie dokument Komisji Standaryzacji Nazw Geograficznych pt. *Wykaz urzędowych nazw miejscowości i ich części*.

KATARZYNA WYRWAS

m:k

W muzeach
nie wszystkie eksponaty
można zawsze oglądać.

Postanowiliśmy
pokazywać
niektóre
na naszych łamach.

Dziś pocztówka
ze zbiorów
Muzeum Historii
Katowic.



awers



rewers

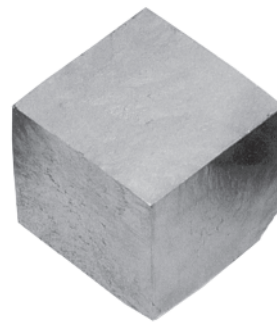
W czerwcu 1983 roku papież Jan Paweł II odwiedził Katowice. Na katowickim lotnisku wygłosił homilię o godności pracy, w Katedrze spotkał się z chorymi. Na pamiątkę swojej wizyty przekazał władzom miasta złoty medal, który dziś znajduje się w zbiorach Muzeum Historii Katowic.

Prowadzone namiętnie od XIX wieku dyskusje o Śląsku i Ślązakach już na starcie obciążane były emocjami wynikłymi z różnic politycznych i ideologicznych, jakie narastały wraz z kształtowaniem się ruchów narodowościowych i państw budowanych na ideałach nowoczesnej ideologii narodowej. Od drugiej połowy XIX w. Górny Śląsk w retoryce naukowej, politycznej, kulturowej i społecznej tracił spójność. Wielka Wojna 1914-1918 stan ten jeszcze bardziej pogłębiła. A później nie było lepiej... Dzisiaj dyskusja w tej przestrzeni zdaje się najważniejszym wyzwaniem nie tylko dla świata polityki i kultury oraz pracy lokalnych samorządów. To zadanie dla wszystkich, którzy o Śląsku się wypowiadają, a zwłaszcza dla samych jego mieszkańców. Ślązacy przeżywali i – co zadziwiające – nadal przeżywają gehennę niezrozumienia. Mają za sobą kilka potężnych exodusów, a i dziś zdają się pozostawać na jakimś wewnętrznym wygnaniu.

Jedni powstańcy śląscy ginęli w niemieckich obozach koncentracyjnych II wojny światowej, inni doczekali czasów powojennych, kiedy to na jednej z konferencji śląskiej Polskiej Akademii Nauk uznano, że I powstanie śląskie wywołał wywiad niemiecki, II powstanie określono mianem prowokacji skierowanej przeciw międzynarodowemu ruchowi robotniczemu, a w III dopatrzono się godzenia w solidarność robotników Niemiec i Polski. Dzisiaj wśród samych Ślązaków dyskusje o powstaniach przyjmują nowe kształty, bo wielu uważa, że w ogóle były one zwykłą domową wojną, i stawia znak równości między obydwojma stronami powstańczych barykad. Inni nie mogą na to przystać, a wszyscy razem coraz bardziej emocjonalnie dają temu wyraz.

Co gorsza, Ślązacy z czasem coraz mocniej przywiązali się do przekonania o własnym cierpieniu jako wyróżniającym ich swoistym kulturowym stygmacie. Mało tego, zjawisko to zdaje się przybierać na sile. Coraz bardziej dobitnie artykułowana jest kwestia odrębności etnicznej części spośród współczesnych Górnos Ślązaków, domagających się uznania swoich praw jako mniejszości narodowej i określenia statutu politycznego w ramach autonomii. Gorąco dyskutowana jest kwestia języka śląskiego oraz przywołania idei autonomii województwa śląskiego z okresu międzywojennego z jej budżetem oraz sejmem. Wiele kwestii związanych z wewnętrznymi sprawami województwa było wówczas rozstrzyganych przez jego organy (m.in. szkolnictwo ogólnokształcące i zawodowe, lokalne koleje, kwestie sanitarne, działanie policji i żandarmerii, zaopatrzenie w energię elektryczną itd.). Zwolennicy autonomii ufają w dobroczynne skutki powrotu do niej. Inni podkreślają, że współcześnie dysponujemy narzędziami instytucjonalnymi

Tożsamość i polifonia



JACEK KUREK KAMIEŃ DROGOCENNY

pozwalającymi na kształtowanie rozwoju województwa śląskiego bez konieczności postulowania autonomii. Końca dyskusji nie widać. I uważam, że samo w sobie nie jest to niczym niepokojącym, podobnie jak to, że śląsko-polsko-niemieckie kwestie narodowościowe nadal są mocno zawile, a pod pewnymi względami może nawet bardziej aniżeli niegdyś... Codziennosc przynosi też niezliczone przykłady na wielobarwność obecności Śląska w umysłach jego mieszkańców. Białe-czarne podziały nigdy do niego nie pasowały.

Cztery lata temu, podczas odbywających się w Polsce Mistrzostw Europy w Piłce Nożnej na jednej z chorzowskich ulic zobaczyłem samochód dostawczy, który przy obu bocznych lusterkach miał białe-czerwone chorągiewki, a za szybą przednią żółto-niebieski szalik z napisem „Oberschlesien”. Zródła internetowe nie są zgodne co do miejsca urodzin znanego piosenkarza i instrumentalisty Zbigniewa Wodeckiego. Niejednokrotnie (za samym zainteresowanym) podają Kraków... Tymczasem powinien być to Godów, którego jednak muzyk wskazywał nie lubi, bo, jak sam nieraz przyznawał, ma z tym problem i woli być z... Krakowa (inna rzecz, że nie przeszkadza mu to regularnie odwiedzać Godowa np. podczas dożynek). Katarzyna Gärtner, artystka o pokrętnej skądinąd biografii i ciekawym dorobku, na świat przyszła w Myślenicach, ale podkreśla zawsze swoje przywiązanie do Śląska, silnie się z nim utożsamia, mimo że tu nie mieszka. Babcia, którą często odwiedzała w Zabrze, nauczyła ją śląskiej gwary i niemieckiego języka. Od wielu lat kapituła Nagrody Prezydenta Miasta Chorzowa w Dziedzinie Kultury zastanawia się, czy nie przyznać jej urodzonemu w Chorzowie dramaturgowi Grzegorzowi Jarzynie. Na przeszkodzie wciąż jednak staje ta sama prosta konstatacja, że z Chorzowem jako miejscem urodzenia artysta się najzwyczajniej nie identyfikuje, a nawet ściągnąć go z przedstawieniem do rodzinnego miasta nie sposób. Pozostając przy tej samej Nagrodzie, jedynym do dziś, który – mimo przyzna-

nia jej – nie przyjechał na uroczystość, jest wybitny dramaturg z Chorzowa Ingemar Villqist (Jarosław Świerszcz). Tyle tylko, że po kilku latach od tamtego wydarzenia pisze śląskie i na Śląsku umiejscowione dramaty, zrealizował także film i podpisuje się, że jest z Królewskiej Huty (choć mieszka na terenie dawnych Wielkich Hajduk, a urodził się, gdy Królewska Huta nazywała się Chorzów). Do Chorzowa (Starego) wraca z sentymentem i wzruszeniem bodaj najwybitniejsza niemiecka aktorka powojenna Hanna Schygulla, która spędziła w mieście urodzenia zaledwie pierwsze trzy lata życia, ale przez cały czas jej aktorskiej kariery zauważało się – w doborze ról – owo wielokulturowe i śląskie pochodzenie. Oczywiście mógłbym podać bardziej spektakularne przykłady, ale po co? Wymieniając dalej, otrzymalibyśmy, zachwycający kolorami i odzieniami, imponujący kalejdoskop współczesnych postaw, bo przecież posłużyłem się jedynie garścią egzemplifikacji. Nie sądzę, by ta tożsamościowa polifonia była sama w sobie zła. Niebezpieczeństwo ma źródła gdzie indziej: w agresji, pielęgowanym poczuciu krzywdy i kompleksach. Nie w dyskusjach czy sporach, a tym bardziej różnicach tkwi problem... Oczywiście wszystko, co tu napisałem zaliczyć by można do oczywistych truizmów, gdyby nie nasza pełna gorszących kłótni, inwektywy, wzajemnych żalów i oskarżeń coraz bardziej nas osaczająca rzeczywistość.

I jeszcze jedno... Zadziwia mnie czasami pewność, z jaką my współcześni mówimy o przeszłości, sądząc, że dobrze ją rozumiemy i wiemy wystarczająco wiele, by za pokolenia, które były przed nami, się wypowiadać. W dodatku widząc na każdym niemal kroku, jak złożona jest i niemożliwa do jednoznacznego zdefiniowania teraźniejszość... Czyżby przeszłość – dostępna jedynie z pomocą mocno ograniczonych, niepełnych i nieraz złe, a nawet tendencyjnie interpretowanych źródeł – była bardziej oczywista niż zupełnie nieoczywista współczesność?

W jednym z ostatnich numerów „Odry” Agata Tuszyńska w artykule zatytułowanym *Mój Singer* posłużyła się konstrukcją *drewniane domy Piask* – z taką właśnie postacią drugiego przypadku nazwy miejscowej *Piaski*. Przed laty w jej książce *Singer. Pejzaże pamięci* obok formy *Piask* zobaczyłem również dopełniacz *Trawnik* utworzony od nazwy miejscowej *Trawniki*. Oba te zapisy nie były gramatycznym pomysłem pisarki. Tak się rzeczywiście w obu tych mazowieckich miejscowościach i ich okolicach mówi.

Z tamtych też stron napłynął do mnie przed paroma miesiącami któregoś nadawcy postulat, że w *Starych Groszkach* (i *Piaskach*) *Starych Groszki* (i *Piaski*).

Tę mazowiecką postać dopełniacza, jak *Gołąbek, Lasek, Ząbek, Marki*; *Gołąbki, Laski, Ząbki, Marki*).

W Małopolsce leżą *Kęty*, od których wszyscy tworzą dopełniacz (*do, z*) *Kęt*. Pod Wrocławiem są natomiast *Kąty Wrocławskie* mające w drugim przypadku ugruntowane brzmienie *Kątów*. Z kolei niedaleko Kątów mamy *Kostomłoty*, których mieszkańcy wybrali bezkońcówkowy wariant (*do, z*) *Kostomłot*.

Bo i trzeba już w tym momencie powiedzieć, że nazwy typu *Piaski, Trawniki, Groszki, Gołąbki, Laski, Ząbki, Marki, Kęty, Kąty, Kostomłoty* mogą w drugim przypadku przyjąć bądź postać bezkońcówkową, bądź zaopatrzoną w końcówkę *-ów* i tylko od uzusu, czyli powszechnego zwyczaju w danej okolicy panującego, zależy, która postać stanie się zwycięska (jak widzieliśmy, nie jest wykluczone współwystępowanie wariantów). Utrwaleniu się postaci typu *Piask, Trawnik, Groszk* czy *Kostomłot* na pewno sprzyja żywa tendencja do ucieczki przed homonią fleksyjną – zbieżnością brzmień z odpowiednimi wyrazami pospolitymi (*piaski – piasków, trawniki – trawników, groszki – groszków, młoty – młotów*).

Poprawnościowe kłopoty nie omijają nazw tego samego typu leżących na Górnym Śląsku. I tak np. centralne środki masowego przekazu lansowały przez kilkadziesiąt lat formę (*do, z*) *Tych*, mimo że tradycja miejscowa przemawiała za brzmieniem *Tychów*. Ale że kropla drąży skałę, a i wydawnictwa poprawnościowe opowiadały się za wariantem bezkońcówkowym, w samych Tychach – co sprawdziłem wielokrotnie – funkcjonowały obie postacie dopełniacza. I dopiero od paru lat, w sytuacji wyraźnej preferencji dla wszystkiego, co ma korzenie regionalne, zaczynają zdobywać przewagę wyrażenia *do Tychów,*

Śląska ojczyzna polszczyzna

Drogiemu Panu Profesorowi Janowi Miodkowi,
który jest z nami od ponad 11 lat i począwszy od pierwszego (a było ich już 136!) felietonu z cyklu „Śląska ojczyzna polszczyzna”,
zatytułowanego „Piaski, Tychy, Ciasna, Wieszowa” (luty 2005),
niestrudzenie wyjaśnia nam i rozjaśnia wszelkie językowe zawiłości,
najpiękniejsze i najserdeczniejsze życzenia z okazji 70. urodzin

składa

zespół redakcyjny miesięcznika „Śląsk”.
Ad multos annos, Panie Profesorze!

Piaski, Tychy, Ciasna, Wieszowa

z *Tychów* – pojawiające się już i w mediach centralnych. Tylko one znaleźć można w wielkiej monografii tego miasta, wydanej przed paroma laty pod red. prof. Marka Szczepańskiego.

Gdy w *Klapsach i ścinkach* Kazimierza Kutza zobaczyłem bezkońcówkowy wariant *Tych*, zdziwiłem się i natychmiast spytałem autora, czy tak się mówiło w jego rodzinnych Szopienicach, jakże bliskich Tychów leżących. Nietrudno się domyślić, że odpowiedział mi twierdząco, a ja mu wierzę, bo tak może być!! *Żory, Rydułtowy* czy *Makoszowy* nawet na Górnym Śląsku nie muszą mieć wszędzie polecanych przez słowniki dopełniaczowych brzmień (*do, z*) *Żor, Rydułtów, Makoszów*. Formy *Żorów, Rydułtów, Makoszów* nie mogą dziwić, owszem – są strukturalnie absolutnie poprawne, tyle że nie stoi z nimi miejscowy zwyczaj.

Musimy się pogodzić z tym, że jeszcze jednemu typowi nazw miejscowych polski system gramatyczny oferuje dwie możliwości odmiany. Chodzi o takie nazwy, jak np. *Warszawa,*

Częstochowa, Limanowa, Kolbuszowa, Włoszczowa, Binarowa, Albigowa, Miłosna. Mogą się one odmieniać bądź rzeczownikowo (*Warszawy, Częstochowy* – jak *kobiety, dziewczyny*), bądź przymiotnikowo (*Limanowej, Kolbuszowej, Binarowej, Albigowej* – jak *miej, dobrej*) i znów tylko od powszechnego zwyczaju zależy, który wzór deklinowania się przyjmie.

Na ziemiach przyłączonych do Polski w 1945 roku długo funkcjonowały pary *Kudowy – Kudowej* czy *Wschowice – Wschowej* (co nie znaczy, że w Polsce nie powie „Wschowej”).

W przypadku Tychów wyprawnościowe wbrew zwyczajowi lansowały brzmienie (*do, z*) *Włoszczowej* i dopiero Nowy słownik poprawnej polszczyzny z r. 1999 pod red. Andrzeja Markowskiego poleca formę *Włoszczowy* w tamtych stronach używaną.

Starzy mieszkańcy *Miłosny* – tak właśnie przez długie lata odmienianej – donieśli mi niedawno temu, że zaczyna się coraz częściej pojawiać drugi, przymiotnikowy wariant *Miłosnej*, a ja mogłem tylko w swej telewizyjnej „Ojczyźnie polszczyźnie” powiedzieć, że przyszłość pokaże, który z nich wygra.

Oto między Lublińcem a Olesnem Śląskim leży miejscowość *Ciasna*. Ilekroć w Tarnowskich Górach potrzebowaliśmy ten wariant w innej sytuacji, niejednokrotnie traktowaliśmy go tak: *do, z Ciasny* (czy *Ciasnej*). Dopiero w ostatnim numerze „Śląsk” ogłosiłem się, że w tym miejscu ludność używa wariantu fleksyjnego *Ciasna* (czy *Ciasnowa*), a nie *Ciasny* (czy *Ciasnej*).

Bardzo miło mi było, że złożona jest z *Ciasny* (czy *Ciasnej*) jestem, tyle że w tym miejscu współwystępują dwa warianty z, *do Wieszowej, w Wieszowie*. I nic nie zabrałem, bo przecież z *Tychów* i *Wieszowej*.

By rozstrzygnąć tę sprawę, zaczęto w tym miejscu wieniec gwałtownie, nie wiem, czy to z powodu...





ŚLĄSKA OJCZYZNA POLSZCZYZNA

JAN MIODEK

Ale hica!

Mój dawny student, a dziś instytutowy przyjaciel prof. Wojciech Soliński, który dzieciństwo i szkolną młodość przeżył w Pyskowicach, podsunął mi przed paroma dniami takie oto dwa fragmenty ze zbioru Wiecha „Śmiech śmiechem” („Czytelnik”, Warszawa 1986): „Ładną mamy jesień – nie można powiedzieć. Troszkie chicuje, czyli że jest chłodnowato, ale pada małowielna” (str. 257), „Gieniuchna, na taki deszcz, na taki chic? – Deszcz, nie deszcz, chic, nie chic, zobaczyć to trzeba” (str. 278). Znający śląskie gwary nie będą zaskoczeni, jeśli powiem, żeśmy obydwaj z Wojciechem przeczytali przytoczone zdania z *chicem* i *chicowaniem* z ogromnym zdumieniem. Wynika z nich przecież jednoznacznie, że w gwarze warszawskiej wyrazy te są określeniem zimna, wilgoci, deszczu, a takie ich funkcjonowanie potwierdza wielu moich znajomych z tym regionem Polski związanych.

W gwarach śląskich natomiast *hica*, *hic*, *hyc* to „gorąco, skwar, upał”: *Ale hica, idzie na dachu jajca usmażyć. Taki hic, że po bosoku sie niy do stanónć na piosku* – czytamy na str. 85 „Małego słownika gwary Górnego Śląska” z roku 2000 Bożeny Cząstki-Szymon, Jerzego Ludwiga i Heleny Synowiec. Oczywiście, wszystkie te brzmieniowe warianty są zaadaptowanymi do systemu morfologicznego polszczyzny odpowiednikami niemieckiego rzeczownika *die Hitze* „upał, skwar, gorąco”.

Śląsko-warszawska konfrontacja tych form przypomina od strony znaczeniowej, zachowując odpowiednie proporcje, sytuację angielskiego z pochodzenia *handicapu*: dla niektórych użytkowników polszczyzny to synonim „utrudnienia”, dla innych... „ułatwienia, korzystniejszej sytuacji”, a współczesne słowniki musiały ten stan zaakceptować i zarejestrować.

Proszę się natomiast nie przejmować wariantami pisownianymi *hicy* – *chicy*. Pierwszy z nich przylega do oryginału nie-

mieckiego z „h”, drugi jest dopuszczalnym spolszczeniem graficznym (por. np. ang. *hooligan* – *chuligan*, tur., ar. *halwa* – *chahwa*, hebr. *Ham* – *cham*; w lekсынkonach śląskich gwar też się dopuszcza pary *hadra* – *chadra*, *haderlok* – *chaderlok*, *hamster* – *chamster*, *harboły* – *charboły*, *hasie* – *chasie*, *hasiok* – *chasiok*, *hatrusić sie* – *chatrusić sie*; tylko w tych wyrazach, gdzie było i jest do dziś w innych językach słowiańskich „g”, u nas musi być „h”, np. używana do dziś na Śląsku *ganba* – w języku ogólnym *hanba*).

Wracając zaś do pary wyrazowej *Hitze* – *hica*, trzeba powiedzieć, że należy ona do typowego ciągu substytucyjnego, w którym wygłosowemu niemieckiemu „e” odpowiada nasze „a”: *Hitze* – *hica* jak *Kerze* – *kerca* „świeca”, *Gardine* – *gardina* „firanka”, *Glatze* – *glaca* „łysina”, *Hexe* – *heksa* „jędza, wiedźma, czarownica, złośliwa kobieta”, *Apfelsine* – *apelzina* „pomarańcza”, *Pille* – *pila* „pigulka”, *Tomate* – *tomata* „pomidor”, *Tasche* – *tasza*, *tasia* „torba”, *Weste* – *westa* „kamizelka”, *Sosse* – *zółza* „sos”, *Liebste* – *libsta* „narzeczona, kochanka”, *Halbe* – *halba* „pół litra”, *Buechse* – *biksa* „puszka”, *Blase* – *blaza* „dętka, pęcherz”, *Schnitte* – *sznita* „kromka”, *Kette* – *k (i) eta* „łańcuch, naszyjnik”, *Kruecke* – *kryka* „łaga, laska”, *Kase* – *kyjza*, *kejza* „ser”, *Strecke* – *sztreka* „odcinek, trasa, szlak, droga, tor kolejowy”, *Welle* – *wela* „fala, lok”, *Binde* – *binda* „bandaż, opaska, przepaska”, *Pflaume* – *flauma* „śliwka”, także pogardl. „dziewczyna”, *Ziege* – *cyga* „koza”, *Geleise* – *glajza* „tor, szyna”, *Grube* – *gruba* „kopalnia”, *Laube* – *lauba* „weranda, przedsionek, domek w ogródku, podcien”, *Hebamme* – *hebama* „położna”, *Pistole* – *pistola* „pistolet”, *Platzpatrone* – *placpatrona* „kapiszon”, *Mitte*, *Miete* – *mita* „środek”, „czynsz”, *Muetze* – *myc (k) a* „czapka”, *Karre* – *kara* „taczka”, *Kiste* – *kista* „skrzynia”, *Kappe* – *kapa* „szpic buta”, *Matratze* – *madraca* „materac”, *Zigarette* – *cygareta* „pa-

pieros”, *Decke* – *deka* „sufit, powała”, *Brieftasche* – *briftasza* „portfel”, *Spritze* – *szpryca* „zastrzyk”, *Terrine* – *terina* „waza”, *Tuete* – *tyt (k) a* „torba papierowa”, *Tinte* – *tinta* „atrament”, *Fahne* – *fana* „chorągiew, sztandar”, *Baumwolle* – *baumwola* bawełna”, *Jacke* – *jakła* „marynarka, rozpinany sweter”. To z całą pewnością jedna z najliczniejszych grup zapożyczeń morfologicznych gwar śląskich.

Par substytucji (odpowiedności) niemiecko-polskich przywołać można wiele. I tak np. wyrazy z wygłosowym –*ung* przyswajaliśmy z zamianą tej części na –*unek*, w której w dodatku po polsku gubimy „e” w odmianie: *Rechnung* – *rachunek*, *Meldung* – *meldunek*, *Schaetzung* – *szacunek*, *Werbung* – *werbunek*, *Ordnung* – *ordunek*, *ordnynek* (por. *Ordunek Gorny* z r. 1528 wydany przez księcia opolskiego Jana II Dobrego i księcia karniowskiego Jerzego Pobożnego Hohenzollerna-Ansbacha dla gwarków tarnogórskich, regulujący warunki pracy i płacy w kopalniach srebra i ołowiu; także początek „Katowickiej ballady” Aleksandra Baumgardena poświęconej bohaterom harcerzom katowickim z września 1939 roku: „W Katowicach na rynku stoją chłopcy w ordynku, stoją chłopcy, harcerze, panienki, karabiny im ciążą, a z zachodu z Załęża idzie echo wrześnieowej piosenki”).

Kolejna niemiecko-polskia para substytucyjna to –*er*: –*ar*-, np. *Kerbe* – *Karb*, *wert* – *wart*, *Vorwerk* – *folwark*, *Gewerk* – *gwarek*. Ostatni zaś przykład odkrywa jeszcze jedną prawidłowość w morfologicznych relacjach niemiecko-polskich, a mianowicie *ge-*: *g-*, bo nie tylko *Gewerk* – *gwarek*, ale i *Gemeinde* – *gmina*, *Gewinde* – *gwint*, *Gewalt* – *gwalt*.

Ład i porządek w odpowiednościach panuje także w nazwach miejscowych: *Kreutzburg* – *Kluczobork*, *Marienburg* – *Malbork*, *Frauenburg* – *Frombork*. Niemieckiemu członowi – *burg* konsekwentnie odpowiada polski –*bork*.

19 maja zmarła aktorka teatralna i filmowa
STANISŁAWA ŁOPUSZAŃSKA

Zdjęcia: z archiwum Aktorki



Sława nie umiera

MARIA SZTUKA

Ta wiadomość musiała kiedyś nadejść, choć wszystkim nam się wydawało, że Stanisława Łopuszańska nigdy nas nie opuści. Wielka aktorka, wielka dama, wielki człowiek. Kiedy przed rokiem przygotowywałam się do wywiadu z niezwykłą warszawianką, która przed półwieczem zadomowiła się w Katowicach stając się chlubą śląskich i zagłębiowskich scen, nie przypuszczałam, że nie będzie to zapis rozmowy, ale... tekst jubileuszowy. Na spotkanie umawialiśmy się przez kilka miesięcy, ale ciągle coś stawało na drodze. A to nagły wyjazd pani Sławy do Warszawy, to

znów zbyt wielkie upały, a kiedy już prawie byliśmy umówione na „sto procent”, niespodziewana niedyspozycja aktorki przekreślała nadzieję na wywiad.

W zamian jednak toczyłyśmy długie rozmowy telefoniczne. Niemal o wszystkim, nie wyłączając kapryśnej pogody, na którą pani Sława była szczególnie wrażliwa. Niecierpliwie czekała na telefon po każdej premierze, od Gliwic po Częstochowę i Bielsko. Wszystkie teatry były bliskie jej sercu. Takie recenzje „na gorąco” stały się w ostatnich latach naszą tradycją, ponieważ pani Sława coraz rzadziej bywała na premierach. Do-

jazd na Ligotę w późnych godzinach nocnych nastęrczał jej wiele problemów a nade wszystko nie chciała nikogo obciążać swoją osobą. Ależ potrafiła się cieszyć, kiedy spektakl okazywał się być sukcesem. Była nocnym markiem, tak jak ja, najczęściej więc rozmawialiśmy późnymi wieczorami. Miała niezwykłą pamięć. O przedstawieniach, które zapadły jej w pamięć (a było ich wiele) wiedziała wszystko – kto reżyserował, kto projektował kostiumy, kto wymyślił scenografię, kto w jaką postać się wcielił. Nie przypominam sobie, aby o kimkolwiek powiedziała coś złego. Ponieważ była perfekcjonistką, niezwykle szanowała pracę innych, wiedziała, że aktor na scenie daje z siebie wszystko, a jeśli coś mu nie wyszło tak, jakby można było oczekiwać... najchętniej obwiniałaby za to siły nieczyste, ale z pewnością nie aktora czy reżysera.

Ostatecznie nie spotkałyśmy się, choć te nasze godzinne rozmowy okazały się niezwykle cenne, nie mówiąc już o materiałach, recenzjach, zdjęciach archiwalnych, fragmentach wspomnień, które pani Sława przesyłała mi pocztą grzecznościową na portiernię Teatru Śląskiego. Kiedy artykuł był już prawie gotowy, pewnego wieczoru, podczas kolejnej naszej żarliwej dyskusji teatralnej, tym razem o „Czarnym ogrodzie” w Teatrze Śląskim, wariacji scenicznej na motywach powieści Małgorzaty Szejnert, w reżyserii Jacka Głomba (nie wybaczyla mi, gdybym nie podała tych nazwisk), pani Sława dodała mimochodem – *nie wiem, czy to jest ważne, ale przyznam, że spotkała mnie w tym roku duża przyjemność. Dostałam list od prezesa Związku Artystów Scen Polskich Olgierda Łukaszewicza z gratulacjami z okazji jubileuszu 70-lecia pracy scenicznej. Nie mogła wyjść z podziwu... że też pamiętali.*

Taka była właśnie Stanisława Łopuszańska. Setki ról w teatrach, począwszy od Częstochowy, gdzie trafiła w tułaczęj podróży po upadku Powstania Warszawskiego i gdzie zadebiutowała w 1945 roku *Modlitwą* z „Kwiatów polskich” Juliana Tuwima w Teatrze Miejskim, później sceny w Kielcach, Bielsku-Białej, Wrocławiu, Poznaniu, Gdańsku, Opolu, Katowicach... Znakomite kreacje filmowe, m.in. w „Diable” – przeniesionej na duży ekran noweli Guy de Maupassanta wyreżyserowanej przez Tomasza Szafrąńskiego, *Złote Maski* (za rolę *Dutkowskiej* w „Lamencie” M. Chorońskiego, *Eugenii* w „Tangu” S. Mrożka), medal „Zasłużony Kulturze Gloria Artis”... to wszystko wydało jej się jednak zbyt mało, aby zasłużyć sobie na pamięć o jubileuszu. Nie oczekiwała hucznego benefisu, pewnie dlatego, że kobiet, a dam szczególnie, o wiek nikt nie pyta, a siedem artystycznych dekad stawało się aż nazbyt wymowne. Nie mogłam jednak tej wręcz sensacyjnej rocznicy pominąć milczeniem, na szczęście nie miała mi tego za złe. Przeciwnie, była zadowolona z przypomnienia ról, w których za-

pewne publiczność śląska nie miała okazji jej oglądać, a było ich tak wiele, warto przywołać chociażby *Solange* w „Lecie w Nohant” J. Iwaszkiewicza (Teatr Polski Ośrodka Bielsko-Cieszyn), *Ruth* w „Seansie” N. Cowarda (Teatr Popularny we Wrocławiu), *Marikę* w „Niemcach” L. Kruczkowskiego, *Ismenę* w „Fedorze” J. Racine’a (Teatr Polski w Poznaniu), tytułową *Balladynę* J. Słowackiego, *Księżniczkę Eboli* w „Don Carlosie” F. Schillera (Teatr Ziemi Opolskiej)... Niezapomniana, wspomniała *Alice* („Wszystkie dni, wszystkie noce” M. Garpe, Teatr Bez Sceny) była efektem doświadczeń warsztatowych wszystkich tych postaci.

W poszukiwaniu swojego miejsca podróżowała niemal po całej Polsce. Opolski przystanek okazał się zarówno dla Stanisławy Łopuszańskiej jak i jej męża Eugeniusza Ławskiego miejscem szczególnie. Znudzeni huśtawką repertuarową utworzyli tam... własną instytucję: „Teatr 13 Rzędów”, pierwszą tego typu scenę w Polsce. Zaczynali skromnie od wieczorów poetyckich i montażi literackich, aby wreszcie 16 maja 1958 r. premierą sztuki „Freuda teoria snów” Antoniego Cwojdzńskiego w reżyserii Stanisława Igara zainaugurować działalność prawdziwego teatru, który krytycy ocenili jako ciekawy eksperyment i próbę szukania nowych form pracy. W niepokornym teatrze zapachniało awangardą, co niestety nie wszystkim się podobało, nic więc dziwnego, że wkrótce w „13 Rzędach” zagościł komornik. Sen o własnym teatrze zakończył się wiosną 1959 r., jego kierownictwo przejęli wówczas Jerzy Grotowski i Ludwik Flaszen... ale był to już zupełnie inny teatr.

Po Opolu przyszedł czas na kolejny przystanek. Tym razem były to Katowice, jak się później okazało dla Stanisławy i Eugeniusza Ławskich była to stacja końcowa. Ligota stała się bazą wypadową na sceny w Katowicach, Sosnowcu, Chorzowie, Gliwicach, a także do filmu i seriali telewizyjnych. Już nie szukała kolejnych przystanków, po śmierci ukochanego męża, którego pochowała na panewnickim cmentarzu, wiedziała, że Śląska już nie opuści, choć ucieczek do rodzinnej Warszawy, miasta uwielbianego nigdy nie zaprzestała. Wracała stamtąd z zapasem nowych sił, gotowa do najwyższych wyzwań. Dla Sławy Łopuszańskiej żadna rola nie była mniej lub bardziej ważna. Do najmniejszego nawet epizodu przygotowywała się z najwyższą starannością, czytała, szperała, zgłębiała konteksty, wchodziła w rolę z bagażem doświadczeń życiowych swoich bohaterów. Książki pochłaniała, z uwagą czytała anglojęzyczne dramaty w oryginałach. Uwielbiała nowoczesny teatr, nie stroniła od eksperymentów, z uwagą a nawet podziwem śledziła poczynania Krzysztofa Warlikowskiego i póki sił starczyło, jeździła wszędzie, gdzie w teatrze działo się coś ważnego, bez tego nie wyobrażała sobie życia.



Foto. A Smetaniński

Księżniczka Eboli w „Don Carlosie” F. Schillera, Teatr Ziemi Opolskiej, 1957

* * *

20 maja, piątek. Kiedy w słuchawce rozległ się głos Reny Rolewicz-Juraszowej (przyjaciółki pani Sławy „od zawsze”), wiedziałam, że za chwilę usłyszę wiadomość, której tak bardzo usłyszeć nie chciałam. Jednak Rena nie pozostawiła mi złudzeń: *Staszka umarła przed północą*.

Miesiąc po swoich urodzinach zmieniła teatr, tym razem na niebiański, wieczny i nieskończony...

Na fanpage`u Stanisławy Łopuszańskiej wczesnym rankiem pojawił się poruszający wpis Marty Fox, serdecznej przyjaciółki, i jak obie potwierdzały, ukochanej przybranej córki pani Sławy:

Umarłam przed północą.

Nareszcie.

Bo cóż to za życie,

w którym nie ma życia.

I w którym siły już nie ma,

by zagrać ostatnią rolę z dbałością o każdy gest.

A potem wstać

i skłonić się przed publicznością,

moją ostatnią nagrodą.



Foto. Krzysztof Lisiański

Albertyna w „5 razy Albertyna”, Teatr Śląski, 2010

24 maja pożegnaliśmy Wielką Damę polskiego teatru, spoczęła obok męża na panewnickiej nekropolii.



Wojciech Różak, dyrektor festiwalu Dni Muzyki Organowej w Gliwicach

Organowa mapa świata

MAREK LYSZCZYNA

Gliwicki festiwal Dni Muzyki Organowej, który odbywał się w tym roku już po raz dwudziesty siódmy, to okazja do zapoznania się ze spektrum organowego instrumentarium nie tylko Gliwic, ale całego Górnego Śląska. Choć na festiwal składają się nie tylko solowe recitale organowe, to bez wątpienia stanowią one rdzeń tego przedsięwzięcia. W tym roku, tradycyjnie już koncert otwarcia oraz zamknięcia festiwalu wypełniła muzyka kantatowo – oratoryjna, pozostałe dni mogliśmy usłyszeć wielu znanych solistów, takich jak Florian Pagitsch czy Sebastian Adamczyk.

Przed jednym z koncertów poprosiłem Wojciecha Różaka, dyrektora festiwalu, aby opowiedział o historii instrumentów, które mogliśmy usłyszeć podczas tegorocznej edycji festiwalu. Rozmowę odbyliśmy w gliwickiej katedrze, a rozpoczęliśmy ją od opowieści o historii znajdujących się w niej organów. – *Instrument tutejszej katedry pod wezwaniem św. Apostołów Piotra i Pawła został zbudowany przez gliwicką firmę Ernsta Kurzera. Był to wówczas instrument dwumannualowy – mówi Wojciech Różak. W 1935 roku rozbudowała go firma Gebrüder Ruger Siegendorf. Pierwsza substancja tych organów była typowo postromantyczna, natomiast ich rozbudowa nastąpiła w duchu Orgelbewegung. Był to ruch, który narodził się podczas zjazdu organologów we Freiburgu im breisgrau w 1927 roku. Sprecyzowano wówczas pewne założenia estetyczne w zakresie budowy instrumentów. W skrócie chodziło o powrót do wzorców neobarokowych. Romantyczne, ciemne brzmienie próbowano rozjaśnić poprzez dolożenie nieco jaśniejszych brzmień miksatur i głosów wysokostopowych. I właśnie w takiej, niemal nienaruszonej postaci, ten instrument funkcjonuje do dnia dzisiejszego.*

W tym roku, wzorem lat ubiegłych, koncerty organowe odbywały się w trzech gliwickich kościołach. Oprócz wspomnianej już katedry, melomani wysłuchać mogli instrumentu w kościele pod wezwaniem Św. Bartłomieja. – *Znajdujące się tam organy to instrument zbudowany przez Paula Berschorfa z Nysy – precyzuje dyrektor festiwalu. Instrumenty te są typowymi instrumentami postromantycznymi, o ciemnej barwie brzmienia. Dopiero syn Paula Berschorfa, Carl, budował organy w zupełnie innym stylu, a był to czas, kiedy rozpowszechniły się idee powstałe podczas wspomnianego zjazdu organologów we Freiburgu. Jego instrumenty także znajdują się w Gliwicach, na przykład w kościele pod wezwaniem św. Antoniego oraz pod wezwaniem Chrystusa Króla. Niestety nie możemy z nich skorzystać, choć byłoby to moim wielkim życzeniem. Przyczyna jest bardzo prozaiczna – ich stan techniczny nie spełnia wymogów instrumentu koncertowego – dodaje Wojciech Różak.*

Kilka chwil uwagi poświęciliśmy w trakcie naszej rozmowy instrumentowi znajdującemu się w kościele pod wezwaniem Wszystkich Świętych, w którym zazwyczaj odbywa się koncert inauguracyjny. – *Nad tym instrumentem zaciżył jakiś zły omen. Został oddany do użytku w 1944 roku, kiedy wojna wchodziła już w końcówkę, najtrudniejszą fazę. Wiązało się to z likwidowaniem zakładów przemysłowych, co odbiło się również na budowie tego instrumentu. Mimo iż jego koncepcja była bardzo przemyślana, musimy sobie zdać sprawę, jakie były używczas trudności z jego budową, bo musiano używać materiały zastępcze. Nawet kontuar, czyli stół gry, w dokumentach był wymieniany jako zastępczy. Przez wiele lat, a wiadomo, że prowizoryczne rozwiązania są*

najtrwalsze, próbowano go reanimować i poprawić tak, aby mógł funkcjonować wedle pierwotnych założeń. Wszystkie te próby kończyły się fiaskiem, a na dodatek w latach siedemdziesiątych doszło do pożaru kościoła. Cały zespół sterujący pierwszego manualu spłonął. Dopiero przed dwoma, trzema laty został zmieniony stół gry. Reszta czeka na lepszy czas, gdy będzie można ten piękny, ale wymagający wielkiego nakładu pracy i czasu, instrument przywrócić do takich założeń, w jakich miał być zbudowany, ale nigdy nie było mu dane – podsumowuje Wojciech Różak.

Tegoroczna edycja była jednak szczególna z jeszcze jednego względu – bohaterem recitali Wojciecha Różaka oraz Sebastiana Adamczyka był bowiem Feliks Nowowiejski, którego z racji 70. rocznicy śmierci, Sejm RP uczynił jednym z patronów roku 2016. Wojciech Różak tak skomentował znaczenie tego kompozytora dla polskiej organistyki: – *Feliks Nowowiejski to postać niezwykła – przyszedł na świat na ówczesnej Warmii w miejscowości Wartembork, obecnie nazywanej się Barczewo. Uczęszczał do szkoły w Świętej Lipce, gdzie znajdują się przepiękne organy. Później kształcił się na Zachodzie, między innymi w słynnej szkole muzyki kościelnej w Ratyzbnie oraz w berlińskiej Królewskiej Akademii Talentów, której szefował sam Max Bruch. Dlaczego staramy się podkreślić i niejako wydobyć z zapomnienia tego kompozytora? Przede wszystkim wiele spośród jego kompozycji jeszcze nie ukazało się drukiem. Wykonane podczas tegorocznej edycji festiwalu *In paradisi*um zostało zagrane z mikrofilmów, choć akurat ta kompozycja została dwukrotnie wydana. Chcielibyśmy tę postać przybliżyć przeciętnemu słuchaczowi, który kojarzy go wyłącznie z kompozycją *Roty*, napisanej na 500 – lecie bitwy pod Grunwaldem, nota bene wykonanej podczas uroczystości odsłonięcia pomnika w Krakowie pod dyktando samego kompozytora.*

Gliwicki festiwal jest bez wątpienia unikatową i cenną inicjatywą, nie tylko w naszym regionie, ale w tej części Europy. Jego pierwszą edycję zorganizował właśnie Wojciech Różak, który od 27 lat pełni funkcję dyrektora, a jednocześnie jest organistą w kościele pielgrzymkowym Matki Bożej z Lourdes w Zurychu. Tak wspomina początki festiwalu: – *Pierwsza edycja Festiwalu odbyła się w 1990 roku i była bardzo spontaniczna – jak wiele rzeczy wówczas w Polsce. Był to czas zmian, a nam z pomocą przysłała agencja artystyczna „Silesia” z Katowic, dzięki czemu festiwal mógł zaistnieć. Wówczas krąg wykonawców był zawężony do środowiska katowickiego. Od drugiej edycji rozpoczęliśmy współpracę z Towarzystwem Przyjaciół Gliwic, wtedy też pojawił się pierwszy gość z zagranicy. Małymi krokami staraliśmy się stworzyć jak najszerszą ofertę dla publiczności, i dzisiaj festiwal funkcjonuje w takiej formie: inauguracyjny i finałowy koncert to muzyka kantatowo – oratoryjna, a środek programu wypełnia to, co jest sednem festiwalu – muzyka organowa i recitale solowe. Niestety, wszelkie zamysły są weryfikowane przez finanse. Niezmiennym elementem jest również wyścieszka szlakiem górnośląskich organów, która cieszy się wielką popularnością. Jej idea jest pokazanie najciekawszych instrumentów w całym regionie. Prawie zawsze prowadzi ją prof. Julian Gembański. Od pewnego czasu częścią Festiwalu są również koncerty promocyjne studentów, które mają zapewnić im dobry start i pozwolić im się pokazać w dobrym towarzystwie najlepszych europejskich wykonawców muzyki organowej.*

Wspaniałym osiągnięciem grupy pedagogów i studentów Instytutu Muzyki Wydziału Artystycznego UŚ w Cieszynie było doprowadzenie do tego, iż w samym sercu Wiednia, w katedrze Świętego Stefana, 13 maja bieżącego roku zabrzmiała muzyka trzech pokoleń kompozytorów śląskich, którzy żyli w XX wieku. Pomysłodawcą koncertu i jego „siłą sprawczą” był Hubert Miśka, a wystąpili wiolonczelistka Urszula Mizia, skrzypek Adam Wagner, organista Tomasz Orłow oraz Uniwersytecki Chór „Harmonia” pod dyrekcją Izabeli Zieleckiej-Panek. Stosowną prelekcję wygłosił Zenon Mojżysz. Głównym organizatorem przedsięwzięcia była polska ambasada w Wiedniu.

Koncert nosił tytuł *Sztwiertnia neu entdeckt* (Nowo odkryty Sztwiertnia), jego to bowiem utwory stanowiły dominantę koncertu. Należy dodać, że z podobnym programem cieszyńscy muzycy wystąpili we wrześniu ubiegłego roku w Sankt Georgen w Austrii – miejscowości leżącej w pobliżu obozu koncentracyjnego Mauthausen-Gusen, by uczestniczyć w przygotowanych przez Parafię Ewangelicko-Augsburską w Wiśle uroczystościach upamiętnienia więzionych i zamęczonych tam polskich ewangelików. Uroczystość zbiegła się z obchodami 75. rocznicy śmierci Jana Sztwiertni, w czasie których w Memoriale w Gusen odsłonięto tablicę upamiętniającą kompozytora i polskich ewangelików.

Z twórczości Sztwiertni słuchaczom zgromadzonym w Stephansdom (a byli wśród nich przedstawiciele korpusu dyplomatycznego, łącznie z polskim ambasadorem Arturem Lorkowskim, oraz władz kościelnych) przedstawiono *Modlitwę* i *Cantabile* na wiolonczelę i organy i dwie pieśni chóralne (*Cosik w lesie* i *Psalm 23*. „*Pan jest moim pasterczem*”). Cieszyński twórca został też zaprezentowany poprzez rekonstrukcje i parafrazy autorstwa Tomasza Orłowa – wykonał on improwizowaną *Introdukcję* i *Passacaglię c-moll* „w stylu Sztwiertni”, *Romantyczną fantazję na tematy Sztwiertni* oraz zrekonstruowaną przez siebie na podstawie rękopisu pięcioczęściową *Symfonię organową*. Drugą połowę programu wypełniły dzieła kompozytorów śląskich repre-

Między nutami

MAGDALENA DZIADEK

Muzycy śląscy w Wiedniu

zentujące bliską Sztwiertni duchowość – religijną i „ojczyźnianą”: pieśń chóralna Jana Gawlasa *Szumi dolina*, dwa skrzypcowe *Romanse* Jana Podoli (urodzonego w 1933 roku kompozytora i organisty, ucznia Karola Hławiczki), pieśń *Mój Ojciec* Szymona Godziemby Trytka (bielszczanina rocznik 1888, niedawnego absolwenta Akademii Muzycznej w Bydgoszczy w zakresie kompozycji) oraz Józefa Świdra pieśni *Lux perpetua*, *Pater noster* i *Cantus gloriosus*.

Koncert wiedeński był wielkim sukcesem cieszyńskich instrumentalistów, chórzystów i kompozytorów. W pewnym sensie także tych nieżyjących. Wykonania utworów Sztwiertni w sercu Austrii można bowiem traktować jako symboliczne dopełnienie jego losu. Gdyby przeżył wojnę, z pewnością osiągnąłby sukces na skalę (co najmniej) środkowoeuropejską, dołączając do kompozytorskiej elity. Chociaż, z drugiej strony, można by się zastanowić, czy mógłby trafić do Wiednia? Kilkanaście lat starsi od niego koledzy z grona muzyków cieszyńskich, którzy osiągnęli dorosłość jeszcze przed pierwszą wojną światową: Karol Hławiczka czy Władysław Macura wybrali Wiedeń już



na miejsce studiów, podążając tropami mas inteligentów z terenów podległych Habsburgom, szukających dla siebie miejsca w stolicy. Sztwiertnia dorósł już w wolnej Polsce, a ta zaopiekowała się nim według własnego programu, proponując mu wyjazd stypendialny do Paryża, oczywiście do Nadii Boulanger, nauczycielki zastępów kompozytorów ze wschodniej Europy i Stanów Zjednoczonych. Z Paryża wróciłby nasz dzielny twórca do kraju jako zdeklarowany neoklasyk, zapewne wielbiciel Strawińskiego. Gdyby jednak wybrał Wiedeń, albo Pragę? W tym ostatnim mieście spotkałby grupę niezwykle aktywnych rówieśników – czeskich Żydów, którzy poszukiwali własnych środków wyrazu poza dwoma skrajnymi kierunkami: epigoniczną postacią późnoromantycznego kierunku Mahlerowskiego, jak i dodekafoniczną awangardą. Od Strawińskiego i Bartóka przeszli upodobanie do ekspozowania rytmu, od Niemców Schulhoffa i Weilla przyzwolenie na włączanie do muzyki elementów jazzu i muzyki popularnej. Pisali muzykę, którą można by określić słowami berlińskiego socjologa muzyki Christiana Kadena jako „zarówno łatwą, jak i poważną”. Jak by wyglądała historia muzyki XX wieku, gdyby owi młodzi czescy Żydzi: Pavel Haas, Hans Krása, Victor Ullmann, Walter Süsskind nie zakończyli, jak Sztwiertnia, przedwcześnie życia w nazistowskich obozach koncentracyjnych? Dziś z pewnością nazwiska ich figurowałyby w podręcznikach historii muzyki w rozdziale „prekursorzy postmodernizmu”. Podstawowym kontekstem (na razie skromnego) renesansu muzyki wymienionych twórców, a także naszego Sztwiertni, jest odczuwana dziś przez twórców kultury potrzeba uporania się ze słynnym pytaniem Adorna: „czy możliwa jest kultura po Auschwitz?”. Ów renesans może także poważnie przyczynić się do zmiany perspektywy, z której powszechnie „ogłada się” muzykę XX wieku, jako arenę walki pozostałości romantycznych z awangardą. Pomiedzy skrajnościami rozciąga się bowiem „trzeci świat” muzyki obywatelskiej się zarówno bez szcudeł, jak i miecza – świat muzycznej normalności. Takiej, jaka jest w muzyce Sztwiertni.



Las powraca do... natury

JOLANTA KARMAŃSKA

Beskidzkie lasy iglaste coraz szybciej zmieniają swoją szatę. Na bardziej liściastą. Powracają do swoich korzeni prastarej Puszczy Karpackiej, w której przez wieki rosły głównie jodły i buki. I świerczyny. W mniejszości. Do czasu, aż człowiek zaczął brutalnie zmieniać scenariusz leśnej przyrody.

Widać to wyraźnie po słabnącej kondycji tych lasów. Po wielokroć rąbane i sadzone od nowa, w czasach nam współczesnych przebudowywane i ratowane, bezustannie wymagają pomocy i szczególnej pielęgnacji. Ich powrót do natury poprzez m.in. wymianę gatunków leśnych drzewostanów, wymuszaną przez samą przyrodę, jest ostatnią szansą, by mogły trwać dalej.

Dzisiejszy las beskidzki zachwyca i poraża jednocześnie tych turystów, którzy nie bywają tu często. Można w nim zobaczyć z bliska i z oddali, często obok siebie, okazałe, zielone świerczyny i ponure puste gniazda z powalonymi kikutami i pniakami po wycince drzew z kornikiem i po innych klęskach. Ogromne enklawy martwych, suchych, jałowych drzewostanów, ale i soczyste młodniki, nowe posadzenia pod starymi świerczynami. I one nadal są cenne, bo pod swoimi okapami chronią kolejne pokolenia leśne.

To dziś typowy krajobraz beskidzkiego lasu, który od kilkudziesięciu lat jest w przebudowie. Mocno w ostatnich latach przyspieszanej. Z wielu powodów. M.in. osłabienia go zanieczyszczeniami przemysłowymi; zniszczenia biologii leśnej gleby

i rozprzestrzenienia się w niej patogenicznego grzyba – opieńki miodowej, niszczącej korzenie drzew; ocieplania się klimatu, zabójczych susz dla świerczyn w okresie wegetacyjnym; nasilenia się huraganów i niepohamowanych ataków szkodników owadzi. W rezultacie gradacji kornika drukarza, który przypieczerował wyrok na monokulturowy las świerkowy.

Nie był to atak przypadkowy. W ten sposób przyroda gwałtownie skorygowała wszystkie, nieświadomione na przestrzeni wieków błędy hodowlane, popełnione wobec lasu w Beskidach. Mówi o tym jego historia. Karczowany w nadmiarze przez plemiona wołoskie w XIV i XV wieku pod pastwiska, hale, łąki jakoś trwał. Dopiero naruszenie równowagi i struktury gatunkowej składu jego drzewostanów, ge-

netycznie związanych z Puszczą Karpacką, zaważyło mocno na przyszłości tego lasu.

Rozwijający się w XIX wieku przemysł hutniczy i górniczy potrzebował dużo drewna. Zaczęto więc sadzić na wykarczowanych przestrzeniach i zrębach szybko rosnące świerki. Z nasion obcego pochodzenia, bo rodzimych brakowało.

Tylko w latach 1860-1880 przybyło tysiące hektarów nie lasu, lecz upraw świerkowych. Jednowiekowych i jednopiętrowych. Świerk ostatecznie zdominował lasy Beskidu Śląskiego i Żywieckiego. Na większości ich powierzchni było go od 70 – 98 procent! Jeszcze całkiem niedawno w składzie gatunkowym lasów wiślańskich – udział świerka wynosił aż 95 procent, w ustroniskich – 90 procent! Według dzisiejszej wiedzy naukowej, nie powinien on przekraczać granicy 35 – 40 procent!

Świerk w odwrocie

Taki monokulturowy las świerkowy, choć dochował się również imponujących okazów z rodzimych nasion (dorodnych świerczyn istebniańskich) rosnący w nieprzyjaznym mu środowisku, nie mógł być nieśmiertelny. W połowie minionego wieku osaczony cywilizacją z całą bezwzględnością odsłonił swoją słabość. Nie potrafił się obronić przed zanieczyszczeniami, urbanizacją górskich terenów, nadmierną turystyką, grzybami patogenicznymi, inwazjami szkodników owadzi: zasnują i zawodnicą, które czyniły spustoszenia w aparacie asymilacyjnym drzew. Ani tym bardziej przed kornikiem. Ten owad rozpoczął eliminowanie świerczyn z narzuconego beskidzkim lasom składu jego drzewostanów.

Sztucznie sadzone, osłabione świerczyny pozbawione były zakodowanej w genach siły przetrwania, aktywistej w naturalnych dla siebie siedliskach. Mimo to, sadzono je dalej. I dalej pozyskiwano ich drewno metodą zrębów zupełnych, pozostawiając niemal puste pola do zagospodarowania świerczynami od nowa! Przy narastających zagrożeniach, kondycja takiego lasu nie mogła być dobra.

W takich warunkach kilkadziesiąt lat temu śląscy leśnicy rozpoczęli przebudowę zagrożonych drzewostanów. Najwcześniej, bo już w latach 50. ub. wieku w lasach ówczesnego Nadleśnictwa Andrychów, gdzie opieńka miodowa dosłownie „wykosiała” dawniej sadzone świerczyny obcego genotypu. Zastąpiono je bukiem, jodłą, jaworem czyli pierwotnymi gatunkami Puszczy Karpackiej i tylko z domieszką rodzimego świerka, który rośnie do dziś. Ten kierunek przebudowy lasu, wspierany przez leśną naukę, obowiązuje nadal.

Problemem pozostaje czas, jaki mają obecnie do dyspozycji leśnicy na przebudowę lasu, wpisaną w scenariusz beskidzkiej przyrody. Zanim, spowodowane ocieplaniem się klimatu plagi lasu im w tym przeszkodzą.

Tak mogło się stać, gdy osłabione beskidzkie świerczyny nawiedziła w niespotykanej skali gradacja kornika – drukarza.

Ten szkodnik, nie jest, jak się powszechnie uważa, bezwzględny zabójcą drzew leśnych. Jest równocześnie sanitariuszem natury. Eliminuje z niej wszystko to, co

Foto. Michał Chojecki



Gniazdo pokłeskowe na szczycie Skrzycznego (1257 m. n.p.m.), gdzie warunki są najtrudniejsze



Leon Mijał, nadleśniczy Nadleśnictwa Ustroń przybliżył dziennikarzom metody przebudowy drzewostanów beskidzkich



Andrzej Pilot, prezes WFOŚ i GW w Katowicach, mówił o finansowym wspieraniu leśnych projektów i edukacji

w niej chore, obce i nie przystosowane do siedliska. Pojawia się w lasach w tzw. cyklu gradacyjnym, średnio co 150 lat. Jest zatem nieodłącznym elementem leśnego ekosystemu.

Leśnicy tak to tłumaczą: kornik, który towarzyszy świerczynom od zawsze, jest szkodnikiem wtórnym. Wkracza na żerowisko wówczas, gdy z innych powodów drzewo jest już osłabione. Dlatego nie boi się, że drzewo go zaatakuje. Nie doprowadza więc do zagłady świerka, który jest jego żywicielem. Bo sam by zginął.

O rozpadzie czy trwaniu każdej formacji roślinnej decyduje cały ekosystem lasu. Człowiek z naturą nie wygra. Kornik w lasach beskidzkich tylko dokończył dzieła nieuchronnego rozpadu coraz słabszych świerczyn. Jego zabójczą gradacją można porównać do wielkiej powodzi, która przerywa wały. Gdyby pół wieku temu leśnicy pozostawili chore świerczyny przyrodzie i nie rozpoczęli przebudowy lasu, dziś by świerka w Beskidach w ogóle by nie było. Ostatni, kłeskowy atak kornika tej przebudowie przeszkodził. Stawką walki z nim było więc ograniczenie jego liczebności (całkowicie wyeliminować go nie można!) i spowalnianie rozpadu drzewostanów świerkowych. Po to, by zyskać kilka lat czasu na dalsze odnawianie lasu, lepsze przystosowywanie go do siedliska i do zmian klimatu.

Śląscy leśnicy, wspierani przez naukę, zyskali ten czas. W każdym z beskidzkich nadleśnictw świerka znacząco ubywa. Na coraz większych połaciach rosną już lasy bardziej mieszane, różnowiekowe, odporniejsze na niekorzystne zjawiska i kłeski. Adaptują się lepiej do ocieplania się klimatu i korzystnych dla struktury lasu zmian, które wymusił właśnie kornik.

Przebudowa trwa

I przyśpiesza. Widać to gołym okiem w lasach wiślańskich, w których szybko i korzystnie zmieniają się proporcje gatunkowe drzewostanów: świerk nie przekracza 75 proc., wyraźnie przybyło buka (do 16 proc.) i jodły pospolitej z domieszkami, do ponad 10 procent. Będzie ich jeszcze więcej. Co roku sadzi się tu ponad 1,5 mln nowych sadzonek.

W leśnictwie Leśnica, największym w Nadleśnictwie Ustroń, które wcześniej

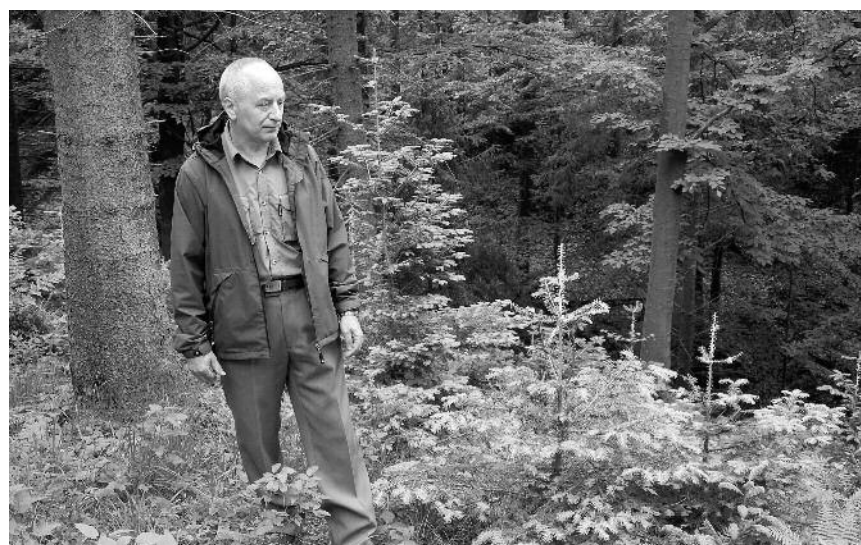
niż inne, zmierzyło się z rozpadem świerczyn, takie gatunki liściaste, jak buk, dąb, jesion, brzoza, olsza i inne ich domieszki przekroczyły magiczną granicę 51 proc. składu lasu. Iglaki, wśród nich świerk, sosna, ciepłolubna jodła, modrzew stanowią 49 procent drzewostanów.

Udało się też korzystnie ograniczyć liczebność szkodników owadzych. Bezustannie przybywa nie tylko buka i jodły. Wyraźnie obecny jest modrzew, jesion i jawor. Dalej też rosną ocalałe świerczyny. Pod ich okapami bezpieczniej kiełkuje i pnie się w górę nowy, rodem z mactecznika karpackiego, las. To nic, że sadzonki dębów trzeba ogradzać, a pędy jodły zabezpieczać specjalnym środkiem przed zwierzyną. Nowy, wielopiętrowy las radzi sobie coraz lepiej.

To budzi nadzieję. Chociaż miejscami np. na szczycie Skrzycznego porażają widoki leśnej zagłady, spowodowanej nie tylko przez zasnuję czy kornika, ale i inne naturalne żywioły, z huraganami na czele. Tu przebudowa lasu, ze względu na wysokość, warunki atmosferyczne i krótki okres wegetacyjny, trwa wolniej i jest znacznie trudniejsza. Ale udaje się!

Dziś na beskidzki, odnawiany zgodnie ze scenariuszami natury las trzeba patrzeć inaczej niż jeszcze choćby 20, 30, 50 lat wcześniej. Z troską i zrozumieniem dla jego wielkiej, konsekwentnej, choć trudnej czasem dla lokalnej społeczności, przebudowy. Zwłaszcza że efekty pracy leśników, wspieranych przez naukę, już widać po jego młodych, żywotnych pokoleniach. Są silniejsze i pewnie wkraczają na górskie stoki. Trzeba być cierpliwym. Dziś zagrożony las nie rośnie sam. Nie rośnie też szybko. Wymaga ogromnej wiedzy, pracy, bezustannej pieczy i społecznego wsparcia.

Te idee były tematem studyjnego wyjazdu dziennikarzy w ostatnich dniach maja br. do lasów beskidzkich. Jego organizatorem była Regionalna Dyrekcja Lasów Państwowych w Katowicach i Wojewódzki Fundusz Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej w Katowicach, wspierający finansowo najpotrzebniejsze leśne projekty oraz edukację ekologiczną, dedykowaną zarówno dzieciom jak i dorosłym. Lasy w Polsce są szeroko otwarte dla ludzi. Wszyscy zatem mamy niepisany obowiązek, by je poznawać, zrozumieć i wspierać, jeśli zajdzie taka konieczność. ■



Kazimierz Kawik, leśniczy z leśnictwa Leśnica dogląda swój odnowiony las z jodelkami



Dofinansowano ze środków Wojewódzkiego Funduszu Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej w Katowicach

W tym roku mija 70 lat działalności Biblioteki Miejskiej w Cieszynie. Przez ten długi czas przechodziła ona wiele różnych przeobrażeń – zarówno strukturalnych, jak i związanych z jej dodatkową aktywnością.

W ostatnich latach ewolucja działań kulturalnych realizowanych przez biblioteki przybrała wyraźny kierunek, związany z promowaniem nowoczesnych technologii. Wydawać by się mogło, że wszystko, co dotyczy upowszechniania wiedzy o komputerach, tabletach i Internecie, zostało już powiedziane, a szkoła w pełni przejmuje zadania w zakresie kształcenia IT. Jednak są w tej dziedzinie obszary wymagające uzupełniających działań edukacyjnych.

W cieszyńskiej bibliotece prowadzimy nietypowe zajęcia dla osób z biegunowych grup wiekowych – dla dzieci i młodzieży, jak również seniorów – różniących się od siebie w zasadzie wszystkim oprócz jednego – chęci poznawania świata.

Zapewne wielu z nas uważa, że młode pokolenie – oswojone z elektronicznymi gadżetami – jest już przygotowane do wejścia w cyfrowy świat i pełnego korzystania z jego dobrodziejstw. Niestety, tak nie jest. Umiejętność obsługi danego urządzenia nie jest jeszcze tożsama z posiadaniem kompetencji cyfrowych. Dlatego staramy się pokazać, że smartfon lub tablet uruchomiony na lekcji może służyć także do wyszukiwania odpowiedzi na pytania zadawane przez nauczyciela, a zyskujące na popularności aplikacje rzeczywistości rozszerzonej mogą dostarczyć dobrej zabawy. Często widzimy, jak dzieci instalują na swoich urządzeniach proponowane przez nas aplikacje, wymieniają się spostrzeżeniami na ich temat, emocjonują się czymś nietypowym, innym niż gry lub Facebook.

Prężnie i intensywnie zajmujemy się robotyką. Zajęcia z konstruowania i programowania własnych robotów cieszą się w naszej bibliotece niesłabnącą popularnością. Co więcej, organizujemy całonocne zmagania (Cieszyńska Noc Robotów), podczas których dzieci w wieku szkolnym zamieniają się na 8 godzin w nocnych inżynierów – sam bywam zdziwiony ich

B
Biblioteka Śląska

Z ŻYCIA
BIBLIOTEK



Zabawa robotami – sposób na naukę podstaw programowania

Biblioteka Miejska w Cieszynie

Roboty, mikroskop i kluski śląskie

wytrwałością, kiedy widzę, jak ośmiolatki bronią się przed zaśnięciem – aż do momentu przyjścia rodzica.

Roboty, którymi dysponujemy w naszej pracowni, są tym ciekawsze, że możliwa jest ich dowolna rozbudowa. Niejednokrotnie uczestnicy warsztatów po raz pierwszy w życiu używają śrubek, nakrętek i śrubokrętów. Oczywiście prace techniczne są tylko wstępem do programowania, kiedy to trzeba użyć całej potęgi swojej wyobraźni, tak aby stworzony program pozwolił na zwycięstwo w organizowanych cyklicznie walkach lub meczach robotów.

Komputer, Internet, urządzenia mobilne to słowa, które u jednych wywołują zachwyty, a u innych – panikę. Często bywa tak, że osoby ze starszego pokolenia nie mogą nadążyć za tempem zmian, przez co stają się cyfrowo wykluczone.

Dla seniorów mamy specjalną ofertę. Prowadzimy zajęcia na różnych poziomach zaawansowania, od osvajania się z komputerem po bankowość elektroniczną, ePUAP

i zakupy w sieci. Widok grupki seniorów z iPadem w rękę na rynku naszego miasta może być dla niektórych zaskakujący, ale jest nader częsty. Dodam tylko, że na samych chodzeniu z urządzeniem w rękę się nie kończy, bo robimy zdjęcia, przesyłamy je mailowo, kupujemy pendrive w Hongkongu czy też zamawiamy zabawkę dla wnuka w serwisie Allegro, co akurat znajduje odzwierciedlenie w nazwie organizowanych warsztatów – „Zaskocz wnuka”.

Zdjęcia: z arch. BM w Cieszynie

Ale wrómy raz jeszcze do dzieci. Zainteresowanie okolicznych szkół dodatkowymi zajęciami jest bardzo duże, dlatego staramy się szukać „luk rynkowych” i wypełniać je warsztatami, które mają przynajmniej ciekawą formułę. W kwietniu i maju zrealizowaliśmy pierwsze z cyklu trzech warsztatów naukowych: biologicznych, chemicznych i fizycznych. Na początek przygotowaliśmy zajęcia z mikrobiologii pt. „Było sobie życie”.

Mikroskopy z kamerami cyfrowymi, szkło laboratoryjne, preparaty i odczynniki – to niestandardowe wyposażenie biblioteki. A jednak! Skoro do programu telewizji wróciła „Sonda”, my także postanowiliśmy zaprosić naszych uczniów do świata nauki. Pokazaliśmy, dlaczego nie należy pić niefiltrowanej wody, sprawdziliśmy, kto umył dzisiaj ręce, a także rozwikłaliśmy zagadkę muchy chodzącej po suficie. O popularności zajęć najlepiej świadcze moje palce, z których każdorazowo pobierana była krew, dzięki temu uczestnicy warsztatów zobaczyli, jak wyglądają czerwone krwinki. A wyglądają jak podwójna kluska śląska – z dziurką po obu stronach.

Aby podkreślić, jak ważną rolę odgrywa w naszej bibliotece edukacja medialna, powinienem wspomnieć jeszcze o kursach fotograficznych dla seniorów, zajęciach z programowania aplikacji systemu Android i wielu innych ciekawych wydarzeniach – jednak zaproszę tylko do śledzenia naszej strony internetowej: www.biblioteka.cieszyn.pl oraz profilu na Facebooku lub – do czego szczególnie zachęcam – odwiedzenia nas osobiście.

DAWID STANIEK



„Było sobie życie” – o mikrobiologii w bibliotece



Uczestnicy kursu komputerowego „Zaskocz wnuka” na cieszyńskim rynku



Katowice na Europejskim Kongresie Gospodarczym

Aranżacje utworów Henryka Mikołaja Góreckiego, Wojciecha Kilara, Irka Dudka i rapera MIUOSHA były tłem prezentacji Katowic i tytułu Miasta Kreatywnego UNESCO podczas Europejskiego Kongresu Gospodarczego, odbywającego się w Międzynarodowym Centrum Kongresowym w dniach 18-20 maja 2016.

W VIII Europejskim Kongresie Gospodarczym w Katowicach wzięło udział blisko 8 tys. gości, wśród których znaleźli się: Beata Szydło, premier RP, Valdis Dombrovskis, wiceprzewodniczący Komisji Europejskiej, premier Łotwy, Günther H. Oettinger, komisarz UE ds. Gospodarki Cyfrowej i Społeczeństwa. Katowice wykorzystały okazję, by gościom Europejskiego Kongresu Gospodarczego pochwalić się tytułem miasta kreatywnego UNESCO w dziedzinie muzyki. W ciągu trzech dni kongresu na stoisku Katowic zaprezentowano fragment bogactwa muzycznego, jakiego można doświadczyć w Katowicach.

Otwarte stoisko Miasta stało się sceną dla muzyków Satellite Orchestra oraz solistów, którzy podjęli się zaprezentowania utworów różnych gatunków muzycznych. Prezentację muzyki podczas EKG otworzyła „Orawa” Wojciecha Kilara. W kolejnych występach zaprezentowano utwory związane z wydarzeniami takimi jak: OFF Festival Katowice czy Rawa Blues Festival- z tworem Irka Dudka, przy wsparciu grupy tanecznej angażującej gości Kongresu. Podczas wykonania utworów Henryka Mikołaja Góreckiego orkiestrę poprowadził wnuk wielkiego katowickiego kompozytora Jan Stańczyk. Na prezentacji nie mogło także zabraknąć śląskich standardów ludowych odegranych przez orkiestrę dętą. Zwieńczeniem prezentacji był występ MIUOSHA, popularnego w całym kraju rapera.

Katowice obecne były także podczas European Start Up Days, gdzie poza ofertą skierowaną do kreatywnych twórców na początku swojej drogi biznesowej, zaprezentowano projekty artystyczne realizowane przez Instytucję Kultury Katowice Miasto Ogrodów im. K. Bochenek, takie jak „Najmniejsze Kino Świata” czy „Media Lab”.



Zdjęcia. UM Katowice



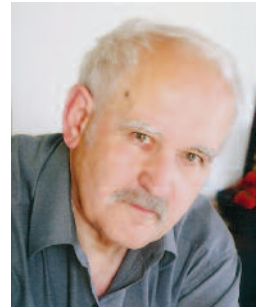


1.



KUSTOSZ MADONN KRESOWYCH TADEUSZ KUKIZ IN MEMORIAM

Tadeusz Kukiz (1932–2015) urodził się w Dębowicach k. Łopatyna, woj. tarnopolskie II RP. Jego ojciec, funkcjonariusz Policji Państwowej, został aresztowany przez NKWD i zamordowany w czerwcu 1941 r. w więzieniu „Brygidki” we Lwowie. Rodzinę deportowano do północno-wschodniego Kazachstanu. Powrócił do kraju w 1946 r. i zamieszkał na Śląsku Opolskim. Po szkole średniej w Prudniku, studiował medycynę (Uniwersytet w Ołomuńcu, Akademii Medycznej: Zabrze, Lublin, Warszawa). Przez trzydzieści lat prowadził oddział chorób wewnętrznych w szpitalu w Niemodlinie i kierował miejscowym Kołem Polskiego Towarzystwa Lekarskiego. Uczestniczył w pracach Związku Sybiraków oraz Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich od początku ich działalności. Na łamach czasopism i na antenach radiowych popularyzował historię i kulturę Kresów. Dziełem życia doktora Tadeusza Kukiza stało się opisanie losów kresowych obrazów sakralnych (maryjnych), przywiezionych po II wojnie światowej do Polski w jej nowych granicach. Zaowocowało ono licznymi artykułami w prasie krajowej i emigracyjnej, serią sześciu książek *Madonny Kresowe i inne obrazy sakralne z Kresów* (1997–2002), oraz tomem *Wołyńskie Madonny* (1998). Autor ocalił od zapomnienia dla nowych pokoleń historię wizerunków Madonn Kresowych, które odegrały doniosłą rolę w życiu religijnym, kulturowym i społecznym mieszkańców polskich Kresów. Opisał również historię rodzinnych miejscowości: *Łopatyn. Dzieje i zabytki* (2004), *Ziemia Radziechowska i ludzie stamtąd* (2008), *Uhnów. Kresowe miasteczko nad Sołokiją* (2010), *Kukizów. Miasteczko koło Lwowa*. Kustosze Madonn Kresowych powraca do czytelnika z najnowszą publikacją *Madonny Polskich Losów w XXI wieku*, która na podstawie ostatnich rękopisów, dzięki staraniom Marianny Kukizowej (wdowy po Autorze) ukazała się we Wrocławiu (Wydawnictwo I-BIS, 2016). Publikacja zawiera szkice o dziejach Madonn zwanych – *Madonnami Wojennymi* lub *Madonnami Polski Walczącej*. Historie wizerunków m.in.: Matki Boskiej Kozielskiej, Matki Boskiej Armii Krajowej, Matki Boskiej Łagrów i Obozów, stanowią świadectwo i testament doktora Tadeusza Kukiza – Kustosza Madonn Kresowych, któremu zawdzięczamy przywracanie kresowej pamięci, niezbędnej do poznania dziejów ojczyzny i kultury.

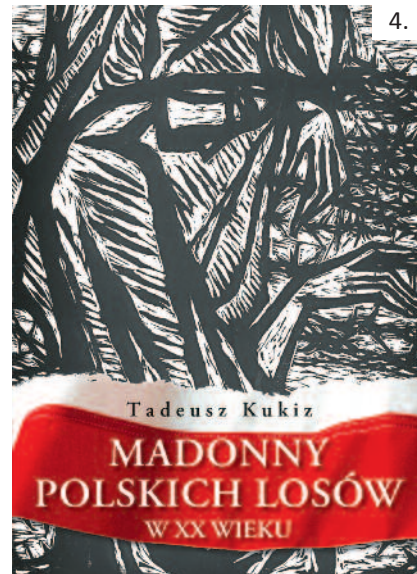


2.

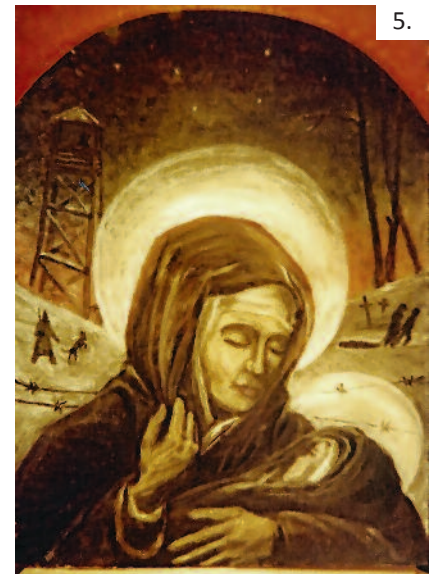
OPISY ILUSTRACJI: 1. Matka Boska Bolesna z Wykusu (patronka Świętokrzyskich Zgrupowań Partyzanckich AK, autor: Halina Wierzejska); 2. Matka Boska Wysiedlona (patronka Polaków wysiedlonych przez okupantów, autor: Stanisław Miedza-Tomaszewski); 3. Matka Boska obozów koncentracyjnych (autor: Tadeusz Pietrzykowski, więzień KL Auschwitz); 4. Okładka książki; 5. Matka Boska Irkucka.



3.



4.



5.

Województwo fotogeniczne

Tytuł można zweryfikować przeglądając album *Obiektywnie śląskie* zawierający prace pokazywane podczas pięciu edycji konkursu na fotoreportaż organizowany z inicjatywy europoła dr. Marka Migalskiego oraz stowarzyszenie „Projekt Śląsk”. Zamieszczone w tej publikacji fotografie są bardzo różne – czarno-białe i kolorowe, przedstawiające ludzi, architekturę, pejzaże z uwzględnieniem tych przemysłowych, dynamiczne i statyczne. Prace wybierali bardzo kompetentni jurorzy, m.in. Magdalena Łazarkiewicz, Lech Majewski, Antoni Cygan,



Marian Oslislo, Adam Sikora. Autorzy starali się uchwycić na swoich zdjęciach Śląsk tradycyjny, odchodzący coraz bardziej w przeszłość, ale też ten nowoczesny, który powstaje na naszych oczach. Reprezentowany jest region, głównie Górny Śląsk, ale i część częstochowska. Zabrakło mi trochę Śląska Cieszyńskiego, być może pojawi się w kolejnych edycjach konkursu. Wychodzę z założenia, że zamiast opowiadać o fotografiach, lepiej je pokazać. Więc zapraszam do oglądania.

BOGDAN WIDERA



Robert Garstka: Radość chasyda



„Dziady”, Adama Mickiewicza, w reżyserii K. Suszka, 2001

O Scenie Polskiej Těšínského divadla (Teatru Cieszyńskiego) w Českém Těšíně (Czeskim Cieszynie)

MIROŚŁAWA PINDÓR

*„Pracując w tym teatrze trzeba mieć świadomość,
gdzie się pracuje, z kim i dla kogo się gra...”*

Kiedy powstawała wróżono jej maksymalnie pięć – dziesięć lat. W październiku 2016 roku świętować będzie sześćdziesięciopięciolecie. Scena Polska Těšínského divadla (Teatru Cieszyńskiego) w Českém Těšíně (Czeskim Cie-

szynie), wyrosły z ruchu amatorskiego teatr ludności polskiej autochtonicznej na czeskim Śląsku – „coś, co było skazane na zniknięcie – trwa i działa” (K. Suszka, wypowiedź jubileuszowa, 60 lat Sceny Polskiej TD. Kronika lat 1951-

2011, Czeski Cieszyn 2011, red. J. Wania). Co więcej – „zbiera znakomite recenzje niezależnie od tytułu ani miejsca wystawianej sztuki” (zob. Przesłanie Przewodniczącego Parlamentu Europejskiego prof. Jerzego Buzka z oka-



zji 60-lecia Sceny Polskiej Teatru Cieszyńskiego w Czeskim Cieszynie, *60 lat Sceny Polskiej TD. Kronika lat 1951-2011*). Zbiera także znaczące wyróżnienia i nagrody, by przywołać: odznakę „Zasłużony dla Kultury Polskiej” (1971), „Złotą Maskę” „za kultywowanie wysokich wartości literackich” (1992), dyplom Ministerstwa Spraw Zagranicznych RP za „wybitne zasługi dla kultury polskiej w świecie” (1993), nagrodę „Brązowego Polonusa”, nadaną przez Klub Publicystów Polonijnych Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich RP (1996), czy też najnowszą – z listopada 2015 roku nagrodę specjalną za spektakl *Powsinni beskidzkie* Emila Zegadłowicza (reż. i scenogr. Bogdan Kokotek) przyznaną w Konkursie na Inscenizację Dawnych Dzieł Literatury Polskiej „Klasyka Żywa”, zorganizowanym przez Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego RP oraz Instytut Teatralny im. Zbigniewa Raszewskiego w Warszawie dla uczczenia jubileuszu 250-lecia teatru publicznego w Polsce. Jury uzasadniając swój werdykt, a wyboru dokonano spośród 83 przedstawień konkursowych z 31 miast, wskazało, że

„inscenizacja mało znanego wręcz zapomnianego tekstu klasycznego, odznacza się niezwykle walorami integracyjnymi dla społeczności Śląska Cieszyńskiego” (warto dodać, że Zegadłowicza grano w SP już w kwietniu 2009 r., a był to *Głaz graniczny*). Należy zamknąć ten rejestr docenień uhonorowaniem szczególnym, zgoła niedawnym, bo z 2 maja 2016 roku: w Dniu Flagi Rzeczypospolitej Polskiej, zarazem Dniu Polonii i Polaków za Granicą, Scena Polska otrzymała Flagę Rzeczypospolitej Polskiej. Z rąk prezydenta RP Andrzeja Dudy przyjął ją dyrektor TC Karol Suszka. W uzasadnieniu szacownego wyróżnienia podkreślono fakt, iż „Scena Polska Teatru Cieszyńskiego jest jedynym polskim teatrem zawodowym działającym poza granicami Polski”. Doceniono jej wysoki poziom artystyczny i „działanie na rzecz zbliżenia obu narodów”. Zasługi Sceny Polskiej dla polskiej kultury teatralnej motywowały zapewne także decyzję 50. Walnego Zjazdu Delegatów Związku Artystów Scen Polskich – 2 kwietnia 2010 roku działającemu na Śląsku za Olzą teatrowi nadano godność Członka Honorowego Stowarzyszenia.

Te nader cenne dowody uznania od polskich władz państwowych, polskich placówek dyplomatycznych, polskich instytucji, polskich stowarzyszeń, wreszcie polskich krytyków teatralnych zaświadcza, że Scena Polska w Czeskim Cieszynie od swego zarania, tj. od 14 października 1951 roku (datę tę – dzień premiery *Wczoraj i przedwczoraj Aleksandra Maliszewskiego* – przyjmuje się za oficjalne rozpoczęcie działalności, kierowanego przez Władysława Niedobę, zespołu) przynależy do ogólnego niepodzielnego obszaru sztuki teatru polskiego, a zarazem ze względu na specyfikę swego funkcjonowania – współistnienie „pod jednym dachem” na zasadach organizacyjnego partnerstwa (jedna dyrekcja, jedna administracja, jedno pracownię, jedna przestrzeń sceniczna, ale: dwa samodzielne kierownictwa artystyczne i kierownictwa literackie, dwa odrębne systemy abonamentowe, obejmujące: jeden – czeską, drugi – polską społeczność) z teatrem innojęzycznym: Sceną Czeską – ma ogromne znaczenie dla życia kulturalnego pogranicza polsko-czeskiego w Cieszyńskiem. Jest pomostem pomiędzy polską i czeską kulturą teatralną. Wszak – cytując wypowiedź z października 2011 roku ówczesnego przewodniczącego Parlamentu Europejskiego Jerzego Buzka skierowaną do dyrekcji TC, kierownictwa SP i całego zespołu artystycznego – „w pewnym sensie, rozszerzenie Unii Europejskiej dokonało się na deskach Teatru Cieszyńskiego zanim jeszcze decyzję taką podjęli politycy. [...] to właśnie z Cieszyna, z polsko-czeskiego pogranicza dajecie Europie jasny sygnał, że kultura nie zna granic”.

Na model funkcjonowania Sceny Polskiej wpłynęła i wpływa autentyczna potrzeba i zaangażowanie rdzennej grupy polskiej z terenu Zaolzia (przecież w pespektywie historycznej SP jest jej wytworem), zgodnie zresztą z wyznacznikiem polskich teatrów pozakrajowych, gdzie sens ich istnienia i sposób działania określa „zwykle bez reszty widownia”, na co zwrócił uwagę Emil Orzechowski w artykule *Jak badać teatr polski na obczyźnie* (zob. *Koniec Polonii w Ameryce? O kulturze polskiej i polonijnej w Stanach Zjednoczonych: szkice i materiały*, Kraków 1996, s. 91.) i z którym to spostrzeżeniem koreluje, będąca tytułem niniejszego szkicu, wypowiedź Karola Suszki (dyrektora TC – od 2000 roku, kierownika artystycznego SP w latach 1979-1988, reżysera i aktora). Ten czynnik podstawowy dla scen poza krajem nie jest jednakże w wypadku Sceny Polskiej jedynym. Drugim – nader ważnym – jest polityka wewnętrzna państwa czeskosłowackiego/ czeskiego, charakter stosunków polsko-czechosłowackich / polsko-czeskich i, będąca ich pochodną, polityka kulturalna i narodowościowa państwa czeskosłowackiego/ czeskiego wobec polskiej mniejszości narodowej. Wszak Scena Polska od początku swego istnienia jest w pełni finansowana przez urząd państwa, na terenie którego istnieje (aktualnie Urząd Wojewódzki w Ostrawie). Nadto niektóre projekty sceniczne powstają przy wparciu Ministerstwa Kultury Republiki Czeskiej oraz Miasta Czeski Cieszyn (tak było chociażby w wypadku realizacji *Powsinnóg beskidzkich*). Dodać należy, że także polskie Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego okazjonalnie wspiera niektóre szczególnie ważne dla kultury polskiej przedsięwzięcia artystyczne SP.

Model repertuarowy SP (do tej pory zespół przygotował 453 premiery, zwyczajowo 6-7 w sezonie) zasada się na klasyce, dramaturgii współczesnej oraz twórczości regionu cieszyńskiego (rozumianego w jego historycznych granicach). „Zawsze staramy się, by spektakle były zróżnicowane, by każdy mógł znaleźć w repertuarze Sceny Polskiej coś dla siebie” – stwierdza kierownik literacki Sceny Polskiej Joanna Wania. Przy czym geneza i specyfika funkcjonowania tego teatru, w tym kontekst polityczno-społeczno-kulturowy sprawiają, że swojego widza Scena Polska „musi nieustannie zdobywać jako widza teatralnego w ogóle, i jako widza polskiej sceny i polskiego repertuaru w szczególności” – pisała Wanda Cejnar (wieloletni kierownik SP) z okazji jubileuszu czterdziestolecia zespołu (zob. *Kalendarium czterdziestolecia Sceny Polskiej TD, Scena Polska Td. 40 lat*, red. R. Putzlacher, Český Těšín 1991). Słowa te zachowują w pełni swoją aktualność. Niezmienna jest bowiem misja Sceny Polskiej: ochrona własnej narodowej tożsamości w warunkach

obcego państwa (wyrażająca się również poprzez podtrzymywanie więzi z Polską i jej kulturą), z jednoczesnym zachowaniem szacunku dla kultury kraju (przejawem uwzględnianie w repertuarze pozycji z zakresu literatury czeskiej i słowackiej) w którym przyszło zespołowi (aktualnie szesnastoosobowemu) i jego wiernej od lat publiczności żyć, kształcić się i pracować. „Scena Polska doskonale zdaje sobie sprawę ze swojej roli i funkcji, którą określił krótko jako funkcja patriotyczna” – powie Karol Suszka w Krakowie w grudniu 2015 roku podczas międzynarodowej konferencji naukowej nt. *Edukacja dla teatru a pedagogika teatralna. Idee i praktyka*. „Scena Polska dla społeczności Zaolzia jest okrętem flagowym polskości, doskonale zdaje sobie sprawę, skąd wyrosła, dla kogo – dla jakiej publiczności gra, jakie są jej siły twórcze, czyli to wszystko co tworzy mocną więź między teatrem a widzem. Więź, gdzie artyści mogą powiedzieć, że to nasza widownia, a widz – to nasz teatr. I ten stan już trwa 65 lat (...) dopóki będzie istniała SP język polski na Zaolziu nie zaginie”.

Realizacja tej funkcji, *de facto* przynależnej teatrowi narodowemu, dokonuje się przede wszystkim poprzez repertuar. W SP jego 40 % stanowią pozycje z obszaru literatury polskiej. Różne były na przestrzeni lat determinanty repertuarowych wyborów. Niewątpliwie siłą sprawczą niektórych byli artyści z Polski – reżyserzy i scenografowie okazjonalnie zapraszani przez kierownictwo Sceny Polskiej na realizację jednego bądź kilku tytułów. Także aktorzy sezonowo zatrudnieni w zaolziańskim teatrze. Spośród blisko sześćdziesięciu nazwisk polskich reżyserów współpracujących z polskojęzycznym teatrem na Zaolziu należy przywołać bodaj: Danutę Baduszkową, Henryka Boukołowskiego, Bohdana Cybulskiego, Józefa Czernieckiego, Stanisława Daczyńskiego, Halinę Gry-

glaszewską, Marię Malicką, Zygmunta Marka Mokrowieckiego, Alojzego Nowaka, Marka Okopińskiego, Marka Perepeczkę, Monikę Strzępkę, Jerzego Ukleję, Józefa Wysomirskiego, Andrzeja Ziębińskiego. Ze scenografów między innymi: Jana Banuchę, Mariannę Jarnuszkiewiczą, Jerzego Jeleńskiego, Wiesława Langego, Andrzeja Łabińca, Jana Polewkę, Teresę Ponińską, Barbarę Ptak, Annę i Tadeusza Smoliczek.

Zapoznanie się z rejestrem tytułów inscenizowanych utworów z zakresu literatury polskiej wskazuje, że oblicze artystyczne Sceny Polskiej na przestrzeni sześćdziesięciu pięciu lat ma charakter współczesny. Z polskich dramaturgów najczęściej przywoływani w SP byli, jak dotąd, Jerzy Szaniawski i Sławomir Mrożek. Zagrano także Różewicza, Gombrowicza. Przy czym zainteresowanie polską literaturą współczesną, niekoniecznie dramatyczną, wyraźnie wzrasta w rzeczywistości społeczno-politycznej wolnej od cenzury i politycznych uwikłań tj. po listopadzie 1989 roku. Ten współczesny pod względem wyborów repertuarowych wizerunek Sceny Polskiej zostaje zaburzony przy okazji premier jubileuszowych, dawanych bądź to z racji jubileuszu Sceny Polskiej, bądź też z racji jubileuszu Těšinského divadla. Na dwanaście takich premier osiem stanowią wystawienia tytułów przynależnych do polskiej klasyki. Są to realizacje: *Zaczarowanego koła* Lucjana Rydla (1956), *Henryka IV na łowach* Wojciecha Bogusławskiego (1961), *Zemsty* Aleksandra Fredry (1970), *Krakowiaków i górali* Bogusławskiego (1971), *Marii Stuart* Juliusza Słowackiego (1975), *Pana Tadeusza* (1991; tytuł przygotowane już na jubileusz 30-lecia zespołu tj. w październiku 1981, do premiery jednak niestety nie doszło – spektakl został zdję-

ty z teatralnego afisza przez cenzurę ze względu na „antyradzieckie” skojarzenia i zbyt narodowy charakter), *Dziadów* Adama Mickiewicza (2001, reż. K. Suszka), *Dam i huzarów* A. Fredry (2006, reż. B. Kokotek). Z polskiej literatury współczesnej wystawiono w ramach jubileuszy: *Ballady i romanse* Aleksandra Maliszewskiego (1955), *Janosika, czyli na szkle malowane* Ernesta Brylla (1976, powtórzenie w r. 1981), *Dwa teatry* Jerzego Szaniawskiego (1986; ten jubileuszowy wybór jawi się jako szczególnie trafny „ze względu na dosłowny w tym przypadku sens tytułu”, na co zwrócił uwagę Tadeusz Kijonka w artykule *Dwa teatry pod jednym dachem*, „Tak i Nie” 1987, nr 7), *Gościa oczekiwanego* Zofii Kossak (1996).

Ten ostatni tytuł przynależny do piśmiennictwa regionu cieszyńskiego (Zofia Kossak była mieszkanką Górek Wielkich) obrazuje dostrzegalną w Scenie Polskiej po 1989 roku nową tendencję – nader cenną – poddawanie scenicznej konkretyzacji twórczości literackiej Śląska Cieszyńskiego. Na teatralnym afiszu SP znalazły się zatem: *Przednówek* Pawła Kubisza, *Czarna Julka i Bajki śląskie* Gustawa Morcinka, *Most nad Łucyną* Wiesława Adama Bergera, *Těšinské nebo – Cieszyńskie nebe* z muzyką i tekstami pieśni Jaromira Nohavicy i scenariuszem R. Putzlacher, *Ondraszek – Pan Lysej Góry* – efekt pracy zespołowej R. Putzlacher, B. Kokotka, Tomáša Kočko. Spektakle te (za wyjątkiem *Gościa Oczekiwanego*) dawały jasne wyrozumienie historii i współczesności pogranicza polsko-czeskiego w Cieszyńskiem. Z jego urazami, narodowymi animozjami, narodowościowymi dążeniami, ale i wielokulturowością, tolerancyjnością, wspólnotowością, zdolnością do przełamywania społecznych i kulturowych przedzeń. Inscenizacje wizualizujące historie lokalne można określić także jako „spektakle miejsca”, miejsca silnie zindywidualizowanego (a takim wydaje się Śląsk Cieszyński), realnego i mitycznego zarazem, miejsca, które emocjonalnie nosi się w sobie, do którego się wraca i które się twórczo spożytkowuje, a które zwyczajowo zwykło się nazywać „małą ojczyzną”. W ten krąg wpisuje się także przygotowana w polskojęzycznym zespole dekadę temu adaptacja teatralna powieści urodzonego w Wiśle Jerzego Pilcha *Inne rozkosze* (spektakl został mocno osadzony w cieszyńsko-wiślańsko-ewangelickich klimatach). Podobnie *Obora* Helmuta Kajzara – reżysera teatralnego, dramaturga, eseisty, miejscem urodzenia, wzrastania oraz ostatecznego powrotu związanego ze Śląskiem Cieszyńskim. Przedstawienie w opisywanym nurcie ostatnie (prem. styczeń 2016, reż. Janusz Klimsza), powstało w ramach projektu wtw: //strefy kontaktu 2016 realizowanego przez Wrocławski Teatr Współczesny jako część programu Wrocław – Europejska Stolica Kultury 2016. Poszukiwania re-



Wiosną 2010 roku podczas VII Prezentacji Teatrów Województwa Śląskiego w Teatrze Zagłębia w Sosnowcu Scena Polska zagrała spektakl „Viva Verdi” w reżyserii Michaela Taranty

pertuarowe podejmowane przez Scenę Polską w obrębie piśmiennictwa Śląska Cieszyńskiego niewątpliwie zaświadcza- ją o potrzebie budowania wśród zaolziańskiej i nadolziańskiej publiczności poczucia tożsamości regionalnej.

Zgodnie z przeświadczeniem, iż Scena Polska winna „być w Europie i jej Unii” (pojawiło się ono w wydawnictwie jubileuszowym teatru z 2006 roku do- określając poniekąd dotychczasową jego misję) zespół na swoje 60-lecie od- stąpił od tradycji i przygotował insceni- zację *Romea i Julii* Williama Szekspira, rzecz spoza narodowego kanonu, lecz przynależną do rejestru arcydzieł euro- pejskich. Dla Jerzego Buzka wybór ten jawił się jako szansa sprowokowania pu- bliczności do „refleksji nad szekspi- rowskim przesłaniem, które w trudnych dla Europy czasach kryzysu i zwątpienia w ponadczasowe wartości – takie jak mi- łość, tolerancja i przewaga dialogu nad sporem – powinno przyświecać nam wszystkim”. Spektakl w swej wy- mowie nader aktualny, nadal utrzymuje się w repertuarze Sceny Polskiej. Tak jak *Makbet* (prem. 2006), grany od 2008 ro- ku z niezmiennym powodzeniem w scen- erii Wzgórza Zamkowego w Cieszynie. (Gwoli ścisłości dodać należy, że z po- mieszczenia zamkniętego na teren otwar- ty, co oczywiście wymagało modyfika- cji danego scenariusza i kształtu danej inscenizacji, przeniesione zostały nadto: *Cyrano de Bergerac* Edmunda Rostan- da, *Ondraszek* i *Powsinogi beskidzkie*). „Warto wystawić Szekspira co kilka lat, ponieważ zawsze jest to wyzwanie i oka- zja do sprawdzenia, w jakiej kondycji znajduje się zespół” – stwierdza kierow- nik artystyczny SP Bogdan Kokotek (reżyser obu Szekspirów). W ostatnim dziesięcioleciu SP zmierzyła się także z arcydziełami wspaniałych czasów – *Hamle- tem* (prem. 26 XI 2009, reż. M. Tarant). Spektakl był benefisem dyrektora Teatru Cieszyńskiego Karola Suszki, rolą Poloniusza obchodzącego 50-lecie pracy ar- tystycznej. Przywołane spektakle szek- spirowskie dotyczą ostatniej dekady, pamiętać jednak należy, że po twórczość Szekspira sięgała SP już znacznie wcze- śniej.

Widownia Sceny Polskiej objęta jest od początku swego istnienia systemem abonamentowym, co sprawia, że po- za własną – czeskokoczyńską siedzibą (od 1961 roku jest to nowoczesny gmach przy ul. Ostrawskiej) zespół występował i występuje także w innych miejscowo- ściach trzeźkiej części Śląska Cieszyń- skiego: Trzyńcu, Hawierzowie, Karwin- nie, Orłowej, okazjonalnie w Górnej Suche i Wędryni. (W początkowym okresie działalności SP grywała na ca- łym Zaolziu – od Bogumina po Mosty k. Jabłonkowa.) Widzom z miejscowo- ści zaolziańskich w których nie odbywa- ją się przedstawienia teatr zapewnia transport autobusowy do najbliższych miejsc prezentacji. Istnieją nadto szkol- ne grupy abonamentowe. Co bardzo cen-



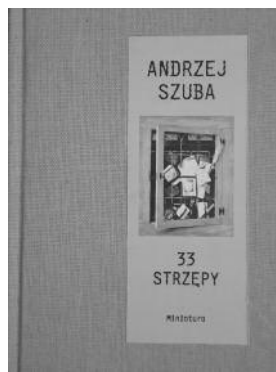
„Czarna Julka” Gustawa Morcinka – dzieło z kręgu twórczości literackiej Śląska Cieszyńskiego znalazła się w repertuarze Sceny Polskiej

ne – kilka abonamentów zakupili w ostatnich teatralnych sezonach widzo- wie czeskojęzyczni. W sezonie 2002/2003 pozyskano także abonen- tów z prawobrzeżnej strony Olzy. Od kil- ku lat, gdy unicestwieniu uległy granic- ne szlabany, do macierzystej siedziby SP przybywają widowie z polskiego Ślą- ska: Ustronia, Wisły, Bielska-Białej, a nawet Katowic.

SP występowała i występuje gościnnie w Polsce (zawitała między innymi do takich miast, jak: Bydgoszcz, Bytom, Czę- stochowa, Gdańsk, Gdynia, Chorzów, Ja- sło, Kielce, Kraków, Lublin, Łódź, Rzeszów, Warszawa, Wrocław, Zie- lona Góra), także w ramach festiwalu, przeglądów (przykładowo wiosną 2010 roku podczas VII Prezentacji Teatrów Wo- jewództwa Śląskiego w Teatrze Zagłębia w Sosnowcu zagrała spektakl *Viva Ver- di*, reż. Michael Tarant). Polskojęzyczny teatr z Zaolzia zaznaczył także swą obec- ność w miastach Czech (wśród nich między innymi: Praga, Brno, Hradec Kralové, Olomuniec) i Słowacji (Bratys- ława, Bańska Bystrzyca, Bojnice, Mar- tin, Nitra). Bawił na Litwie (Wilno) i w Austrii (Wiedeń), także w byłej NRD (Budziszyn). W 2010 roku na za-

prośzenie Konsulatu Generalnego RP we Lwowie wystąpił w ramach projek- tu „Polska Wiosna Teatralna” w historycz- nym budynku Teatru Skarbkowskiego. Liczba spektakli granych przez Scenę Pol- ską za granicą systematycznie wzrasta (przykładowo w latach 1991-2001 było to 284 301 przedstawień, w latach 2001- 2011 już 345 986). Przyczyną pierwszą zaistniałego stanu rzeczy jest stale male- jąca liczba przedstawień na Zaolziu, ja- ko pochodna coraz mniej korzystnej dla społeczności polskiej sytuacji demogra- ficznej (wg czeskiego spisu ludności z 1991 roku na terenach etnicznie polskich mieszkało 43 479 Polaków, spis z mar- ca 2001 roku informuje o 36 157 osobach deklarujących narodowość polską, spis z 2011 roku o 28 430). Przyczyną drugą jest stopniowe znoszenie barier granic- nych, celnych, prawnych pomiędzy sąsia- dującymi ze sobą państwami.

Zmienia się zatem otoczenie poli- tyczne, społeczne i kulturowe Sceny Pol- skiej, modyfikuje się jej misja, nie zmienia się jednakże potrzeba jej istnie- nia wśród i dla polskiej społeczności, gwarantująca trwanie – mocne i pozy- tywne, w potencjale kulturowym ziemi za Olzą osadzone.



Przewycięzając milczenie

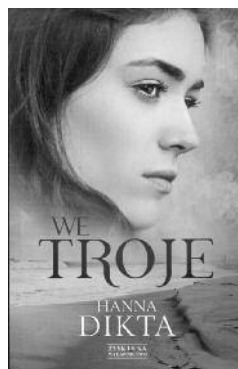
KSIĄŻKI

KATARZYNA NIESPOREK

I oto mamy kolejne 33 *strzępy* Andrzeja Szuby. Poeta rok po roku wydaje nowy tomik. Nie zaskakuje nas. Pozostaje wierny wypracowanemu stylowi, poetyce krótkich form lirycznych. Jego pisanie jest rozpoznawalne. Wielokrotnie zwracano uwagę, że autor *Postscriptów* w swojej poezji odwołuje się do reguły antynomii. Nie inaczej jest w 33 *strzępach*. Na pierwszy plan wysuwa się tu opozycja obecności i nieobecności Boga. Absolut w tych wierszach jednocześnie jest-i-nie-jest. Kiedy istnieje, poeta nie odbiera mu jego boskich przymiotów: „wszechmocny kiedy udajesz / że jesteś / gdy przecież cię nie ma” (*Postscriptum DCXLV*, s. 19). Im częściej autor *Strzępów* myśli o niebyciu Boga, tym wyraźniej przekonuje się do je-

go obecności: „jesteś od kiedy / opatrzyło się nam / twoje nieistnienie” (s. 24). Bóg, który jest, ma w tych utworach swoje ułomności. Po pierwsze, istnieje „nieśmiało / jakby od niechcenia” (s. 30), po drugie jest głuchoniemy. Poeta nie ma pewności, czy Bóg słucha głuchonia, kiedy ten do niego mówi. Wie, że Stwórca nie odpowiada. Podmiot nie omieszcza tego milczenia wypomnieć: „nasz błagalny monolog / którego nie chcesz / przerywać” (s. 9), „nic / bardziej wyrazistego / od twojego milczenia” (s. 16). Ale autor *Strzępów* stara się być wyrozumiały dla Absolutu. Nawet wtedy, kiedy Bóg słucha i nie mówi, znajduje usprawiedliwienie: „już dobrze / jeśli twoja głuchota i niemota / nie są niezycielne” (s. 34). Alternatywą w tych miniaturach dla istnienia Boga jest nicłość. Zdarza się, że przekonuje ona poetę bardziej od samego Stwórcy: „nic / bardziej wyraziste / od twojego milczenia” (s. 15). Doświadczenie pustki – dające o sobie znać dobitniej niż istnienie Absolutu – prowokuje do nieustannego poszukiwania prawd ontologicznych na temat świata, stawiania pytań o ludzką kondycję i metafizyczne sensy. Nie pozwala zatem człowiekowi na ostateczne i jedyne poznanie. Sprawia, że błądzi. Kluczy od Boga do nicości, od nicości do Boga. Wlewa w próżnię jedno i drugie. Przeczytamy: „ile ciebie / ile nicości / by wypełnić pustkę” (*Postscriptum DCXXXVI*, s. 10). To zwrócenie się w stronę kwestii egzystencjalnych, prowadzących do pytania o miejsce człowieka w rzeczywistości. Jest on nie tylko elementem nieistotnym, ale także kimś, kto obniża wartość świata, degraduje go i niszczy. Istota ludzka nie obdarzyła się jednak taką naturą. Podmiot nieśmiało obwinia za to wyższy byt: „zraniłeś nami świat / który teraz / ropiej” (s. 12). Powodem niedoskonałości człowieka jest jego – jak napisze poeta w *Postscriptum DCLXIII* – „solidna kruchość” (s. 37). Do tych, która prawda o umieraniu dociera za późno, zwrócił się słowami: „trwasz w oniemienu / że i tobie przydarzył się / cud nietrwałości” (s. 17). Człowiek przeminie wraz z pytaniami o Boga i nicłość. To, co jest po śmierci, poeta nazywa w 33 *strzępach* „niebytem” (s. 32). Bez przestrzelenia i czasu (s. 31). „Oddech będzie tam / niepotrzebny i będzie / można go rysować” (s. 22). Andrzej Szuba zdążył w swojej poezji w stronę milczenia. Zachowuje dystans nie tylko do Boga, etycznych schematów, poglądów na rzeczywistość, ale także do własnej twórczości. Oddaje głos „postscriptum” i „strzępom”. One mówią tak: „nie musiałeś nas zaraz drukować / mogłeś pisać nas / do szuflady” (s. 5). I proszą czytelnika: „nie doczytuj / nas / źle się kończymy” (s. 35). Ale słowa same wymykają się spod pióra i przewycięzają milczenie.

Andrzej Szuba: 33 strzępy. Kraków 2016, ss. 40.



Siostra

KSIĄŻKI

BOGDAN WIDERA

Od bardzo, bardzo dawna nie czytałem żadnej powieści dla kobiet. Książkę *We troje* można do tego rodzaju literatury zaliczyć. I nie jest to żaden zarzut, bo właściwie dla kogo mają pisarze pisać, jeśli – co od dłuższego czasu pokazują wszelkie badania czytelnictwa – faceci praktycznie niczego nie czytają. Lata temu nabrałem mniemania, że powieści dla pań kończą się albo marszem weselnym albo pogrzebowymi dzwonami, przy czym obie te możliwości wywoływały wzruszenie. Powieść Hanny Dikty kończy się źle (do końca nie jestem tego zdania pewien). W każdym razie dzięki jej lekturze przekonałem się, jak bardzo zmieniła się literatura dla kobiet i to pod wieloma względami. Przede wszystkim przestała być senty-

mentalna. Po drugie – zmieniły się bohaterki. Są wyzwolone (cokolwiek to znaczy) i nowoczesne. Główną postacią powieści jest Agata. Z urodzenia Ślązaczka z Piekar, z wykształcenia polonistka. Kiedy tylko nadarzyła się okazja, ona – nauczycielka, z wielką ulgą rzuciła naukę w szkole, ponadto (też z radością) opuszcza Śląsk. Zostaje współwłaścicielką pensjonatu „Wiśniowy sad” (miłośniczka książek musiała nazwać swój nowy dom literacko) nad morzem. Ma męża, Jacka, z którym prowadzi swój kameralny biznes, on zaś w czasie wolnym uprawia malarstwo. W rodzinnych stronach mieszka jej siostra Joanna z mężem Piotrem. Całą czwórkę można zaliczyć do – jak się dawniej mówiło – „wyższych sfer” (dziś to „klasa średnia”). Każda osoba ma własny samochód, własne pieniądze (niemałe, ale też nie ogromne), małżeństwa się kochają... Jednak pewnego dnia w tej sielankowej rzeczywistości pojawia się widmo tragedii. Katastrofa wydaje się nieunikniona i jest tylko kwestią czasu, kiedy nastąpi. Autorka jednak nie buduje fabuły liniowo. Realizuje postulat Durenmata, który napisał kiedyś, że dzieło jest skończone dopiero wtedy, kiedy sprawy przybiorą najgorszy możliwy obrót. Dikta umie pisać, budować interesującą akcję, zaskakiwać czytelnika. Myślę o jej głównej bohaterce Agacie. Zastanawiam się, czy autorka ją lubi, czy wręcz przeciwnie, i czy chce, żeby czytający czuli do niej sympatię. To inteligentna młoda kobieta, dużo czyta, podobają jej jej „kryminały” Miłoszewskiego, wspomina również innych współczesnych pisarzy. Padają nazwiska, ale nie dowiadujemy się nic o tym, jak ktoś z przeczytanych książek przeżyła. Opowiada o mężu-malarzu, czasem się dąsa, że wyjeżdża na warsztaty, plenery, wernisaże, ale słowem nie wspomina o tym, co on na swoich obrazach przedstawia, jak ona jego twórczość odbiera. A jest sprostzegawcza, krytyczna, ma gust, tylko że dowiadujemy się o tym jedynie dlatego, iż opisuje dokładnie strój każdej osoby, która się pojawia w danej chwili (dżinsy, koszulka, sukienka, buty itd.). Opowiada też o tym, w co sama się ubrała. Zastanawia mnie także tytuł *We troje*. Może coś przeoczyłem, ale wybór tej akurat liczby jest dla mnie zagadką. Powieść czyta się świetnie, choć obraz kobiet nowoczesnych (mężczyzn zresztą też) jest mało krzepiący. Mnie książka zachęciła do poznania innych pozycji nowej literatury dla pań.

Hanna Dikta: *We troje*. Wyd. Zysk i Ska, Poznań 2016, s. 304.

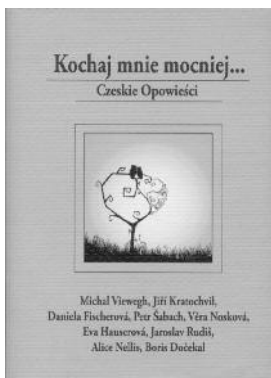
KRÓTKO O KSIĄŻKACH

BOGDAN WIDERA



Karel Czapek:
Rozmowy z Tomaszem Gariguem Masarykiem.
[Przeł. Andrzej Czcibor-Piotrowski, Leszek Engelking] Wyd. „Książkowe Klimaty”, Wrocław 2015, s. 592.

Do dziś to rzecz zwykła, że zamówiony dziennikarz pisze politykowi, sportowcowi albo po prostu celebrycie wywiad-rzekę, przedstawiający jego bohatera w atrakcyjny sposób. Czapek był przede wszystkim świetnym pisarzem. *Rozmowy*... nie są też wywiadem-rzeką. Ich autor spisywał wypowiedzi Masaryka nie na bieżąco, pogrupował je ponadto w odpowiednich działach, niektóre odnoszą się do biografii, niektóre do wyrazistych poglądów filozoficznych, politycznych czy społecznych, jeszcze inne są przemyśleniami na temat lektur (naukowych, ale również literackich) itd. Te zapiski autor przedstawiał swojemu bohaterowi, który je korygował, uzupełniał i znacznie rozszerzał. W rezultacie powstał szczegółowy portret intelektualisty, polityka, dziennikarza i wizjonera. Urodzony w 1850 roku Masaryk był synem niepiśmiennego słowackiego „chłopa pańszczyźnianego”. Przyszły prezydent Czechosłowacji zdobył wykształcenie ogromne, znał wiele języków, został profesorem Uniwersytetu w Pradze, zwiedził kawał świata, zakładał czasopisma, publikował książki, był posłem do parlamentu wiedeńskiego, założył własną partię (istniejące mu nie odpowiadały). W imię prawdy narażał się Niemcom, Austriakom, ale głównie swoim rodakom. Zaczęło się od wystąpienia przeciwko uznaniu rzekomo XIII-wiecznych *Rękopisów* – świadectwie istnienia czeskiego piśmiennictwa w średniowieczu. Kiedy dowodził, że to falsyfikat wyprodukowany w XIX wieku, okrzyknięto go zdrajcą. Walczył też z rusofilami, którzy bez głębszej wiedzy głosili panslawizm. On nauczył się rosyjskiego, jeździł do tego kraju, trzy razy odwiedził Lwa Tolstoja. Popierał równouprawnienie kobiet (po żonie przyjął nazwisko Grigüe), zwalczał antysemitizm... W 1918 roku kazał założyć Zaolzie. Pasjonująca książka, kawał historii Europy.



Kochaj mnie mocniej... Czeskie Opowieści.
Wyd. „Good Books”, Wrocław 2011 (?), s. 180.

Jeden z trzech tomików z czeskimi opowiadaniem bardzo poczytnych w Czechach autorów. Pozostałe to *Wesołych, zdrowych...* i *O kobietach*. Wśród pisarzy publikowanych w tym cyklu prezentowani już w tej rubryce Michal Vievgeh i Petr Szabach, co dla czytelników już jest swobodnym „znakiem jakości”. O czym są te czeskie historie? Najprościej – o sprawach damsko męskich, często to taka „literatura rodzinna”, ale raczej dla odbiorców dorosłych. Opowiadania są bardzo różne, jeżeli chodzi o nastrój, bo są i smutne, przygnębiające, i pełne czeskiego humoru, który też nie zawsze jest tak zupełnie „do śmiechu”, niektóre są niemal sensacyjne. Z tej trzytomowej antologii wybrałam tomik *Kochaj mnie mocniej...* bo zawiera moją ulubioną opowieść Alice Nellis *Chcesz herbatę?* Format książeczek sprawia, że to świetna lektura dla podróżujących komunikacją miejską.



Reprezentatywna mikroskala? Rozważania o tożsamości lokalnej mieszkańców Czeladzi z racji udziału ich przedstawicieli w bitwie o Monte Cassino.
[Red. Małgorzata Krakowiak i Aleksandra Dębska-Kossakowska]
Wyd. Uniwersytetu Śląskiego, Katowice 2016, s. 384.

W bitwie o Monte Cassino uczestniczyło kilkunastu czeladziaków. Iwo-nie Szaleniec udało się do tej pory opracować biogramy szesnastu z nich. Do armii Andersa trafili bardzo różnymi drogami, po zakończeniu II wojny światowej w większości powrócili do swojego miasta. Ich dzieje były reprezentatywne dla typowych losów Polaków z tamtych czasów. Cenne jest to, że Aleksandra Dębska-Kossakowska udało się dotrzeć do relacji bohaterów książki, dość mocno zróżnicowanych w formie, często zachowanych tylko w rodzinnych archiwach albo w pamięci bliskich, bo te materiały są znaczącym źródłem historycznym dla badaczy. Jednak materiały związane z Monte Cassino to tylko jedna część (druga, z tym, że najbardziej obszerna) omawianej publikacji. W części pierwszej znalazły się teksty dotyczące w ogóle tożsamości, historycznej świadomości lokalnej i troski o lokalne dziedzictwo. Książkę zamykają rozważania na temat tego, ile zostało patriotyzmu w ogóle, ze szczególnym uwzględnieniem miłości do czeladzkiej „małej ojczyzny”. W tej części wiele miejsca poświęcono literaturze (*O Czeladzi napisano... Literatura przedmiotowa dotycząca miasta* – Marii Rusek-Cabaj, Wiesława Konopelska, redaktor naczelna naszego miesięcznika napisała artykuł *Literacka Czeladź. Wędrówka przez dziesięciolecia po czasy najnowsze*, a Antonina Szybowska zajęła się wspomnieniami czeladziaków z czasów okupacji hitlerowskiej). W zakończeniu publikacji Małgorzata Krakowiak, Paweł Matyjaszkiewicz i Wiesława Konopelska omawiają świadomość historyczną najmłodszego pokolenia czeladziaków. Wnioski wypływające z tego swobodnego podsumowania budujące bynajmniej nie są. Sformułowane zostały na podstawie ankiet przeprowadzonych w starszych klasach szkół podstawowych i w gimnazjach po wystawie dotyczącej bitwy o Monte Cassino w czeladzkim Muzeum Saturn. Pytano w niej o wiedzę na temat II wojny światowej, samej bitwy, ale także o pojęcia „patriotyzm” – w tym lokalny, o „honor”, „pacyfizm”, „odpowiedzialność” itd. Paradoksalnie im starsi byli ankietowani, tym ich wyniki były gorsze. Duża część odpowiadała, że historia (w tym ich miejsca) jej nie interesuje i nic o niej nie chcą wiedzieć. Myślałem o tym, dlaczego tak jest. Wydaje się, że to wina nauczania. Ani metoda suchych faktów i licznych dat, ani bogoojczyźniany sentymentalizm do młodych nie trafiają (a do nas trafiały?). Mówi się bardzo dużo o edukacji regionalnej, że trzeba, że małe ojczyzny, że patriotyzm... Tylko kto to ma robić, bo tu nie wystarczy wiedza, potrzebni są nauczyciele z charakterem. Może się kiedyś pojawią.

NOTATNIK KULTURALNY

Redagują:

Wiesława Konopelska

Jan Picheta

Joanna Kotkowska

Janusz Wójcik

Maria Szuka

Jacek Sikora



Foto. Tomasz Żak/BP

„Rasa. Pieśń antracytu” w Muzeum Śląskim na zakończenie tegorocznej Industriady

„Rasa. Pieśni antracytu” na finał Industriady

KATOWICE. W powstanie tego spektakularnego widowiska zaangażowano ponad 150 osób. W dzień premiery, 11 czerwca podczas finału tegorocznej Industriady, na specjalnie zaprojektowanej scenie wystąpił zespół liczący 75 muzyków, m.in. orkiestra górnicza, chór gospel, kwartet smyczkowy, soliści. „Rasa” konfrontowała odbiorców z pytaniem o to, co obecnie wiemy o kulturze górniczej i skąd czerpiemy wiedzę o niej. Dobór utworów skłaniał do refleksji nad tym, czym dziś jest górnictwo, co się stało z jego mitami, legendarnym poczuciem wspólnoty i jak obraz górnika i górnictwa kształtowały piosenki oraz media. Podczas koncertu zaprezentowano m.in. stare pieśni, odtwarzające znikający obraz świata, fragmenty „Górnika polskiego” Jarosława J. Szczepańskiego oraz „Listów z Rzymu” Zbigniewa Kadłubka. Realizatorzy widowiska sięgnęli również po piosenki z Wysp Brytyjskich i Stanów Zjednoczonych.

Monumentalne przedsięwzięcie muzyczne dopełniła warstwa wizualna autorstwa Matyldy Sałajewskiej, która przygotowała kostiumy, wideo oraz wyjątkową scenografię, powstała m.in. przy wykorzystaniu 16,5 km rurek PCV. Pomysłodawcą projektu jest Adam Kowalski, zastępca dyrektora Muzeum Śląskiego. „Rasa. Pieśni antracytu” była koprodukcją Muzeum Śląskiego i Katowic Miasta Ogrodów – Instytucji Kultury im. Krystyny Bochenek.

Najlepsze muzea nagrodzone

KATOWICE. W tym roku w kategorii wystawa roku przyznano dwie nagrody główne, otrzymały je Muzeum w Tarnowskich Górach za wystawę *W cieniu wielkiej wojny. Życie codzienne w powiecie tarnogórskim w latach 1914–1918* oraz Muzeum Śląskie w Katowicach za wystawę *Lech Majewski. Podziemne słońce*. Wręczenie nagród i wyróżnień, w którym uczestniczył członek zarządu województwa śląskiego Henryk Mercik, odbywało się w Muzeum Śląskim. Nagrody tradycyjnie przyznano w czterech kategoriach. Obok wystawy roku wyróżniono także publikacje książkowe, dokonania w dziedzinie konserwacji oraz dokonania z zakresu inicjatyw edukacyjnych i popularyzacji dziedzictwa kulturowego. Celem przyznawania nagród jest wyróżnienie najwybitniejszych osiągnięć z zakresu działalności muzealnej w regionie dla podkreślenia wagi ochrony i upowszechniania dziedzictwa kulturowego. W trakcie uroczystości swoje nagrody wręczył także Śląski Oddział Stowarzyszenia Muzealników Polskich, a uroczystość uświetnił występ zespołu „Chłopcy kontra Basia”.

Nagrody Marszałka Województwa Śląskiego za wydarzenie muzealne roku 2015: W kategorii WYSTAWY prócz nagród głównych przyznano wyróżnienia: Muzeum Historii Katowic za wystawę *Witkacy i kobiety. Nienasycenie*, Muzeum w Sosnowcu za wystawę *Kobieta jest jak Sosnowiec*, Muzeum w Rybniku za wystawę *Huta Silesia Design*; kategoria PUBLIKACJE KSIĄŻKOWE: nagroda główna dla Muzeum w Gliwicach za przygotowany przez Damiana Reclawę katalog *Przemysł Górnego Śląska na dawnej fotogra-*

fii (do 1945 r.), wyróżnienia: Muzeum Miejskie w Żorach: *Polskie poznawanie świata. Kolekcja pozaeuropejska Muzeum Miejskiego w Żorach*. Red. Lucjan Buchalik, Katarzyna Podyma, Muzeum Historyczne w Bielsku-Białej łącznie za dwie publikacje: Kinga Kawczak: *Te co skaczą i fruwiąją. Przedstawienia zwierząt w sztuce ze zbiorów Muzeum Historycznego w Bielsku-Białej* oraz *Bielscy książęta Sulkowscy jakich nie znacie*, Muzeum Zamkowe w Pszczynie: *Chłodny powiew wachlarzy. Wachlarz europejski od XVII do XX wieku*. Katalog wystawy, Muzeum Historii Katowic: Zofia Szota: *Anna Chojnacka. Fotografie*, Muzeum Miejskie w Tychach: Patryk Oczko: *Tychy. Sztuka w przestrzeni miasta*. W kategorii DOKONANIA Z ZAKRESU INICJATYW EDUKACYJNYCH ORAZ POPULARYZACJI DZIEDZICTWA KULTUROWEGO (w tym wydawnictwa multimedialne) nagroda główna przypadła Muzeum Miejskiemu w Żorach za projekt edukacyjny *Śląski rok obrzędowy skarbnicą wiedzy o regionie i rodzinie* oraz Muzeum Śląskiemu w Katowicach za *Festiwal otwarcia nowej siedziby Muzeum Śląskiego*, natomiast wyróżnienia otrzymali: Muzeum w Gliwicach za projekt edukacyjny *Jak dziecko do obrazu*, Muzeum Powstań Śląskich w Świętochłowicach za projekt edukacyjny *Zrozumieć powstania*, Muzeum Górnos Śląski Park Etnograficzny w Chorzowie za projekt edukacyjny *Od kołowrotka do kabotka. Edukacja regionalna w skansenie*. W dziedzinie KONSERWACJI nagrody marszałka trafiły do Muzeum Śląska Cieszyńskiego w Cieszynie za projekt: *Konserwacja zabytkowego wozu pogrzebowego ze zbiorów muzeum* oraz do Muzeum w Raciborzu za *Konserwację ścian wschodniej zakrystii w dawnym kościele sióstr dominikanek pw. Św. Ducha w Raciborzu, obecnie muzeum*. Wyróżnienie w tej kategorii otrzymało Muzeum Górnos Śląski Park Etnograficzny w Chorzowie za projekt: *Konserwacja ołtarzyka domowego ze zbiorów muzeum* (wraz z wydarzeniami towarzyszącymi: wystawą „Drewno polichromowane – kilka słów o konserwacji” oraz sesją konserwatorską „Drewno polichromowane. Konserwacja, badanie, zachowanie”).

Jubileusz Muzeum Zamkowego

PSZCZYNA. W Pałacu w Pszczynie odbyły się oficjalne uroczystości obchodów 70-lecia placówki, która otwarła swe podwoje dla publiczności 9 maja 1946 r. Dwa dni (12 i 13 maja 2016 r.) trwała w Stajniach Książęcych konferencja naukowa pt. „Za wytworną fasadą. Kulisy funkcjonowania rezydencji arystokratycznych”, zaś oficjalne uroczystości jubileuszowe odbyły się w Sali Lustrzanej pszczyńskiego zamku. W spotkaniu udział wziął członek zarządu województwa śląskiego Henryk Mercik.

„Muzeum Zamkowe w Pszczynie jest gwiazdą na mapie muzeów nie tylko naszego województwa, ale Polski i Europy. Cudownie ocalona rezydencja śląska zachowała swój autentyczny charakter i to sprawia, że odwiedzają ją chętnie setki tysięcy turystów. Jest to miejsce, które pokazuje górnos Śląską historię, niezwykle skomplikowaną i trudną, ale też wielokulturową i przez to niezwykle atrakcyjną. Nie będzie przesadą jeśli powiem, że o to muzeum troszczą się całe rodziny od pokoleń i w niezwyklej sztafecie przekazują nam to



Nagrodę odbiera Halina Bjeda,
dyrektor Muzeum Powstań Śląskich w Świętochłowicach



Jubileusz 70-lecia Muzeum Zamkowego w Pszczynie

dziedzictwo, za co składam serdeczne podziękowania” – powiedział Henryk Mercik.

W czasie uroczystości wręczone zostały odznaczenia zasłużonym i wieloletnim pracownikom. Odznaczenia za długoletnią służbę przyznał Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej, odznaki za opiekę nad zabytkami przyznał Minister Kultury i Dziedzictwa Narodowego, odznaki za zasługi dla województwa śląskiego przyznane przez Sejmik Województwa Śląskiego wręczył przewodniczący Grzegorz Wolnik. Wręczono również dwie statuetki „Róża księżnej Daisy” jako specjalne podziękowanie dla osób szczególnie zasłużonych, serdecznych przyjaciół Muzeum. Z okazji 70-lecia muzeum wyróżnienie to otrzymali: pianista prof. Józef Stempel i tenor Kałudi Kałudow. Statuetkę wykonał bielski artysta Bronisław Krzysztof, którego prace można zobaczyć na ekspozycji w Stajniach Pałacowych. Jest to jedna z dwóch wystaw przygotowanych specjalnie na jubileusz. Drugą jest ekspozycja 45 obrazów ze zbiorów Muzeum Pałac Herbsta, oddziału Muzeum Sztuki w Łodzi. „To arcydzieła malarstwa polskiego od XVIII do XX w., 25 największych nazwisk sztuki polskiej z tego okresu takich jak Marcello Bacciarelli, Władysław Słewiński, Jacek Malczewski, Wojciech Weiss, Henryk Rodakowski i wielu innych” – powiedział dyrektor Maciej Kluss, otwierając wystawę.

Dyrektor Kluss wspominał także szereg wydarzeń kulturalnych, które odbyły się 14 i 15 maja w ramach Jubileuszowej Majówki z Muzeum. Ideą przedsięwzięcia realizowanego przez muzeum we współpracy ze Stowarzyszeniem Rekonstrukcji Historycznej i Kostiumingu Krynolina było przypomnienie dawnych gier i zabaw dworskich z końca XIX i początku XX wieku. W czasie tych dwóch dni odbywały się między innymi warsztaty tańca dawnego prowadzone przez instruktorów, popołudnie z grami i zabawami towarzyskimi, a także zajęcia dla dzieci ilustrujące, jak wyglądał dawny pokój szkolny. Integralnym elementem była miniwystawa prezentująca dawne gry, jakie zachowały się w zbiorach Muzeum Zamkowego w Pszczynie, w tym między innymi stoły do gry w Trou Madame (XVIII w.), Bagatelle (XIX/XX w.) czy halmę (pocz. XX w.).

Obchody Jubileuszu 70-lecia Muzeum Zamkowego w Pszczynie zostały objęte Honorowym Patronatem Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej Andrzeja Dudy.

Premierowy pokaz szkicu do obrazu *Nauka polowania z sokołem* Juliusza Kossaka

BYTOM. Warszawa, Petersburg, Paryż, Monachium... W wielu zakątkach Europy przez lata kształtowała się twórczość jednego z najwybitniejszych polskich artystów – Juliusza Kossaka. Ten mistrz akwareli, rysownik i ilustrator na stałe zapisał się w historii malarstwa polskiego jako romantyk z pasją oddający się batalistyczno-rodzajowym tematom. Fascynował go świat polskiego dworu, obrazował obyczaje ziemianstwa, a także temperament mieszkańców Kozaczyzny. Każdą podróż Juliusz Kossak pieczętował taką wspaniałą ilustracją, będącą efektem wnikliwych obserwacji otaczającego go świata. Poruszaną problematykę, na różnych etapach ule-

gającego ewolucji warsztatu, łączył jeden wspólny motyw – koń – symbol romantycznej wolności. Kadrowany bądź portretowany był w całej okazałości, ukazany w galopie czy – jak na namalowanej w 1882 r. akwareli *Nauka polowania z sokołem* (stałe prezentowanej w Galerii Malarstwa Polskiego Muzeum Górnośląskiego w Bytomiu) – jako towarzysz człowieka w trakcie łowów. Mistrzowskie wyobrażenia tych zwierząt były pokłosiem bezcennych kontaktów Kossaka z Piotrem Michałowskim oraz studiów dzieł Théodore’a Géricaulta w paryskim Luwrze. Kontemplacja prac niderlandzkich mistrzów znalazła swoje odzwierciedlenie w partiach krajobrazów. Po pięćdziesięciu dwóch latach od nabycia wyżej wymienionej pracy (obraz zakupiono 12 grudnia 1964 r. z prywatnych zbiorów w Warszawie), w maju 2016 r. do zbiorów Muzeum Górnośląskiego trafił szkic doskonale obrazujący prac artystycznej wyobraźni – od pomysłu do dzieła. Szkic został zakupiony w Domu Aukcyjnym DESA w Krakowie za cenę 8000 PLN.

Juliusz Kossak (1824 Nowy Wiśnicz – 1899 Kraków) jest najstarszym przedstawicielem artystycznej rodziny Kossaków. Swą przygodę ze sztuką rozpoczął w latach 40. XIX stulecia, kiedy to równoległe do studiów prawniczych pobierał lekcje rysunku w lwowskiej pracowni Jana Maszkowskiego. Kolejne lata spędził na samodzielnych studiach, kopiując prace mistrzów malarstwa i odwiedzając w trakcie artystycznych podróży europejskie galerie sztuki. Do końca życia pozostał wierny obszernym narracyjnie kompozycjom ukazującym polskie tradycje. Spadkobiercą idei Juliusza Kossaka był jego syn Wojciech, który autentyczność obu prac prezentowanych w Muzeum Górnośląskim w Bytomiu potwierdził lakową pieczęcią z herbem rodu Kossaków „Kos” wraz z adnotacją o autorstwie jego śp. ojca.

Premierowy pokaz szkicu do obrazu *Nauka polowania z sokołem* Juliusza Kossaka w Muzeum Górnośląskim trwał 13 dni (7 – 19 czerwca).

Teatr Śląski w Gdyni

KATOWICE-GDYNIA. Obrazy Erwina Sówki, spektakl na podstawie prozy Szczepana Twardocha, sceniczny Rysiek Riedel, modernistyczny spacer po Katowicach czy Śląsk w obiektywie najlepszych fotografów-reportażystów znalazły się w programie 11. Festiwalu Sztuk Współczesnych R@Port w Gdyni. Teatr Śląski został zaproszony na festiwal jako gość specjalny. Wydarzenie zainaugurował spektakl „Morfina” w reż. Eweliny Marciniak, a zakończył „Skazany na bluesa” w reż. Arkadiusza Jakubika. Ważnym wydarzeniem była debata o teatralnym cyklu „Śląsk święty/Śląsk przeklęty”, w której wziął udział Robert Talarczyk, dyrektor katowickiej sceny. W Gdyni odbył się także wykład o sztuce naiwnej, a dzięki uprzejmości katowickiej Galerii Szyb Wilson pokazane zostały obrazy Erwina Sówki. W Muzeum Miasta Gdyni, które promuje tamtejszy szlak architektury modernistycznej, odbyło się spotkanie o bliźniaczej inicjatywie z Katowic – spacerownik po modernie ze Śląska. W Teatrze im. W. Gombrowicza zostały także udostępnione fotografie teatralne



Juliusz Kossak, Nauka polowania z sokolem, 1882, akwarela, papier

i reportaże dotyczące takich sztuk jak „Czarny ogród” czy „Piąta strona świata”. Istotną częścią festiwalu był Konkurs o Gdynską Nagrodę Dramaturgiczną, w której jednym z jurorów w tym roku jest Artur Pałyga, wcześniejszy laureat tego wyróżnienia, dramaturg Teatru Śląskiego. Przez tydzień Teatr Śląski był ambasadorem kultury regionu, w którym lokalność od lat jest niezwykle ważnym tematem podejmowanym przez współczesnych twórców. 11. Organizatorem Festiwalu Sztuk współczesnych w Gdyni był Teatr Miejski im. Witolda Gombrowicza.

Więcej edukacji regionalnej w szkołach

KATOWICE. Sejmik Województwa Śląskiego przyjął rezolucję w sprawie edukacji regionalnej w nowej „Podstawie programowej kształcenia ogólnego”. Zdaniem radnych problemem polskiego systemu oświaty jest brak możliwości kompleksowej realizacji edukacji regionalnej. Szansą na poprawę sytuacji są zainicjowane przez MEN prace nad podstawą programową kształcenia ogólnego.

„Kształtowanie obywatelskiej odpowiedzialności za region i poczucia zakorzenienia, potrzebnego dla prawidłowego rozwoju osobowego, powinno stać się jednym z ważnych zadań polskiej szkoły. Konieczność zmian uświadamiają wyniki badań przeprowadzonych w województwie śląskim, gdzie 90% uczniów nie potrafi wskazać ani jednego wydarzenia lub postaci z historii regionu” – czytamy w rezolucji.

Premiera w Teatrze „Ateneum”

KATOWICE. 28 maja na afiszu Śląskiego Teatru Lalki i Aktora Ateneum pojawił się nowy i zarazem ostatni w tym sezonie tytuł. „Miłość do trzech pomarańczy” powstały na motywach baśni XVIII-wiecznego weneckiego dramaturga, Carla Gozziego. Jego tekst nie miał jednak charakteru sztuki teatralnej; autor zostawił jedynie tzw. „Analisi riflessiva” („Analizę refleksyjną”), czyli zapis gotowego już przedstawienia, a raczej próbę opisu tego, co działo się na scenie w teatrze improwizacji. Na podstawie tego właśnie włoskiego dokumentu Zbigniew Głowacki napisał własną wersję. Ta fantastyczna historia znana z wielu przeróbek (m.in. z opracowania Wsiewołoda Meyerholda czy libretta do opery Sergiusza Prokofiewa pod tym samym tytułem), w inscenizacji katowickiego teatru przeznaczona jest dla dzieci od 7 lat, ale atrakcyjna forma powinna zaciekać również młodzież i dorosłych widzów. Spektakl łączący żywy plan, maski i lalki, nawiązuje bowiem do włoskiej komedii dell’arte. Interesujące będzie spojrzenie na nią z podwójnego dystansu – czasowego i kulturowego. Autor i zarazem reżyser z tradycją tej konwencji zetknął się bezpośrednio (ma za sobą kilkuletni epizod w słynnym rzymskim teatrze Nuova Opera dei Burattini), realizacja zapowiada się zatem szczególnie interesująco. Tym bardziej że jej współtwórcami są Eva Farkašova (scenografia), Bogdan Szczepański (muzyka) i Ewelina Ciszewska (ruch sceniczny), artyści, których rekomendować nikomu nie trzeba.

Inszenizacja „Miłości do trzech pomarańczy” zamyka sezon jubileuszowy i obchody 70-lecia Teatru Ateneum.



Juliusz Kossak, Nauka polowania z sokolem – szkic, przed 1882, akwarela (fragment)

Oblicza sztuki

KATOWICE. Stowarzyszenie Historyków Sztuki Oddział Górnośląski w Katowicach było organizatorem sesji naukowej pt. „Oblicza sztuki na obszarze obecnego województwa śląskiego w latach 1945–1975”. Miejszem konferencji był katowicki Pałac Młodzieży – jeden z najbardziej charakterystycznych obiektów dla powojennej architektury miasta.

W dwudniowej konferencji (2-3 czerwca) uczestniczyli m.in. dr hab. Irma Kozina, dr Ryszard Nakonieczny, Anna Syska, ks. dr Henryk Pyka, dr Jerzy Gorzelik, ks. dr Leszek Makówka i Irena Kontny.

Podczas sesji dyskutowano również o wybitnych scenografach na scenie Teatru Śląskiego w latach 1955–1975 (Jolanta Niedoba), dorobku fotograficznym Anny Chojnackiej (Zofia Szota), malarstwie Urszuli Brol i Andrzeja Urbanowicza (Ewelina Krzeszowska), o działalności Studia Filmów Rysunkowych w Bielsku-Białej (Patrik Oczko), architekturze Tychów i urbanistyce osiedli z lat 50. i 60. XX wieku (dr Maria Lipok-Bierwiazzonek).

Wystawa Michała Cygana

KATOWICE. Śląski Teatr Lalki i Aktora Ateneum zaprosił do Galerii Ateneum na wystawę malarstwa i grafiki Michała Cygana. Michał Cygan kończy w tym roku Wydział Grafiki Warszawskiej Akademii Sztuk Pięknych w Katowicach. Zajmuje się głównie malarstwem, grafiką tradycyjną oraz cyfrową; próbuje swoich sił również w plakacie i ilustracji, od niedawna tworzy też instalacje oraz prace przestrzenne, trójwymiarowe. Obecnie swoje prace realizuje w pracowni grafiki cyfrowej prof. Adama Romaniuka oraz pracowni malarstwa pod okiem prof. Kazimierza Cieślaka. Brał udział w wystawach zbiorowych, m.in. *Masa Perłowa* w EMDES Gallery we Wrocławiu, *Instynkt Lalki* w Muzeum Historii Katowic, w wystawach pokonkursowych: Biennale Malarstwa *Bielska Jesień* 2015, Międzynarodowego konkursu Ex Libris Varna 2014 w Bułgarii, Grand Prix Młodej Grafiki Polskiej Kraków 2015, Międzynarodowego Triennale Grafiki w Krakowie, 2015. Ma za sobą również wystawę indywidualną w Klakier Gallery w Katowicach (2014).

Laureat I nagrody w Ogólnopolskim Konkursie im. Vincenta Van Gogha w Rybniku (2014), I nagrody w konkursie na plakat *150 lat hodowli żubrów w Pszczynie* (2015), II nagrody w konkursie *Ulica Thémersonów* w Płocku oraz wyróżnienia w Międzynarodowym Triennale Mediów Cyfrowych w Radomiu (2014). Stypendysta Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Pomagać muzyką

KATOWICE-BĘDZIN. Grzegorz Majzel – muzyk, ale również wokalista, twórca, artysta, organizator i producent. Pełen energii, optymizmu, pomysłów i wytrwałości. Wszystko, czym się zajmuje, robi z pasją i pełnym zaangażowaniem oraz dbałością o każdy



„Miłość do trzech pomarańczy” – najnowsza premiera Teatru „Ateneum”

szczegól. Jako muzyk ma w swoim dorobku wiele projektów muzycznych. Inspirowany życiem i tym, co go fascynuje i otacza, tworzy coraz to nowe utwory, które wykonuje na koncertach i nagrywa na płyty. Jest laureatem wielu nagród, wśród których najważniejszymi są: Nagroda Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego za „Działalność kulturalną na terenie Polski”, Złota Odznaka Honorowa za zasługi dla Województwa Śląskiego, Nagroda Prezydenta Miasta Będzina za całokształt twórczości i upowszechnianie kultury, odznaka honorowa „Zasłużony dla Kultury Polskiej”. Koncertuje z gwiazdami polskiej sceny, takimi jak: Ewa Bem, Michał Bajor, Marcin Daniec, Kabaret Rak i Kabaret Długi, Cezary Pazura, zespół Dżem. Ostatnio Dawid Podsiadło, Grupa MoCarta i Orkiestra symfoniczna Sinfonietta Cracovia.

W Studio 3 Programu im. Agnieszki Osieckiej w Warszawie z Grupą MoCarta nagrał utwór „Chińskie ogrody” (muzyka Marcin Janus, tekst Grzegorz Majzel) – utwór, który powstał by pomóc dzieciom chorym na dystrofię mięśniową. Samodzielną karierę rozpoczął autorskim projektem „Grzegorz Majzel Lirycznie”, w którym pokazuje się w nieco innej muzycznej odsłonie. Ciekawy koncert zagrany w Zabytkowej Kopalni Guido w Zabrze z gitarzystą Piotrem Radeckim z formacji KAT został zarejestrowany na płytach. W wydarzeniu tym uczestniczyli również Jan Gałach oraz sopranistka Olimpia Karbownik. W Zabytkowej Kopalni Guido w Zabrzu we wrześniu 2015 r. miała miejsce premiera kolejnego utworu: dedykowanego wspianemu sportowcowi, polskiemu olimpijczykowi, snowboardziście Mateuszowi Ligoockiemu, który zmagął się z poważną chorobą. Stąd tytuł „TEO-MA Sny o zwycięstwie”. Na premierze teledysku zrealizowanego przez Adama Jurowskiego utwór zabrzmiał po raz pierwszy z kwartetem smyczkowym Grupą MoCarta w pięknej sali koncertowej MUZA w Sosnowcu. Utwór ten szybko znalazł się na antenie radiowej a teledysk w programach telewizyjnych. Poza częstym wykonywaniem tego utworu na żywo na koncertach, pojawiło się kolejne ciekawe wykonanie tego utworu. Tym razem było to w Krakowie na dobroczynnym koncercie dla „Milczących Aniołów”. Wyśmienitą aranżację na orkiestrę symfoniczną napisał Michał Rus. Po TEO-MA Grzegorz Majzel znowu sięgnął po inspirację do świata sportu. Feliks Stamm, zwany Papą Stamm to wyjątkowa postać sportu z lat 50., legendarny trener bokserski, ikona boksu. Człowiek, który jako trener siedmiokrotnie uczestniczył w Igrzyskach Olimpijskich (od 1939 r. do 1968 r.) i 14 razy prowadził Polskę w turniejach o mistrzostwo Europy. Utwór, który Grzegorz Majzel stworzył to energetyczna, rockowa muzyczna opowieść o kulturze, o sporcie i o kimś wyjątkowym.

Pod patronatem „Śląska”

II Konwent Kobiet Sukcesu

SOSNOWIEC. O tym, że każda kobieta może odnieść sukces – i to na wielu płaszczyznach życia prywatnego i zawodowego – 30 czerwca (początek o godz. 9.00) będą przekonywały panie z Centrum Rozwoju Kobiet Wyższej Szkoły Humanitas w Sosnowcu, podczas II edycji Konwentu Kobiet Sukcesu. Po raz kolejny najlepsi



Michał Cygan, *Noc*, druk pigmentowy na srebrnym podkładzie, 50x70

specjaliści i trenerzy z regionu opowiedzą uczestniczkom wydarzenia o tajnikach budowania marki osobistej, sposobach motywacji zawodowej, godzeniu obowiązków pani domu z pracą, czy prowadzeniu własnego biznesu. Panie porozmawiają również o wyzwaniach kobiecej przedsiębiorczości w zetknięciu ze współczesną gospodarką, zaś najbardziej aktywne i zasłużone osobistości regionu odbiorą Nagrody „Kobieta Humanitas”.

Konwent Kobiet Sukcesu koncentruje się na tematyce przedsiębiorczości kobiet oraz ich istotnej roli w rozwoju lokalnego biznesu. W programie tegorocznej edycji nie zabraknie prelekcji uznanych trenerek i pań, którym prowadzenie własnej firmy znane jest od podszewki. To one zdradzą co zrobić, by prowadzenie biznesu korespondowało jednocześnie z budowaniem marki osobistej, czy też w jaki sposób kreować swój wizerunek, by został on doceniony przez pracodawcę. Uczestniczki znajdą także odpowiedź na pytanie, jak frustrację przekuć w motywację, a swoją pracę zamienić w prawdziwą pasję.

Jednym z jego kluczowych punktów będzie uroczystość wręczenia Nagród „Kobieta Humanitas”, mających na celu promowanie postaw przedsiębiorczych oraz wspieranie rozwoju zawodowego i osobistej kobiet aktywnie zaangażowanych w działalność lokalnej (i nie tylko) społeczności. Nagrody w trzech kategoriach: *Biznes*, *Kultura* i *Spoleczeństwo* oraz nagrodę honorową, przyzna kapituła składająca się z przedstawicieli lokalnych samorządów, władz WSH, dziennikarzy, przedstawicieli stowarzyszeń, organizacji branżowych, instytucji kultury, nauki etc.

Cienie z Italii

BIELSKO-BIAŁA. Teatr Cieni *Gioco Vita* zdobył Grand Prix XXVII Międzynarodowego Festiwalu Sztuki Lalkarskiej, który od 18 do 22 maja odbył się w Bielsku-Białej. Artyści z Italii wystawili na scenie TL Baniałuka „Rycerza nieistniejącego” wedle Italo Calvino. Nagrodę za najlepszy spektakl dla dzieci otrzymał Charkowski Akademicki Teatr Lalek im. W. Afanasjewy z Ukrainy za spektakl pt. „Jeż z mgły”. Nagrodą specjalną za mistrzowskie operowanie dźwiękiem i ruchem w przedstawieniu pt. „Szepty” uhonorowano teatr Cie Mossoux-Bonte z Brukseli. Drugą nagrodę specjalną otrzymał Michaił Szełomienczew z rosyjskiego Teatru Karlsson Haus za umiejętność opowiadania świata językiem zarówno wrażliwym, jak i okrutnym, w jego spektaklu pt. „Opowieści o Wani i tajemnicach rosyjskiej duszy”. M. Szełomienczew został też laureatem nagród pozaregulaminowych – ZASP oraz POLUNIMA. Dyplom honorowy przypadł teatrowi Hitomi-za Otome Bunraku z Kawasaki za wyjątkową lekcję żywego mistrzostwa tradycji w przedstawieniach „Sanbaso” i „Yoshitsune i tysiąc kwitnących wiśni”.

Nie tylko cienie

BIELSKO-BIAŁA. Jedną z ciekawszych imprez, które towarzyszyły XXVII Międzynarodowemu Festiwalowi Sztuki Lalkarskiej, była wystawa w Galerii Bielskiej BWA, w której zgromadzono lalki arty-



Koncert Grzegorza Majzla

styczne grupy POLA. W Książnicy Beskidzkiej widzieliśmy natomiast prace litewskiej scenografki Julii Skuratowej, inspirowane starymi książkami dla dzieci. W kinie Studia Filmów Rysunkowych prezentowano natomiast filmy animowane twórcy bielskiej Białulki Jerzego Zitzmana. Odbyły się także rozmowy nt. wybitnego twórcy Henryka Jurkowskiego. Spośród działań dostępnych szerokiej publiczności wrażenie zrobiły akcje holenderskiego artysty Toona Maasa oraz widowisko berlińskiego teatru Dundu pt. „Dundu tańczy z gwiazdami”.

Nocny horror

BIELSKO-BIAŁA. Tegoroczna „Noc Muzeów” w Bielsku-Białej odbywała się podczas festiwalu lalkowego, co stanowiło dodatkową ciekawą scenografię dla wędrowek miłośników kultury po muzealnych obiektach. W Galerii Bielskiej BWA można było oglądać m.in. hotel dla pszczoł samotnic zbudowany przez artystę Jarosława Koziańkę, a w Książnicy Beskidzkiej program pn. „Kryminalna noc w bibliotece”. Przestępcy, którzy zbyt długo przetrzymywali książki, zostali objęci amnestią. Zwiedzano historyczne obiekty sąsiedniego Bielskiego Syjonu – wewnątrz i wieżę kościoła Zbawiciela, dawną szkołę ewangelicką (obecnie Wyższa Szkoła Administracji). Przy dźwiękach „Upiora w operze” zwiedzano po zmroku stary ewangelicki cmentarz.

Miasto odczytane?

BIELSKO-BIAŁA. „Czytanie miasta. Bielsko-Biała jako kulturowy palimpsest” to tytuł książki pod red. pomysłodawców tej monografii Marka Bernackiego i Roberta Pysza, którą wydało Wydawnictwo Naukowe Akademii Techniczno-Humanistycznej przy współudziale Wydziału Kultury i Sztuki UM w Bielsku-Białej. 9 maja w DK „Kubiszówka” odbyła się promocja książki, która jest plonem konferencji naukowej pn. „Bielsko-Biała: historia – kultura – sztuka”. – Mieszkańcy Bielska-Białej, czując się coraz bardziej rodowitymi bielszczanami, krok po kroku odkrywają niełatwą przeszłość swojego miasta, współtworzonego niegdyś przez wieloetniczną i wielowyznaniową wspólnotę – powiedział podczas promocji książki prof. ATH, dziekan Marek Bernacki.

Dwie książki

CIESZYN. Wydawnictwo Augustana opublikowało dwie książki o dziejach wybitnych postaci życia ewangelickiego na Śląsku Cieszyńskim. „Niosła mnie radość służby” to „wspomnienia z czasów przemian” bielszczanina, luterańskiego duchownego i biskupa Kościoła Ewangelicko-Augsburskiego w RP (w latach 1991–2001) Jana Szarka. Ks. biskup nie szczędzi czytelnikom wielu anegdot i interesujących opowieści o latach PRL i przemian ustrojowych w naszym kraju. „Rodzina Burschów. Opowieści o polskich ewangelikach” to książka poświęcona losom pokoleń ewangelików, którzy na ziemi polskiej trafili w XIX w. Traktuje m.in. o biskupie Juliuszu Bursche, który w 1942 r. został zamordowany w obozie w Sachsenhausen. Wśród autorów



XIX Międzynarodowy Konkurs Cyfrowej Fotokreacji CYBERFOTO

znaleźli się badacze – socjolog Juliusz Gardawski (prawnik biskupa) i historyk Aleksander Łupienko (praprawnuk).

Pełnoletni

CIESZYN. Jak zwykle w długi majowy weekend rekordy popularności bił międzynarodowy festiwal „Kino na Granicy” w Cieszynie i Czeskim Cieszynie. Miasto po obu stronach granicznej Olzy odwiedziło podczas osiemnastego festiwalu ponad 1,5 tys. kinomanów oraz kilkudziesięciu twórców z Polski, Czech i Słowacji. – Cieszyn to piękne miasto. Lubię atmosferę, która tutaj panuje. Nie kroczymy po czerwonych dywanach, jest bardzo naturalnie – powiedziała Agata Kulesza. Wątkiem przewodnim tegorocznej edycji był cykl „Osiemnastka na osiemnastkę”, dlatego zobaczyliśmy „Niewinnych czarodziejów” A. Wajdy, „Ostatni dzwonek” M. Łazarkiewicz czy „Baby Bump” K. Czekała oraz wieczorne pokazy filmów dla pełnoletnich – „Parno nie porno” ze „Sztuką kochania” J. Bromskiego i „Porno” M. Koterskiego. Ważnym punktem programu była retrospektywa Łódzkiej Szkoły Filmowej. Zobaczyliśmy kilkadziesiąt etiud, a także „Krolla” W. Pasikowskiego, „Rysopis” J. Skolimowskiego czy „Śpiewający obrusik” cieszyńianina M. Grzegorzka.

4 czerwca w Parku im. J. Słowackiego w Bielsku-Białej odbył się XIII Międzynarodowy Festiwal Orkiestr Dętych „Złota Trąbka”, a następnego dnia w tym samym miejscu byliśmy świadkami Festiwalu Baniek Mydlanych.

Cyfrowe tożsamości

CZĘSTOCHOWA. W tym roku na XIX Międzynarodowy Konkurs Cyfrowej Fotokreacji CYBERFOTO wpłynęło 230 prac 45 autorów. Jury w składzie: Krzysztof Jurecki, Krystyna Małgorzata Dołowska, Antoni Kreis oraz Sławomir Jodłowski, nagrodiło następujące osoby: Marzenę Kolarz z Krakowa za cykl *Bestiariusz*, Judytę Bernąś z Będzina za cykl *Jednia 7, 10, 13*, Annę Andrzejewską z Będzina za cykl *Who Am I*. Wyróżniono także: Jolantę Krawiec, Franciszka Kluczyńskiego, Jacka Szczerbaniewicza, Tadeusza Dudzińskiego oraz Kamilę Rosińską. Konkurs został zorganizowany przez Regionalny Ośrodek Kultury w Częstochowie, Związek Polskich Artystów Fotografików Oddział Śląski, Fotoklub Rzeczypospolitej Polskiej Stowarzyszenie Twórców oraz Narodowe Centrum Kultury w Warszawie. Patronat nad konkursem objęli Marszałek Województwa Śląskiego oraz Prezydent Miasta Częstochowy.

Na wystawę pokonkursową wybrano 92 prace 38 autorów. Można je było oglądać do 2 czerwca w Galerii Art-Foto ROK.

Metafizyka i przyroda

CZĘSTOCHOWA. 6 maja w OPK Gaude Mater odbyło się spotkanie z poetą Tadeuszem Chabrowskim. Głównym tematem rozmowy, którą prowadziła profesor Elżbieta Hurnik, był tomik *Nitka nieskończoności* w wyborze i opracowaniu Izabeli J. Barry, polonistki, bi-

bliotekarki, a przede wszystkim animatorki kultury w dzielnicy Greenpoint w Nowym Jorku, gdzie twórca mieszka od lat. Tomik wydała Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza w 2014 r., a obecnie przygotowuje drugie wydanie. Na zbiór złożyły się wiersze z poprzednich zbiorów oraz utwory będące zapisem choroby i śmierci żony. Układ podkreśla refleksyjność i poszukiwania religijne Tadeusza Chabrowskiego. Jednym z wątków rozmowy był sposób utrwalania w poezji przestrzeni ważnych biograficznie – Częstochowy (autor urodzony w Złotym Potoku przez wiele lat był paulinem na Jasnej Górze), Pensylwanii czy Nowego Jorku, a także zachwytu przyrodą, obecnego m.in. w *Zielniku Sokratesa*. Tadeusz Chabrowski odwiedza nasze miasto dość regularnie. Kolejne spotkanie z poetą, dyrektor OPK Gaude Mater, Tadeusz Piersiak, zapowiedział na jesień.

Kantor inspiruje

CZĘSTOCHOWA. W Teatrze im. Adama Mickiewicza w Częstochowie 13 maja można było zobaczyć spektakl przygotowany w ramach projektu *Kantor_Tropy*. To *Najlepszy spektakl OFF-OFF* w rankingu „Gazety Świętojańskiej”, obejmującym kulturalne wydarzenia Pomorza. W spektaklu teatru Amareya Katarzyny Pastuszek we współpracy z Misako Uedem pojawiły się nawiązania do teatru Tadeusza Kantora, przepuszczone przez tradycję sztuki japońskiej – elementy teatru butō (artyści wystąpili jednak bez typowego makijażu), oraz kulturę nowoczesną (elektroniczna muzyka na żywo Joanny Dudy). W projekcie wzięli udział goście z Japonii, a kostiumy przygotował Daisuke Tsukuda. W przedstawieniu można rozpoznać klisze z przedstawień Tadeusza Kantora, a przede wszystkim typowy dla niego namysł nad budowaniem scenicznego obrazu, uzupełnionego zniekształconymi słowami – m.in. pojawiło się zdanie *jest sztuka dobra i jest sztuka zła* oraz fragment o „spadaniu poziomym” zaczerpnięty z wiersza Tadeusza Różewicza *Spadanie*. Pokazana na scenie historia człowieka współczesnego jest dość przygnębiająca i przerażająca, zwłaszcza posilek z kości czy zawieszony na pętli oskubany kurczak.

40 lat minęło

CZĘSTOCHOWA. Marian Panek świętował w MGS jubileusz pracy twórczej wystawą *Evokowanie obrazu*. Artysta ukończył Akademię Sztuk Pięknych w Krakowie (na Wydziale Malarstwa, potem Studium Scenografii Teatralnej, Filmowej i Telewizyjnej), obecnie jest pracownikiem akademickim, performerem, dbającym o wizualną i teatralną kulturę Częstochowy. Marian Panek jest artystą wielowymiarowym, ma na swoim koncie happeningi, performance, instalacje, malarstwo i rysunek. Jest też krytykiem sztuki i poetą. Sięga do tradycji modernizmu – secesji, dadaizmu, abstrakcjonizmu czy malarstwa gestu. Inspiruje się także unizmem Władysława Strzemińskiego. Na wystawie pokazano rysunki, malarstwo oraz filmy rejestrujące działania artystyczne Panka, m.in. *Autoportret rytualny*. Jednym z ważnych motywów na obrazach są trójkąty – to nawiązanie do S. I. Witkiewicza (Witkacego) i jego *Małego dworku, czyli niepodległości trójkątów* albo twórczości Tadeusza Kantora? Była więc *Wojna trójkątów* czy *Przemarsz trójkątów*. Często pojawia się lokomotywa (również biała z wiersza Edwarda Stachury). Szczególnie ciekawy jest cykl *Artykulacje*, zwracający uwagę już tytułami kolejnych prac, np. *Skażenie przestrzeni, Rozsuwanie przestrzeni czy Łapacze chmur*, oraz *Obrazy medytacyjne*. Obok nich pojawiły się także prace zaangażowane, np. *Nike*, a zwłaszcza *Czarna Nike Solidarności* (1983). Podczas wernisażu Marian Panek zrekonstruował happening Tadeusza Kantora *Lekcja anatomii wedle Rembrandta*.

Częstochowskie Gaude Mater

CZĘSTOCHOWA. W tym roku 26. Festiwal Muzyki Sakralnej odbywał się od 30 kwietnia do 6 maja pod honorowym patronatem Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej i przy wsparciu Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego. Tematem przewodnim były formy liturgiczne – msza, pasja czy nieszpory. Koncerty odbywały się w Częstochowie, Radomsku, Nowej Brzeźnicy, Wrzosowej, a także Bydgoszczy, Krakowie, Warszawie oraz Brauweiler. W naszym mieście głównym miejscem festiwalowym była Bazylika Jasnogórska. Tu

przygotowano: *Pasję wg św. Mateusza* J.S. Bacha w wykonaniu Die Kölner Akademie, muzykę ze zbiorów jasnogórskich (Zespół Muzyki Dawnej *La Tempesta*), utwory W.A. Mozarta (Polski Chór Kameralny Schola Cantorum Gedanensis oraz Ensemble Sans Souci Berlin), a na finał koncert *Historia Polski – losami świętych opowiedziana*, na który złożyły się utwory K. Pendereckiego, W. Kilara, M.M. Góreckiego, P. Łukaszczyńskiego oraz P. Sydora. W sale koncertowe przemieniły się także inne kościoły, które od lat współpracują z festiwalem. Było współcześnie i tradycyjnie. Szczególnie uczczono w tym roku 90. urodziny Juliusza Łuciuka.

Obchody 95. rocznicy III powstania śląskiego na Górze Św. Anny

GÓRA ŚW. ANNY. Pod Pomnikiem Czynu Powstańczego z asystą wojskową odbyły się obchody 95. rocznicy III powstania śląskiego z udziałem mieszkańców województwa opolskiego i śląskiego, na które licznie przybyli przedstawiciele władz państwowych i samorządowych obu regionów, delegacje organizacji kombatanckich wraz z pocztami sztandarowymi, służby mundurowe i harcerze m.in. z Głubczyc, Grodkowa i Kietrza. Po hymnie narodowym i modlitwie głos zabrali m.in. wojewoda polski Adrian Czubak i marszałek województwa opolskiego Andrzej Buła, który w swoim wystąpieniu okolicznościowym powiedział: *Spotykamy się na Górze Świętej Anny, żeby oddać hold bohaterom powstań śląskich. Czyn i ofiara są wpisane na zawsze w to miejsce. Jednocześnie są naszym wspólnym dziedzictwem, które zobowiązuje nas nie tylko do pamięci, ale wspólnego działania w imię całej społeczności Śląska*. Następnie Marszałek poinformował zebranych, że samorząd województwa opolskiego wspólnie z samorządem województwa śląskiego będą wspierać wydanie Leksykonu Powstań Śląskich, tak aby ta ważna publikacja dla historycznej pamięci i edukacji młodego pokolenia mogła ukazać się na setną rocznicę I powstania śląskiego. – *Jestem przekonany, że tutaj, na tej pięknej górze pamięci, każdy pochyli głowę w zadumie i z szacunkiem dla naszych przodków. Bowiem Góra Świętej Anny to historia, ale współcześnie dla Ślązaków to także góra cennych wartości. A wartość najwyższa, to wspólnota Śląska oraz głęboko zakorzeniony szacunek dla odmienności i wielokulturowości, ekumenizm i dialog ponad podziałami* – powiedział marszałek województwa opolskiego. Na zakończenie uroczystości, po apelu pamięci i salwie honorowej, złożono wieńce i wiązanki kwiatów, po czym harcerze zaprosili uczestników obchodów do zdjęcia zbiorowego na stopniach Pomnika Czynu Powstańczego.

Jubileusz 70-lecia PSM im. Józefa Elsnera w Brzegu

BRZEG. W lecie 1945 roku do miasta zniszczonego przez działania wojenne przybył Edward Olszewski w celu utworzenia Prokuratury Sądu Okręgowego i wspólnie z Adamem Noworytą dyrektorem Fabryki Pianin i Fortepianów (później pierwszym dyrektorem szkoły) podjął pionierskie działania na rzecz utworzenia szkoły muzycznej w Brzegu. Wspominał on po latach: *Profesorowie nie bacząc na niesłychane trudności i ciężkie warunki pracy, porwani zapalem przystąpili do tworzenia szkoły; na lekcje przynosili własne żarówki, uczyli w nieopalanym pokoju, bez stałych poborów, dzięki ofiarności tej garstki entuzjastów szkoły, rozpoczęła ona działalność już w marcu 1946 roku*. Obecnie PSM im. Józefa Elsnera kierowana przez dyrektora Grżynę Kotecką mieści się w odnowionej siedzibie i świętuje rok jubileuszowymi okolicznościowymi koncertami, które odbywają się w auli szkoły i w sali koncertowej Muzeum Piastów Śląskich z udziałem absolwentów i uczniów szkoły. Podczas galowego koncertu wieńczącego 70-lecie wystąpiła Orkiestra Kameralna „Camerata-Wrocław”, którą dyrygował absolwent szkoły Jan Pogany. Jako soliści wystąpili: Midori Ahmed – solistka Opery w Monachium oraz absolwenci i uczniowie szkoły – Oliwia Lis (gitara), Barbara Trzonkowska, Barbara Hnat, Marzena Kowalska (fortepian), śpiewacy: Agnieszka Sobczak (sopran), Krzysztof Kołodziejczyk (baryton), Magdalena Chudzikiewicz (flet) i Łukasz Kotecki (saksofon). Jubileuszowy koncert był okazją do uhonorowania nauczycieli i pracowników Szkoły odznaczeniami państwowymi i resortowymi, które wręczali: przedstawiciel Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego i wicewojewoda polski Violetta Porowska. Okolicznościowe listy i wiązanki kwiatów

przekazali jubilatowi burmistrz Brzegu Jerzy Wrębiak, starosta brzeski Maciej Stefański i marszałek województwa Andrzej Buła. Mury brzeskiej szkoły muzycznej opuściło blisko tysiąc absolwentów, wielu podjęło naukę w średnich szkołach muzycznych, akademiach muzycznych, koncertują w kraju i zagranicą. Na estradzie szkolnej auli fortepianu podarowany przez urodzonego w Brzegu maestro Kurta Masura, przypomina utalentowanej młodzieży, że z tego miasta można zawsze wyruszyć w szeroki świat artystycznej przygody.

W SKRÓCIE...

■ Muzeum Historii Katowic, dział teatralno-filmowy zaprosił na wystawę grafiki Natalii Romaniuk – absolwentki katowickiej ASP, laureatki licznych nagród i wyróżnień. Artystka uprawia fotografię, grafikę warsztatową – akwafortę, grafikę cyfrową i grafikę projektową.

■ Na wystawę malarstwa Edyty Rutkowskiej zaprasza galeria Art-Nova2 ZPAP w Katowicach.

■ W ramach Ogólnopolskiej Nocy Bibliotek na spotkanie z czytelnikami zaprasza Miejska i Powiatowa Biblioteka Publiczna w Będzinie. W programie znalazła się projekcja przedpremierowego filmu „Śledztwo. The Inquest” Ewy Kielskiej, koncert „Pytania do życia” Grzegorza Majzla, Spotkanie z Wiktoria Szumiątą i promocja jej debiutanckiego tomiku „Pod Wiatr”, spotkanie z Wojciechem Grabowskim – akcja „Book Truck” oraz prezentacja teatryku „Zielona Geś” Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego.

■ Towarzystwo Miłośników Ziemi Pszczyńskiej przygotowało spotkanie z okazji 40-lecia istnienia jednej z najsłynniejszych imprez – „Spotkania pod Brzymem”, odbywającej się w Zagrodzie Wsi Pszczyńskiej, a gromadzącej artystów plastyków i zespoły regionalne – podczas Folklorystycznych Spotkań. Wspomnieniami ze „Spotkań pod Brzymem” dzielił się Aleksander Spyra – wieloletni prezes TMZP i twórca Spotkań.

■ Zespół Pieśni i Tańca „Śląsk” im. St. Hadyny zapraszał na Koncert Galowy II Ogólnopolskiego Festiwalu Polskich Tańców Narodowych dla uczniów Ogólnokształcących Szkół Baletowych, który odbył się 13 maja w Koszęcinie.

■ W galerii „Na Żywo” Radia Katowice odbywała się wystawa pedagogów Zespołu Szkół Artystyczno-Projektowych w Tarnowskich Górach.

■ W ramach Nocy Muzeów w Muzeum Miejskim Siemianowicach Śląskich odbywała się wystawa malarstwa Jana Jończyka, koncert Józefa Skrzeka, pokaz „Światło-dźwięk” przygotowany przez pracownię Intermedialną i technik Cyfrowych ASP w Katowicach, promocja tomu poetyckiego Janiny Partyki-Pojętej, prezentacja wierszy siemianowickich poetów a także recital gitarowy Adama Buła.

■ Panel dyskusyjny wokół książki Augusta Scholtisa „Wiatr od Wschodu. Śląsk opowieść sowizdrzalska” z udziałem prof. dr hab. Grażyny Barbary Szewczyk, dr. hab. Zbigniewa Kadłubka, prof. dr. hab. Mariana Kisiela oraz tłumacza Aloisa Smolorza przygotowało Muzeum Śląskie w Katowicach.

■ Na koncert klawesynistki Małgorzaty Klajn w ramach „Wieczorów klawesynowych w Muzeum Archidiecezjalnym. Marek Toporowski przedstawia” zapraszała Instytucja Promocji i Upowszechniania Muzyki „Silesia”.

■ W kościele pw. Podwyższenia Krzyża Św. i św. Herberta w Katowicach wystąpili laureaci I Międzynarodowego Konkursu Solowej Wokalistyki Sakralnej: Nicole Wodzińska (sopran), Szymon Szymik (baryton), Barbara Lorenc (organy).

■ Galeria „5” Miasta Ogródów w Katowicach zapraszała na wernisaz fotografii Marcina Górskiego „Noc Fado/Noite do Fado”. Jest to fotograficzna opowieść o ludowej wersji fado – Fado vadio, często łączonej z fado z Coimbra, które kontestowało reżim Salazara. Marcin Górski jest fotografem, kuratorem i popularyzatorem fotografii. Współzałożyciel i prezes Gliwickiego Domu Fotografii, współautor The F Blog i blogu Miejsce Fotografii, członek portugalskiego stowarzyszenia Fotoalternativa i Kolektywu KGF, członek redakcji Fotoindexu, współpracownik magazynów Dilema i Camera. Jego prace były pokazywane na ok. 40 wystawach indywidualnych i zbiorowych we Francji, Portugalii, Szwecji, Polsce, Wielkiej Brytanii, Włoszech, Japonii i Czarnogórze. Autor i współautor kilku książek fotograficznych w Polsce, Portugalii i Iranie.

■ Związek Polskich Artystów Fotografików Okręg Śląski zapraszał na wernisaz zbiorowej fotografii „Zapomniany Śląsk”.

■ W Muzeum Archidiecezjalnym w Katowicach można było oglądać wystawę grafik „Fragmenty świata” Weroniki Siupki.

■ 4 czerwca w Parku im. J. Słowackiego w Bielsku-Białej odbył się XIII Międzynarodowy Festiwal Orkiestr Dętych „Złota Trąbka”, a następnego dnia w tym samym miejscu byliśmy świadkami Festiwalu Baniek Mydlanych.

■ Z okazji XVIII Międzynarodowego Festiwalu Filmowego „Kino na Granicy” w Cieszynie odbyły się liczne spotkania z twórcami. O swoich filmach opowiedzieli m. in. Kuba Czekaj, Marek Koterski, Kinga Dębska, Dušan Trančík, Grzegorz Królikiewicz, Agnieszka Smoczyńska, Tomasz Wasilewski i Magdalena Łazarkiewicz. Można było tu spotkać także bohaterki retrospektyw aktorskich: Agatę Kuleszę, Magdę Vášáryovą, Annę Geislerovą, Mariana Dziędziela, Jolantę Fraszyńską czy Martę Nieradkiewicz.

■ Podczas tegorocznego „Kina na Granicy” po raz pierwszy gościł teatr. Ogólnopolską premierę miał monodram „Nie lubię pana, Panie Fellini” w wykonaniu Małgorzaty Bogdańskiej i w reżyserii Marka Koterskiego. Widzowie spotkali się także z autorami książek Jerzym Kronholdem i Łukaszem Maciejewskim, który do rozmowy o swym dziele „Aktorki. Portrety” zaprosił Jolantę Fraszyńską i Małgorzatę Zajączkowską.

■ W pejzażu muzycznym Bielska-Białej pojawił się nowy klub muzyczny – Matrum Jazz Club. Otwarcie uświetnił 14 maja Jan Ptaszyn Wróblewski Quartet. 22 maja wystąpili natomiast Silberman, Jan Peszek and Three of a Perfect Pair.

■ 9 maja w Klubie Nauczyciela w Bielsku-Białej swój talent prezantorski prezentowała pisująca gwarą buczkowicką Stanisława Kopaczka. 16 maja natomiast odbył się tam wieczór autorski cieszyńskiego poety Stanisława Józefa Malinowskiego, który przedstawił wiersze ze swej nowej książki „Prace domowe”.

■ 13 maja w Książnicy Beskidzkiej odbyło się spotkanie autorskie z najlepszą bielską autorką książek dla dzieci i młodzieży – Renatą Piątkowską.

■ 16 maja w świeżo otwartym po remoncie klubie Bazyl (d. Bazyliżyszek) w Bielsku-Białej Beskidzkie Towarzystwo Fotograficzne zaprezentowało osobowość twórczą Lucyny Brzozowskiej, która swoje wiersze ilustrowała zdjęciami.

■ W Filharmonii Częstochowskiej wystąpił Maciej Maleńczuk, w klubie Rura: Natalia Nykiel; w kwadratach: Lech Dyblik, Mikser i Instrumenty a w MDK: Zespół Pieśni i Tańca Częstochowa i Chłopcy z Placu Broni.

■ Wystawa Tadeusza Żaczka *Duchowe pogranicze* gościła OPK Gaude Mater w Częstochowie.

■ W ramach Multimedia Symfonia Gwiazd wystąpił w Częstochowie dyrygent Grigor Palikarow z Bułgarii.

■ W klubokawiarni Ironia (Częstochowa) odbyły się pokazy IV Ogólnopolskiego Festiwalu Polskiej Animacji.

Sprostowanie

W artykule pt. „Prof. Edward Mąkosza – wielka postać „muzycznej Częstochowy” opublikowanym w „Śląsku” nr 4/2016 znalazła się błędna informacja. Otóż pan Edward Mąkosza był ojcem dwóch córek i syna, a nie, jak napisano – dwóch synów i córki. Bardzo serdecznie przepraszam rodzinę pana Edwarda Mąkoszy za ten niezamierzony błąd.

ELŻBIETA PISARCZYK

Z wielkim żalem przyjęliśmy wiadomość o śmierci

JERZEGO MOSKALA

wielkiego przyjaciela teatru, ludzi pióra, wybitnego scenografa, twórcy Centrum Scenografii Polskiej w Katowicach, grafika czasopism katowickich: *Przemian* i *Poglądów* a także wieloletniego grafika Wydawnictwa „Śląsk”.

*Rodzinie i najbliższym
przekazujemy szczerze wyrazy współczucia.*

Zarząd Górnos Śląskiego Towarzystwa Literackiego
i redakcja miesięcznika „Śląsk”

PASAŻEROWIE KZK GOP w poniedziałek 2 maja rano bezskutecznie próbowali doładować kartę SKUP. Na kilka godzin system kompletnie się zawiesił. To już kolejna wpadka systemu Śląskiej Karty Usług Publicznych. Jesienią ubiegłego roku, świeżo po uruchomieniu wieszaly się czytniki zamontowane w autobusach. Niezadowolone pasażerów wzbudziła decyzja przewoźnika o wycofaniu papierowych biletów krótko- i długookresowych. Pasażerowie skarżą się także m.in. na niewygodę korzystania z karty. Nawet jeśli ma się bilet miesięczny, kartę SKUP trzeba kasować przy wejściu i wyjściu z autobusu. Nie jest to zbyt funkcjonalne rozwiązanie.

CZĘSTOCHOWSKI samorząd wyliczył, że na zabezpieczenia lipcowej papieskiej pielgrzymki potrzebuje 20 milionów złotych i o taką kwotę zwrócił się do rządu. Pieniądze miałyby pochodzić z puli 180 mln zł, którą dysponuje województwo małopolskie na Światowe Dni Młodzieży. W związku z przyjazdem papieża na błoniach w Częstochowie oczekuje się na ok. 400 tys. osób. Co najmniej drugie tyle wiernych będzie w parkach podjaskogórskich, w alei Najświętszej Maryi Panny.

PORAŻAJĄCE są wyniki audytu w Katowickim Holdingu Węglowym – to kolejna węglowa spółka, która potrzebuje budżetowej (czytaj naszej) pomocy. Zadłużenie spółki sięga już 3 miliardów złotych, co stawia pod znakiem zapytania jej płynność ekonomiczną. Ponadto Holding musi zostać dopokapitalizowana kwotą pół miliarda złotych. By ratować spółkę, konieczne jest łączenie kopalń, trzeba przywrócić się także firmom zewnętrznym – to główne wnioski z audytu przeprowadzonego przez zespół ekspercki pod kierownictwem senatora Prawa i Sprawiedliwości, Wojciecha Piechy.

SPOŚRÓD 50 najbardziej zanieczyszczonych miast Unii Europejskiej aż 33 leży w Polsce. To dane WHO, czyli Światowej Organizacji Zdrowia, która opublikowała raport dotyczący zanieczyszczenia miast na świecie. Wyniki są zatrważające, bo wśród 50 miast, które zostały wymienione w raporcie (wszystkie przekraczają normy WHO co najmniej trzykrotnie), aż 33 leżą w naszym kraju. Niechlubnym rekordzistą jest Żywiec, który w zestawieniu znalazł się na pierwszym miejscu. Tuż za nim jest Pszczyna. W czołówce są także: Rybnik (4. miejsce), Wodzisław Śląski (5.), Opoczno (6.), Sucha Beskidzka (7.) i Godów (8.). Z miast województwa śląskiego w zestawieniu znalazły się także: Knurow, Zabrze, Katowice, Gliwice, Bielsko-Biała, a także – pod koniec zestawienia – Tychy oraz Żory.

WSPÓŁPRACOWAŁA z największymi polskimi reżyserami. Teraz wydała książkę z

wspomnieniami z sześćdziesięciu lat pracy – chodzi o publikację Barbary Ptak „Moje fascynacje filmem i teatrem”, w której wspomina swoją wieloletnią karierę. 16 maja w Teatrze Śląskim odbyło się spotkanie promujące książkę. Gośćmi specjalnymi byli m. in. Tomasz Konior, Krzysztof Korwin-Piotrowski, Jakub Lewandowski, Andrzej Seweryn i Daniel Olbrychski. Barbara Ptak to wybitna autorka kostiumów filmowych i teatralnych.

ROZPOCZĘŁY się zdjęcia do „Doliny Bogów”, nowego filmu Lecha Majewskiego. Katowicki reżyser znów skompletował hollywoodzką obsadę – grają m.in. John Malkovich, Josh Hartnett i John Rhys-Davies. 29 maja gwiazdorska ekipa przeniosła się z Dolnego Śląska do naszego regionu: do Katowic, Pszczyny i Sosnowca. „Film” będzie opowieścią o najbogatszym człowieku świata. Jak podkreśla reżyser, będzie to rodzaj moralitetu i współczesnej baśni dla dorosłych.

PRAWIE 8 tys. gości, ponad 100 paneli i debat, kilkuset panelistów, ponad pół tysiąca akredytowanych dziennikarzy i około 300 osób obsługi – to liczby trzydniowego Europejskiego Kongresu Gospodarczego, który trwał do 20 maja w Katowicach. Dominowały następujące tematy: przyszłość gospodarki, energetyka i klimat, zarządzanie szpitalami, przedsiębiorczość społeczna, wpływ młodych na zmiany gospodarczo-polityczne w Europie. W otwarciu obrad wzięli m.in. udział premier Beata Szydło oraz wicepremier Mateusz Morawiecki.

PODCZAS drugiego dnia EKG miały swą premierę biurowce KTW, które zastąpią zburzony budynek DOKP. Wyższy z nich ma mieć 133 m, niższy: 55 m. Autorami projektu ochrzczonego już „przesuniętymi kostkami” są architekci Przemysław Łukasik i Łukasz Zagala (wraz z zespołem) z pracowni Medusa Group z Bytomia. Ci sami, którzy w Katowicach zaprojektowali Tiramisu, czyli biurowce firmy Skanska na Dębie oraz wnętrza dworca PKP. Dodajmy, że architekt starego DOKP, w miejscu którego stanie KTW, Jerzy Gottfried, nie był zachwycony wizją architektów, choć przyznawał, że czas wreszcie na zmianę.

CZĘSTOCHOWA jest marginalizowana w nowej kampanii promocyjnej „Śląskie. Tu pasuję” – twierdzą radni z klubu Mieszkańcy Częstochowy, którzy chcieli nawet przerwaność specjalne stanowisko w tej sprawie. Ich zdaniem nie powinno być tak, że ambasadorowie tej kampanii są związani tylko z Górnym Śląskiem i Zagłębiem. Ostatecznie stanowisko zostało odrzucone głosami koalicji PO i SLD. Prezydent miasta, Krzysztof Matyjaszczyk, apelował o taką decyzję, by nie psuć dobrych kontaktów ze Śląskim Urzędem Marszałkowskim.

TYLKO w trzy dni urzędnicy gliwickiego magistratu wydali mieszkańcom miasta ponad 3 tysiące pilotów viaAuto. Rozdawane są za darmo. To urzędnicy, które pozwalają przejechać przez bramki na autostradzie A4 bez zatrzymywania się. Urzędnicy rozdają je, by ułatwić mieszkańcom darmowy przejazd lokalnym odcinkiem A4, który jest też obwodnicą Gliwic. Gdy akcja ruszyła – w czwartek, 19 maja – trzeba było stać w tasiemcowej kolejce około 40 minut, w piątek – pół godziny. Władze miasta przygotowały 10 tys. urządzeń dla mieszkańców.

SFRUNĄŁ na Śląsk orzeł biały. Tak brzmi tytuł wystawy poświęconej III powstaniu śląskiemu otwartej 23 maja w polskim Sejmie. Pierwotnie planowano ją uruchomić na początku maja, dokładnie w 95. rocznicę tego zrywu, jednak zablokował ją marszałek Sejmu, Marek Kuchciński. Tłumaczył wówczas, że można ją było oglądać w zeszłym roku w Senacie. Dopiero po petycji podpisanej przez śląskich samorządowców marszałek raczył zmienić zdanie.

NOWY komendant wojewódzkiej policji w Katowicach, insp. Krzysztof Justyński, został 22 maja oficjalnie wprowadzony na swoje stanowisko. Insp. K. Justyński jest absolwentem Uniwersytetu Wrocławskiego (Wydziału Prawa i Administracji) oraz Wyższej Szkoły Policji w Szczytnie. Przez ostatnie cztery lata był komendantem powiatowym w Wodzisławiu Śląskim. – Najważniejszą jest dla mnie kwestia zabezpieczenia Świątowych Dni Młodzieży w Częstochowie – mówił nowy szef śląskiej policji. – Wbrew pozorom, czasu jest niewiele.

QUBUS Hotel Prestige pod koniec roku wprowadza się z Altusa, najwyższego budynku Katowic. W jego miejsce pojawi się nowa hotelowa marka. 4-gwiazdkowy hotel Qubus działa w wieżowcu Altus w Katowicach od momentu jego otwarcia, czyli od 2004 roku. Zajmuje 11 najwyższych kondygnacji w 27-piętrowym wysokościowcu, w tym dziewięć pięter to pokoje i apartamenty (łącznie 150). Do tego są tu jeszcze sale konferencyjne i Sky Bar, czyli najwyższe położona restauracja w Katowicach, na ostatnim piętrze wieżowca.

MIASTA aglomeracji śląsko-dąbrowskiej oraz Łódź powinny zostać objęte krajowym programem rewitalizacji – to postulat Unii Metropolii Polskich. Wniosek w tej sprawie zostanie złożony u premier Beaty Szydło. Argumenty? Skutki najpierw wieloletniej eksploatacji przemysłowej, a następnie likwidacji tego przemysłu bez działań pomocowych. Zdaniem samorządowców z UMP, dzisiejsza sytuacja Śląska, Zagłębia oraz Łodzi przypomina... powojenną Warszawę i zniszczony powojennie Wrocław. Czy to nie przesada?

REŻYSER Roman Polański oraz kompozytor Alexandre Desplat gościli 24 maja w Katowicach w gmachu NOSPR, gdzie odbył się koncert Scoring4Polanski w ramach Festiwalu Muzyki Filmowej, na którym usłyszeliśmy nowe aranżacje muzyki do najsłynniejszych filmów Polańskiego. Desplat, który skomponował muzykę m.in. do „Autora widmo” i „Wenus w futrze”, odebrał nagrodę im. Wojciecha Kilara. Polański odwiedził Katowice przy okazji wizyt w Kilara. – Tam w jego okolicy była knajpa, zdaje się Szopen, i nasza współpraca odbywała się na tamtym terenie – wspominał.

SMOG niskiej emisji może nam zaszkodzić, tym bardziej że – jak się okazuje – nie będzie już dopłat do wymiany kopiących kotłów węglowych. Na liście priorytetowych programów Narodowego Funduszu Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej na 2016 rok zabrakło bowiem programu „Kawka”. Pomagał on finansować wymianę urządzeń grzewczych i cieszył się coraz większą popularnością zarówno wśród władz gmin, jak i ich mieszkańców.

Herkules Poirot by to wykrył

JAROSŁAW STARZYK

Wracaliśmy z pewnego wydarzenia artystycznego, spodziewałem się więc, że mój sąsiad, profesor i humanista rozpocznie rozmowę o tematyce, najkrócej mówiąc, estetycznej. Tak się nie stało. Był późny wieczór, na rynku jednak wielka gromada młodzieży podskakiwała w rytmie tego, co młodzi dziś uważają za muzykę. Moim zdaniem (ale za to bym głowy nie dał) z wzniesionej na potrzeby tego koncertu (?) estrady dobiegała mieszanka techno z disco a może nawet polo. Wieczór był ciepły. Ze zdumieniem zauważyłem, że naukowiec pilnie przypatruje się młodym panienkom, odzianym w krótkie spodenki albo spódniczki oraz podkoszulki niemal bez rękawów. Jest esteta – to prawda, ale jednak w wieku, no cóż – dosyć dojrzałym. Minęliśmy roztańczony rynek i po chwili znaleźliśmy się w strefie, w której hałas stał się bardziej umiarkowany.

– Czy nie uważa pan, że ludzkość zrobiła w tył zwrot i się cofa? – zapytał profesor bez ostrzeżenia.

– Dlaczego?

– Nie widział pan tłumu tych młodych? Co druga osoba ma tatuaż. Na rękach, na nogach, spod bluzki wystają fragmenty obrazów wykłutych na brzuchu lub plecach, myślę, że na plaży byłoby widać jeszcze więcej. W czasach prymitywnych tatuowano się dla oznaczenia wspólnoty plemiennej. Również niektóre religie oznakowały tak swoich wyznawców. Wykonanie tatuażu nie jest bezbolesne a – jak pan widzi – ogromna liczba młodych funduje to sobie, i to nie jakiś mały półksiężyc, czy inicjały swojej aktualnej sympatii, ale wielkie, kolorowe kompozycje, których nie powstydziliby się ludy pierwotne. Dawniej tatuaże kojarzyły się z marynarzami, ale też kryminalistami, którzy odpowiednimi wzorami informowali wtajemniczonych o wysokości wyroku i miejscu w hierarchii więziennej. To wszystko mnie skłania do takiego przypuszczenia, że wracamy do kultur prymitywnych, w których bolesne rytuały – wykluwanie rysunków, zranienia powodujące widoczne blizny były formą „pasowania” na dojrzałego człowieka. W dodatku wielkość tych „ozdób” jest też informacją, że patrzymy na jednostkę heroicznie znośzącą ból, twardą, mocną i tak dalej.

– Czy pan profesor wie, ile kosztuje taki tatuaż? – zapytałem.

– Nie mam pojęcia – przyznał naukowiec.

– Ja też nie, ale sądzę, że to nie są sprawy tanie. Zwłaszcza te malunki wielkoformatowe i kolorystycznie bogate. Może więc jest to także sygnał informujący otoczenie o stanie konta wytatuowanego.

– Myślę, że to przede wszystkim owczy pęd, uleganie głupiej modzie z Zachodu – stwierdził profesor.

– Czytałem, że w biznesie chodzi o to, żeby trafić z produktem, który się sprzeda. Mało tego – zanim się jeszcze zacznie działać w dziedzinie produkcji albo i usług dobrze jest wmówić odbiorcy, że właśnie czegoś takiego potrzebuje. Herkules Poirot odkrywał wiele zbrodni rozważając, kto na tym przestępstwie zarabia. I on by na pewno wykrył, która to firma wyprodukowała masową potrzebę tatuowania się. Powiem więcej: za jakiś czas, kiedy tym młodzieńcom urosną brzuchy a paniom pomarszczy się skóra, ich tatuaże staną się karykaturalne i brzydkie. Jestem pewien, że już jakieś firmy wynajdujące dla nas potrzeby wchodzą w kontakt z placówkami medycyny estetycznej, które zajmą się usuwaniem tatuaży nowoczesnymi metodami – jakieś lasery albo inne wynalazki.

Profesor uznał moje wywody za spiskową teorię i w autobusie, który wiozł nas do domu, zajął się kolczykami w nosie, języku i innych fragmentach ludzkiego ciała współczesnych Europejczyków.

ŚLASK

Kolekcja „Śląska”



Foto: z arch. artystki

Ewa Zawadzka

Urodziła się w Kolumnie Las koło Łodzi. Studia ukończyła na Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie. Obecnie prowadzi pracownię działań multigraficznych w Katedrze scenografii i intermedii na Akademii Sztuk Pięknych w Katowicach.

Jest jedną z najbardziej znanych polskich artystek grafików, zajmuje się malarstwem i fotografią. Posługuje się własną, oryginalną techniką graficzną i równie indywidualnym warsztatem malarskim. Głównym tematem jej twórczości jest świat postindustrialnego krajobrazu, budowanie iluzyjnych przestrzeni – wizyjnych i realnych zarazem.

Artystka wielokrotnie nagradzana: nagroda regulaminowa Międzynarodowego Triennale Grafiki, Kraków, 1986, 1994; Grand Prix Międzynarodowego Triennale Grafiki, Fredrikstad, Norwegia, 1992; Złoty Medal Międzynarodowego Triennale Grafiki, Giza, Egipt, 1993; Medal 40 lecia Międzynarodowego Triennale Grafiki w Krakowie, Kurator Triennale Grafiki Polskiej i członkini rady programowej Międzynarodowego Triennale Grafiki w Krakowie. Członek Rady Programowej Centrum Sztuki Zamek Sielecki w Sosnowcu oraz Stowarzyszenia Ars Cameralis w Katowicach.

W swoim dorobku posiada liczne wystawy indywidualne oraz zbiorowe w kraju i za granicą



Ewa Zawadzka, *Materia ciszy*, 2014, 110x100, olej na płótnie

IX Art Naif Festiwal

10 CZERWCA – 19 SIERPNI 2016

Motyw przewodni: **Hiszpania**
OTWARCIE: 10 czerwca godz. 18.15



Wystawa sztuki naiwej z całego świata - warsztaty - pokazy filmowe - ArtJarmark

Galeria Szyb Wilson, ul. Oswobodzenia 1, Katowice

www.artnaiffestival.pl

PATRONAT HONOROWY



ORGANIZATORZY



MECENAT



SPONSORZY



PARTNERZY



PATRONAT MEDIALNY

